cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #212 04/2024

Piotr Lisiewicz
OLIMPIJSKI MEDAL WYGRZEBANY W ZGLISZCZACH POWSTAŃCZEJ WARSZAWY

Jakub A. Maciejewski
KOD BARDZO DALEKICH PRZODKÓW

Dariusz Jarosiński
WYKLĘCI ZA PRAWDĘ O KATYNIU

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



Smoleńsk
zbrodnia bez sądu i kary

Czy gdyby Rosja zaatakowała Polskę, Tusk podjąłby decyzję o obronie kraju? A może żołnierze zostaliby w koszarach, a nowoczesna broń nie zostałaby użyta? Kto zna życiorys Tuska, a szczególnie jego postawę po Smoleńsku, nie uzna takich pytań za mało zasadne.

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO, FOT. JACEK TURCZYK/PAP (2), YURI KOCHETKOV/PAP/EPA, TOMASZ JEŁOWIECKI/GAZETA POLSKA, ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA, WIKIPEDIA (2)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 7c50a525a9

TEMAT NUMERU 4–19



Smoleńsk – zbrodnia bez sądu i kary / 4

IDEE 20–33



Sarmacja w naszych oczach. Między mitem a karykaturą / 20

HISTORIA 34–60



Olimpijski medal wygrzebany w zgliszczach powstańczej Warszawy / 34

KULTURA 66–74



Kod bardzo dalekich przodków / 66

ŚWIAT 76–98



Pekin chce partnerstwa z Putinem i armii gotowej do wojny/ 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Smoleńsk – zbrodnia bez sądu i kary 4

Piotr Grochmalski
Smoleńsk był testem dla Zachodu 8

Sławominr Cenckiewicz, Michał Rachoń
SKW, której wiceszefem został płk Dusza, wycofała z sądu skargę, która mogła go pogrążyć 14

Ryszard Czarnecki
Smoleńsk – kontekst międzynarodowy, kontekst szacunku 19

IDEE

Krzysztof Wołodźko
Sarmacja w naszych oczach. Między mitem a karykaturą 20

Małgorzata Matuszak
O słowie, obrazie i pośpiechu 25

Ewa Polak-Pałkiewicz
Biała flaga nad Watykanem? 28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Olimpijski medal wygrzebany w zgliszczach powstańczej Warszawy 34

Dariusz Jarosiński
Wyklęci za prawdę o Katyniu 40

Agnieszka Kowalczyk
Jak Polacy zdobyli Monte Cassino. W 80. rocznicę bitwy. Cz. 1 46

Tomasz Gromadka
Nawrócenie i męczeństwo Mabel Tolkien 52

Józef Mackiewicz
Katyń – zbrodnia bez sądu i kary 58

KULTURA

Jakub A. Maciejewski
Kod bardzo dalekich przodków 66

Krzysztof Karnkowski
Millennium w piekielnym kotle 72

ŚWIAT

Hanna Shen
Pekin chce partnerstwa z Putinem i armii gotowej do wojny 76

Antoni Rybczyński
Przypadek Osi Oporu, czyli Iran wcale nie jest władcą marionetek 80

Stefan Czerniecki
Cud kameruńskiej Drogi Krzyżowej 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

Antoni Rybczyński
Jaka będzie Rosja po „wyborczym" triumfie Władimira Putina? 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Reset obowiązuje
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Zbrodnia bez kary
PAPKULTURA 61



Krzysztof Wołodźko
Sojusznicy i przeciwnicy. Chiny i Rosja wobec Zachodu
DZIENNIK LEKTUR 62



Marek Kalinowski
Trzy oblicza pana Kleksa
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 71



Małgorzata Matuszak
Czym jest... ontologia radości
KATECHIZM INTELIGENTA 75



Ryszard Czarnecki
Świat po wojnie
CZARNECKO TO WIDZĘ 85



Tomasz Sakiewicz
Hodowanie potwora
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 7c50a525a9



Katarzyna Gójska

Reset obowiązuje

Musimy mieć świadomość, iż polityka resetu z Rosją nie została pogrzebana – uległa przepoczwarzeniu, bo tego wymagają okoliczności.

Polityka gospodarczego wiązania się z Rosją, swoistego obłaskawiania jej skończyła się spektakularną i dramatyczną katastrofą, której wszystkich konsekwencji na dziś nawet nie potrafimy oszacować. Ale to przecież nie było tak, iż Putin i jego przyboczni wykiwali Zachód. Kreml był do bólu szczery i w zasadzie w dość otwarty sposób anonsował swoje zamiary. W Berlinie uznano jednak, że opłaca się tolerować jego zbrodnie. Nie tylko gospodarczo, lecz także politycznie. Reset nie był żadną próbą zmiany Federacji Rosyjskiej, a już na pewno nie działaniem na rzecz jej powstrzymania, był po prostu tego wymagają okoliczności. Na przykładzie naszego kraju widać jak na dłoni, że ludzie ją tworzący – i to w tym najbardziej proputinowskim wydaniu – bezwstydnie powracają na szczyty władzy i zajmują kluczowe dla bezpieczeństwa Rzeczypospolitej stanowiska. Przywracają do pracy zastępy resetowych żołnierzy. I dzieje się tak właśnie dlatego, iż w Berlinie nikt nie zrezygnował ze strategicznego sojuszu z Putinem. Koncepcja Europy od Lizbony po Władywostok ciągle żyje. Wpływy rosyjskie w naszym kraju są niezwykle silne. Wzmacnia je nikła świadomość polskiej opinii publicznej w tej sprawie. Ale czy można mieć preten-

Gdy na Kremlu gotowano się do pełnoskalowego uderzenia na Ukrainę, rządzący w Polsce obóz patriotyczny dał się zaczadzić ideą, by budować wspólnotę w rytm podrygów jakiegoś Zenka i nie niepokoić obywateli RP sprawą Smoleńska. To lekceważenie powagi sytuacji zaowocowało powrotem współbiesiadników funkcjonariuszy FSB do kluczowych instytucji RP.

rozpoczęciem głębokiej współpracy przy świadomości kosztów, jakie ona wygeneruje. Śmierć polskiej delegacji w Smoleńsku to jedna z owych cen, które po prostu przełknięto i uiszczono. Między bajki można włożyć jakże powszechnie natrętnie serwowane opowieści, że zbliżenie z Moskwą sprzed lat było w innych okolicznościach, a teraz państwo Putina pokazało prawdziwą twarz. Otóż Rosja na Ukrainie nie pokazała światu nic, czego nie demonstrowała wcześniej. Jedyna różnica dotyczy współrzędnych geograficznych terenu, gdzie dopuszczono się zbrodni. Są one bowiem znacznie bliższe Zachodowi. I tyle. Nic więcej. Musimy mieć jednak świadomość, iż polityka resetu nie została pogrzebana – uległa przepoczwarzeniu, bo sje do społeczeństwa, że nie potrafi właściwie ocenić działań Moskwy w Polsce, skoro przez cały okres III RP nie zrobiono praktycznie nic, by ukazać ludziom prawdziwą naturę tego śmiertelnie groźnego zjawiska? W końcu gdy na Kremlu gotowano się do pełnoskalowego uderzenia na Ukrainę, rządzący w Polsce obóz patriotyczny dał się zaczadzić ideą, by budować wspólnotę w rytm podrygów jakiegoś Zenka i nie niepokoić obywateli RP sprawą Smoleńska, nie denerwować ustaleniami w tej sprawie. To lekceważenie powagi sytuacji zaowocowało powrotem współbiesiadników funkcjonariuszy FSB do kluczowych instytucji RP. I pierwszym, od końca PRL, realnym zagrożeniem dla niepodległości naszego kraju. ■

eprasa.pl 7c50a525a9

Czy gdyby Rosja zaatakowała Polskę, Tusk podjąłby decyzję o obronie kraju? A może żołnierze zostaliby w koszarach, a nowoczesna broń nie zostałaby użyta? Kto zna życiorys Tuska, a szczególnie jego postawę po Smoleńsku, nie uzna takich pytań za mało zasadne. Czy Tusk nie powołałby zamiast tego sztabu PR-owców, którzy mieliby udowodnić, że ustępując agresorowi, uratował Polaków przed rozlewem krwi? To nie są pytania abstrakcyjne. Przecież w 2014 roku władze ukraińskie nie podjęły decyzji, by walczyć z Rosją z pełną determinacją. Tusk, Sikorski czy funkcjonariusze Służby Kontrwywiadu Wojskowego, którzy powrócili do władzy z koalicją 13 grudnia, nie gwarantują lojalności wobec Polski w żadnej sytuacji. To najgorszy efekt braku skutecznego rozliczenia Zbrodni Smoleńskiej.

Piotr Lisiewicz



Smoleńsk – zbrodnia bez sądu i kary



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROJAŃSKI STUDIO. FOT. JACEK TURCZYK/PAP (2), YURI KOCHETKOV/PAP/EPA, TOMASZ JEDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA, ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA, WIKIPEDIA (2)



Przyjedź do Smoleńska, porozmawiamy" – te słowa Dmitrija Rogozina z 2022 roku wypowiedziane pod adresem Jarosława Kaczyńskiego, który jako pierwszy z kilkoma premierami pojechał do Kijowa, były *de facto* przyznaniem się przez Moskwę do Zbrodni Smoleńskiej.

▶ Podkomisja, „Reset" i skarga do Trybunału do skasowania

Tymczasem w 2023 roku już sześć dni po objęciu władzy przez Koalicję 13 grudnia, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz ogłosił, że rozwiązuje Podkomisję smoleńską. I powołuje 19-osobowy zespół, który zbadać ma działania… Podkomisji smoleńskiej. Było to groteskowe szczególnie w kontekście zarzutów, że podkomisja, licząca jednorazowo 18 osób, wydała za dużo pieniędzy. Bo opłacany przez podatnika zespół mający ją zbadać okazał się być od niej… liczniejszy.

Zaledwie dzień później, 20 grudnia 2023 roku, usunięto ze strony TVP serial „Reset", pokazujący prawdę o współpracy rządów PO i PSL z Putinem, w tym o Zbrodni Smoleńskiej.

W miesiąc później, 24 stycznia 2024 roku, minister Radosław Sikorski zdecydował, że MSZ nie będzie dłużej popierał Listu intencyjnego w sprawie skargi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu przeciwko Rosji w związku ze Zbrodnią Smoleńską. List podpisany został 10 października 2023 roku przez Zbigniewa Raua, Antoniego Macierewicza i adwokata Bena Emmersona. MSZ wskazało w komunikacie, że jednym z powodów wycofania wsparcia dla Listu jest fakt likwidacji Podkomisji smoleńskiej, będącej jedną ze stron dokumentu: „W tej sytuacji minister spraw zagranicznych przekazał do mecenasa Bena Emmersona informację o zakończeniu obowiązywania Listu intencyjnego i odstąpieniu od jego realizacji. Jednocześnie szef dyplomacji podziękował panu Emmersonowi za gotowość współpracy z Polską i za jego inne działania, mające na celu ochronę praw człowieka na arenie międzynarodowej".

▶ Dla koalicji 13 grudnia Smoleńsk okazał się… najważniejszy

Nowa władza śpieszyła się, by zgodnie z zaleceniami Machiavellego dokonać na początku swoich rządów „wszystkich niezbędnych okrucieństw naraz". Ale tym samym złożyła jasną deklarację: nie jesteśmy rządem służącym Polsce, a bandą połączoną podejściem do zbrodni z 2010 roku.

PiS przez całe swoje rządy demonstrował, że Smoleńsk nie jest dla niego najważniejszy. Ważniejsze były sprawy zwykłych ludzi, 500 plus, budowa siły Polski na arenie międzynarodowej itp. Tymczasem Tusk, Kosiniak-Kamysz, Hołownia i Czarzasty zademonstrowali: a dla nas Smoleńsk jest najważniejszy! Dlaczego? Nie mam żadnych wątpliwości, że wszyscy autorzy wrzaskliwych kampanii wulgarnie ośmieszających prawdę o Smoleńsku przez całe lata kierowali się głównie jednym czynnikiem: strachem. Strachem, że jeśli prawda o tej zbrodni zostanie udowodniona, dotrze do zwykłych Polaków i światowej opinii publicznej, będą skończeni. I nie tylko oni jako liderzy, lecz także całe ich antypolskie nurty polityczne, podszywające się pod różne tradycje polityczne Polski niepodległej.

▶ Macierewicz swoje zadanie wykonał, ale nie wyciągnięto z tego konsekwencji

Stwierdzenie: PiS dużo mówił o zamachu w Smoleńsku, a jak doszedł do władzy, to nic w tej sprawie nie ustalił, które słychać niekiedy wśród niektórych zwolenników tej partii, nie jest prawdziwe. To przekaz prorosyjskiej Konfederacji. Podkomisja smoleńska Antoniego Macierewicza spełniła swą historyczną rolę. Zamach w Smoleńsku został udowodniony w sposób niepozostawiający wątpliwości we współpracy z National Institute For Aviation Research z uniwersytetu stanowego w Wichita w Kansas. Kto tego nie uznaje, kieruje się albo złą wolą, albo zawinioną niewiedzą, albo brakiem odwagi.

Natomiast obóz niepodległościowy nie zdołał wyciągnąć z tego konsekwencji tak w Polsce, jak i na arenie międzynarodowej. Problemem w sprawie Smoleńska nie był więc brak ustalenia prawdy, a brak odwagi w jej przekazaniu Polakom i światu. Dziwnie zachowywała się w tej sprawie prokuratura. Błędem był brak pełnej identyfikacji prezydenta, rządu, a na scenie krajowej przede wszystkim TVP rządzonej przez Jacka Kurskiego z ustaleniami naukowców. Media Strefy Wolnego Słowa – „Gazeta Polska", „Nowe Państwo" i Telewizja Republika – były jedynymi, które stawiały tę sprawę konsekwentnie.

▶ Rozliczanie Smoleńska powinno być częścią rozliczania rosyjskich wpływów

Analitycy mogą wskazać obiektywne przyczyny, dla których zajmowanie się Smoleńskiem było ciągle niewygodne i PR-owcy mogli je odradzać. Przeciwnik dysponował przewagą medialną i nie miał żadnych oporów, by mówiących prawdę wyśmiewać, boleśnie uderzać w rodziny ofiar. Do tego żyjemy w czasach, w których nie umiemy mówić o śmierci, odpychamy ten temat od siebie. Poza tym zawsze są jakieś wybory albo ważne wydarzenia, dla których zdecydowane działanie w sprawie Smoleńska może być przeszkodą.

eprasa.pl 7c50a525a9

Ale odpowiedzią na te problemy nie powinna być rezygnacja z prawdy, a przekazanie jej w sposób skuteczny. Ujawnienie prawdy o Smoleńsku byłoby skuteczne, gdyby zaraz po objęciu władzy PiS zajął się badaniem rosyjskich wpływów. Natychmiast powinna powstać komisja ds. wpływów rosyjskich oraz serial „Reset".

Bo to nie było normalne, że polski rząd chciał uzależnić nasz kraj od rosyjskiego gazu do 2037 roku. Czymś niesłychanym była tajna umowa o współpracy służby specjalnej państwa NATO i UE, czyli SKW, z rosyjską FSB, czyli dawną KGB. Nie mieści się w głowie, że mieliśmy podpisać z państwem będącym dla nas największym zagrożeniem umowę wojskową. W normalnym państwie każde z tych działań powinny potępić wszystkie partie od lewa do prawa. Jak to możliwe, że to wszystko wydarzyło się naprawdę? Jak silna była rosyjska agentura w Polsce? Jakie inne metody nacisku na polskie władze stosowała Moskwa, by wymóc na nich samobójcze decyzje?

Po ustaleniu tej prawdy, na fali entuzjazmu po wygranej PiS, raport Podkomisji smoleńskiej powinni pokazać światu prezydent i premier Polski, prezentować go na najważniejszych światowych forach, wreszcie złożyć wnioski do odpowiednich trybunałów, by zajęły się zbrodnią. Wcześniej niż powstał list intencyjny z roku 2023.

Okryci hańbą

„Katyń – zbrodnia bez sądu i kary" – to tytuł książki Józefa Mackiewicza. Jak pisał Józef Mackiewicz, gdy świat dowiedział się o tym, że Rosjanie dokonali Zbrodni Katyńskiej, była to wiedza dla wszystkich niewygodna, może najbardziej dla Polaków: „Wszystkim na świecie, którzy walczą z Hitlerem, w tej liczbie, a może przede wszystkim, Polsce, zależy na tym, aby rewelacje niemieckie okazały się nieprawdziwe". Stwierdzał jednocześnie, że sytuacja polskiego rządu na wygnaniu była w tej sprawie inna niż wszystkich pozostałych: „Rząd polski, jedyny spośród innych rządów zainteresowanych w tej sprawie, dźwiga na swych barkach odpowiedzialność za życie i śmierć swych obywateli, swych żołnierzy, i nie może rzucać ich losem jak kartą w grze politycznej, wbrew oczywistym zasadom sprawiedliwości i moralności ludzkiej".

Dlaczego? „Generałowie, pułkownicy, oficerowie, na których piersiach pozostały jeszcze ordery, krzyże, którymi ich ojczyzna obdarzyła i odznaczyła. Wobec tej strasznej zbrodni niepodobieństwem jest przejść do porządku i żaden rząd na świecie, który by się nie chciał okryć hańbą wobec własnego narodu, na takie postawienie sprawy by nie przystał. Rząd polski musi domagać się wyjaśnienia tej zbrodni".

W 2010 roku rząd premiera Tuska i prezydent Komorowski, a także wszyscy ci, którzy tuszowali Zbrodnię Smoleńską czy kpili z niej, okryli się taką hańbą. W końcówce rządów koalicji PO-PSL główni autorzy tej hańby zdawali się to rozumieć. Tusk wyjechał z Polski w 2014 roku, czyli na rok przed utratą władzy także dlatego, że się tej odpowiedzialności obawiał. Radosław Sikorski nie kandydował w wyborach z 2015 roku i wyjechał do Ameryki, by dopiero po długiej przerwie pojawić się na manifestacjach KOD. To błędy PiS spowodowały, że odważyli się wrócić.

Najważniejsze pytania w 2024 roku

Pytania, które powinniśmy postawić dziś, brzmią poważnie. Czy gdyby Rosja zaatakowała Polskę, Tusk podjąłby decyzję o obronie kraju? A może żołnierze zostaliby w koszarach, a nowoczesna broń nie zostałaby użyta? Kto zna życiorys Tuska, a szczególnie jego postawę po Smoleńsku, nie uzna takich pytań za mało zasadne. Czy Tusk nie powołałby zamiast tego sztabu PR-owców, którzy mieliby udowodnić, że poddając się agresorowi, premier uratował Polaków przed rozlewem krwi? To nie są pytania abstrakcyjne. Przecież w 2014 roku władze ukraińskie nie podjęły decyzji, by walczyć z Rosją z pełną determinacją. Tusk, Sikorski czy funkcjonariusze Służby Kontrwywiadu Wojskowego, którzy powrócili do władzy z koalicją 13 grudnia, nie gwarantują lojalności wobec Polski w żadnej sytuacji. To najgorszy skutek braku skutecznego rozliczenia Zbrodni Smoleńskiej.

Zdanie wypowiadane co jakiś czas przez prezydenta Andrzeja Dudę, że w polskiej polityce w sprawach bezpieczeństwa wszystkie siły są zgodne, jest zwyczajnie nieprawdziwe. Przypomnijmy, że z dokumentów ujawnionych przez autorów serialu „Reset" wynika, że 11 września 2013 roku w Petersburgu parafowano umowę między rosyjską FSB a Służbą Kontrwywiadu Wojskowego. Własnym podpisem dokument zatwierdził Donald Tusk. Czytamy w nim, że „strony udzielają sobie wzajemnie pomocy w […] przeciwdziałaniu działalności wywiadowczo-wywrotowej służb specjalnych krajów trzecich, skierowanej przeciwko Federacji Rosyjskiej lub Rzeczpospolitej Polskiej". Czyli Polska faktycznie miałaby donosić Rosji na sojuszników z NATO. Rosjanie byli też zainteresowani wiedzą polskiego rządu na temat m.in. Czeczenów, z którymi współpracował obóz niepodległościowy.

Po tamtej stronie wiele osób uważało, że być może PO wróci do władzy, ale trzeba wymienić Tuska na Trzaskowskiego, a powrót Tuska do MSZ choćby po pochwałach jego wypowiedzi na temat Nord Streamów przez Kreml, byłoby przesadą. Ale brak rozliczenia Zbrodni Smoleńskiej ośmielił ludzi, którzy nigdy nie powinni wrócić do władzy, że jednak to się im uda. ■

eprasa.pl 7c50a525a9



Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie, że Smoleńsk był punktem krytycznym. Był swoistym testem dla Europy. Gdyby prawda o zbrodni Putina w Smoleńsku ujawniona została już w 2010 roku, świat wyglądałby radykalnie inaczej. Berlin nie mógłby tak ostentacyjnie budować osi z Moskwą, a niemiecki koncern zbrojeniowy Rheinmetall nie mógłby otwarcie podpisać kontraktu z Putinem na budowę supernowoczesnego poligonu w Mulino, na którym potem rosyjska armia ćwiczyła podbój Europy. Nie byłoby agresji na Ukrainę 20 lutego 2014 roku i 24 lutego 2022 roku, zniknęliby też na zawsze z polskiej i europejskiej polityki Tusk i jego ekipa po ujawnieniu skali współpracy z Putinem.

Piotr Grochmalski



Smoleńsk był testem dla Zachodu

FOT. JACEK TURCZYK/PAP

Spektakularność tej zbrodni, jej brutalność i skala na długo sparaliżowały narody Europy Środkowej. Okazało się, że żaden polityk nie może czuć się bezpiecznie. Zdumiała też postawa tej części Polaków, którzy ulegli głębokiej amnezji i dali sobie narzucić narrację Putina. Przebudził się w nich duch zniewolenia katyńskim kłamstwem. Ale też zadziałał ten sam mechanizm w skali Europy i świata, który po wojnie przykrył kłamstwo katyńskie kosztem relacji ze stalinowską Rosją. Prezydent Kaczyński w ostatnim wywiadzie powiedział: „Brak odwagi Tuska będzie nas naprawdę drogo kosztował". W innym miejscu zapytany, czego bał się Tusk, Lech Kaczyński mówi: „Rosjan". Dziś wiemy, że były to prorocze słowa.

▶ Uwiarygodnienie kremlowskiego zbrodniarza przez Tuska

Wyobraźmy sobie, że podczas obecnej krwawej wojny jednego dnia Ukrainie udałoby się wyeliminować całe dowództwo rosyjskiej armii, prezydenta tego bandyckiego państwa, a także jego polityczną elitę. Wywołałoby to niewyobrażalny szok całego świata. Zostałoby to uznane za czyn wyjątkowy, spektakularny, który załamałby moskiewskie imperium. Bo Kijów dokonałby czegoś, co nie miało miejsca w długiej, spisanej historii ludzkości. Z jednym wyjątkiem – smoleńskiego mordu. W ciągu zaledwie kilku chwil zginęło dziewięciu polskich generałów, w tym całe dowództwo sił zbrojnych: gen. Franciszek Gągor – szef Sztabu Generalnego WP, gen. dyw. Tadeusz Buk – dowódca Wojsk Lądowych RP, gen. broni pil. Andrzej Błasik – dowódca Sił Powietrznych RP, wiceadmirał Andrzej Karweta – dowódca Marynarki Wojennej RP, gen. dyw. Włodzimierz Potasiński – dowódca Wojsk Specjalnych RP, gen. broni Bronisław Kwiatkowski – dowódca operacyjny Sił Zbrojnych RP, gen. bryg. Kazimierz Gilarski – dowódca Garnizonu Warszawa, bp. gen. dyw. Tadeusz Płoński – katolicki biskup polowy WP, abp gen. bryg. Miron Chodakowski – prawosławny ordynariusz WP. To był potężny cios wymierzony w naszą wiarygodność w NATO. Państwo, które w warunkach pokoju dopuszcza do wymordowania swego dowództwa, nie może być traktowane poważnie. Jak armia ma obronić naród, jeśli nie obroniła swojego dowództwa i zwierzchnika sił zbrojnych? A przy życiu pozostała ta ekipa, która dokonywała w tym czasie resetu z Putinem, którego konsekwencją był Smoleńsk.

Niedawno w USA uroczyście obchodziliśmy 25. rocznicę naszego przyjęcia do Sojuszu. Reżimowe media nawet nie zająknęły się o tym wydarzeniu. Bo – obok prezydenta RP Andrzeja Dudy – brał w nich udział w Waszyngtonie premier Donald Tusk. W zakłamanym przekazie nie pojawiła się też choćby najmniejsza wzmianka o tym, że polską flagę, podczas uroczystości przyjmowania nas do Sojuszu, wprowadzał major Tadeusz Buk. Ten sam, który później, już jako dowódca wojsk lądowych, zginął w Smoleńsku. Ta zbrodnia uderzała w sens projektu odradzającego się Trójmorza, który po latach wsparł Donald Trump – wspólnoty państw mających zbieżne doświadczenia wobec imperializmu rosyjsko-sowieckiego. Wrogiem tej koncepcji byli Tusk i Sikorski, a Putin zamierzał w zarodku zniszczyć raz na zawsze ten groźny dla Moskwy sojusz, który odtwarzał Lech Kaczyński.

Ale bez ówczesnego uwiarygodnienia Putina przez Tuska po 10 kwietnia 2010 roku, głoszenia z nim wspólnej narracji wobec Smoleńska, Putin nie miałby otwartej drogi do agresji w 2014 roku na Ukrainę. Co bardziej porażające – w wyniku takiej postawy Tuska Smoleńsk wzmocnił strategiczny sojusz niemiecko-rosyjski. Równocześnie dokonał się głębszy proces – swoją postawą premier RP uwiarygodnił i wzmocnił propagandową narrację Niemiec i Rosji dotyczącą Polaków. Smoleńsk oparty był na kłamliwej tezie zespołu Tatiany Anodiny, że wszystkiemu winny jest rzekomo pijany polski generał, który sterroryzował pilotów. Propaganda rosyjska sięgnęła po tradycyjny, stalinowsko-goebbelsowski obraz Polaka – jesteśmy rzekomo niebezpieczni sami dla siebie, nieodpowiedzialni bałaganiarze, przerażająco nieobliczalni, skandalicznie brawurowi, pełni frustracji, impulsywni, fatalnie zorganizowani. Smoleńsk w założeniach Kremla miał być też potężnym pokazem symbolicznej słabości Polski – jej bezbronności. Ten mord miał nie tylko złamać narodowego ducha, lecz także potężnie zdeprecjonować Polskę w wymiarze międzynarodowym. Był też sygnałem do bezprecedensowej aktywności agenturalnych zasobów Rosji w Polsce. Ale też miał być testem na granicę bezkarności mordów dokonywanych przez Putina.

▶ Bezkarność Putina

Zaledwie kilka tygodni po tym jak, Putin został w 1999 roku premierem Rosji, w Bujnaksku, Moskwie i Wołgodońsku wysadzone zostały w nocy budynki mieszkalne. Łącznie zginęło 313 osób. 932 zostało rannych. Rosyjskie służby oskarżyły o te czyny czeczeńskich terrorystów. Rosja była sparaliżowana lękiem. Putin wykorzystał falę oburzenia i rozpoczął krwawą jatkę w Czeczenii. Topił we krwi kaukaską republikę. Aleksandr Litwinienko ujawnił w książce „Wysadzić Rosję", że seria zamachów bombowych miała wylansować Putina. Otworzyć mu drogę na szczyty władzy. Jelcyn, za gwarancje bezpieczeństwa ze strony FSB dla swojej rodziny, zdecydował się prze-

eprasa.pl 7c50a525a9

kazać władzę w ręce byłego aparatu KGB. Podczas ostatniej osobistej rozmowy z Billem Clintonem na konferencji do spraw bezpieczeństwa w Stambule 19 listopada 1999 roku prezydent USA Clinton miał spytać Jelcyna, kto wygra wybory. „Putin oczywiście", padła odpowiedź. „Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wygrał – legalnie rzecz jasna. I on wygra".

20 grudnia 1999 roku, pięć miesięcy po tym, jak Putin został premierem, odsłonił tablicę pamiątkową ku czci Andropowa, który był symbolem sowieckich represji. Tego samego dnia, na spotkaniu z weteranami KGB w Moskwie, powiedział publicznie, przed kamerami, z uśmiechem na twarzy: „Mogę poinformować, że grupa funkcjonariuszy FSB, przydzielonych do tajnej pracy w rządzie Federacji Rosyjskiej, wypełnia swoją misję". W Rosji odczytano to jednoznacznie – jako odwołanie się do wizji odrodzenia imperium. 31 grudnia Jelcyn przekazał faktycznie władzę nad Rosją w ręce Łubianki. Władimir Kara-Murza, wybitny opozycjonista, który dwa miesiące po wybuchu wojny w 2022 roku został aresztowany i ostatecznie skazany na ćwierć wieku pobytu w obozach i którego najprawdopodobniej czeka los zamordowanego Nawalnego, stwierdził: „Kiedy Władimir Putin doszedł do władzy […] początkowo starał się postępować bardzo ostrożnie. Testował […] reakcję zachodnich przywódców na to, co robił. I nie było żadnej reakcji". Stawał się coraz bardziej zuchwały. Siergiej Kowaliow, wielka legenda rosyjskiej opozycji, też ostrzegał przed Putinem. Już w 2001 roku stwierdzał: „Wyobraźcie sobie, że prezydentem Niemiec zostałby gestapowiec. Jak byście na to zareagowali? […] KGB było tak samo bandycką organizacją jak hitlerowska policja polityczna, a jej czekiści terroryzowali Rosję przez dziesiątki lat. Ci ludzie mają na swych rękach krew milionów osób różnych narodowości. Dlaczego o tym mówię? Bo jeśli taki zachodni dziennikarz spytałby się obecnego naszego prezydenta, co on sądzi o swej przeszłości, to usłyszy, że jest on dumny, iż nosił mundur KGB". W długiej liście putinowskich zbrodni najważniejszym testem był Smoleńsk. W samej konstrukcji tego mordu chodziło o wpisanie go w katyński kontekst.

Smoleńsk i Katyń

Dla Putina zbrodnia katyńska była kluczowym elementem tradycji NKWD-KGB. Katyń i Smoleńsk realizują w istocie ten sam zasadniczy zamysł. Zdaniem Stanisława Pomianowskiego, w przypadku Katynia „Jak się zdaje, chodziło o zamiar pełen stalinowskiej prostoty i rozmachu – o likwidację czołowej kadry inteligenckiej sporego inteligenckiego narodu. […] Eliminacja całej tej warstwy równałaby się zastosowaniu gilotyny do polskiego społeczeństwa". Ale Katyń był częścią szerszego planu. Norman N. Naimark w pracy „Ludobójstwo Stalina" przypomina, że „w przypadku Polaków zakładano – jak ujął to jeden z urzędników NKWD – »kompletne wyniszczenie«". Autor stwierdza: „Nie ulega wątpliwości, że Stalin i Beria nakazali masowe egzekucje 21 857 polskich oficerów i innych Polaków w celu okaleczenia narodu polskiego. Był to także punkt kulminacyjny dekady działań przeciwko obywatelom polskim w Związku Sowieckim i w Polsce, które usprawiedliwiano rzekomym polskim zagrożeniem dla sowieckiej integralności terytorialnej. Istnieją podstawy, by sądzić, że operacje te – postrzegane jako całość – miały swoje źródło w głęboko zakorzenionych rosyjskich i sowieckich uprzedzeniach, które wiązały się z antypolonizmem". Smoleńsk jest kwintesencją tego samego celu – współczesną zbiorową egzekucją na polskiej inteligencji, elicie państwa.

Smoleńsk w założeniach Kremla miał być potężnym pokazem symbolicznej słabości Polski – jej bezbronności. Ten mord miał nie tylko złamać narodowego ducha, lecz także potężnie zdeprecjonować Polskę w wymiarze międzynarodowym.

Ale konsekwencją Smoleńska jest agresja Rosji na Ukrainę w 2014 roku i obecna wojna. W obu przypadkach ma to też ścisły związek z niemiecko-rosyjskim sojuszem gazowym, którego kwintesencją był Nord Stream. Bije po oczach koincydencja wydarzeń. Jak zauważa Jürgen Roth, wybitny niemiecki dziennikarz śledczy, „7 kwietnia 2010 roku przy okazji uroczystości w Katyniu, podczas których ówczesny premier Rosji Władimir Putin spotkał się z Donaldem Tuskiem, doszło do ustnego porozumienia między obydwoma politykami w kwestii długoterminowych dostaw do Polski rosyjskiego gazu w ramach nowej kontrowersyjnej umowy w Gazpromem. Wcześniej jednak, bo już na początku lutego 2010 r., Komisja Europejska

eprasa.pl 7c50a525a9

w piśmie skierowanym do rządu Donalda Tuska wyrażała »zaniepokojenie« faktem, że planowany kontrakt z rosyjskim partnerem może naruszyć prawo UE. Obawy Komisji Europejskiej budziły doniesienia o przyznaniu Gazpromowi szczególnie korzystnych opłat za przesył gazu do Polski. Komisja skrytykowała również ustalenia o udzieleniu temu koncernowi wyłączności na transfer gazu do 2045 roku, co uderza w niezależność energetyczną Polski. Jednak rząd w Warszawie nie potraktował tych uwag poważnie, zwłaszcza, że prezydent Lech Kaczyński, najzagorzalszy krytyk polsko-rosyjskiej umowy gazowej, niedługo potem zginął w katastrofie smoleńskiej". A więc 7 kwietnia miały miejsce ustalenia na twarz między Putinem a Tuskiem oddające bezpieczeństwo energetyczne Polski w ręce Putina. Dwa dni później, 9 kwietnia, przy braku reakcji ze strony Tuska, w okolicach Gotlandii, Dmitrij Miedwiediew, ówczesny prezydent Rosji, razem z byłym kanclerzem Schroederem, wówczas już od kilku lat skorumpowanym przez Moskwę, oficjalnie rozpoczynają budowę Nord Stream 1. Dzień później ma miejsce mord smoleński. Putin i Tusk spotykają się. Zdjęcia rejestrują, jak Tusk przybija żółwiki z Putinem. Tusk na zdjęciach, które to uchwyciły, wydawał się zdumiewająco rozluźniony.

▶ Europa a testament Kaczyńskiego

W momencie gdy na przełomie 2021 i 2022 roku ważyły się losy jednolitego stanowiska Zachodu wobec zagrożenia atakiem Rosji na Ukrainę, Adam O'Neal na łamach amerykańskiego „The Wall Street Journal", przypomniał wystąpienie śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi, które zatrzymało inwazję Putina na Gruzję. Dziennikarz zadaje dramatyczne pytanie 11 lutego, gdy coraz bardziej realny staje się wybuch największej wojny w Europie od 1945 roku: „Czy Zachód posłucha ostrzeżeń Polski przed rosyjską agresją?". O'Neal przypomina, że „już wówczas, 12 sierpnia 2008 roku, przywódca RP ostrzegał: »I my też wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę«". Dziennikarz stwierdza: „Niektórzy uważają rząd w Warszawie za panikarzy, ale Polacy często mieli rację co do swojego bliskiego sąsiada".

Wkrótce samo życie pokazało, że Kaczyński miał rację. O'Neal przypomina, iż wezwał wówczas Unię Europejską i NATO do solidarnej postawy i zdecydowanego sprzeciwu wobec ówczesnej inwazji. Ale reakcji nie było. Dlatego obecne ostrzeżenie, jakie płynie z Warszawy, jest szczególnie ważnym sygnałem: „Jeśli Zachód nie potraktuje poważnie wezwań Polaków do bardziej zdecydowanej reakcji, nietrudno wyobrazić sobie przyszłość, w której promoskiewski rząd ukraiński stoi bezczynnie, a Putin będzie wybierał swój kolejny cel". Nietrudno przewidzieć, że gdyby wówczas NATO i Unia stanowczo zareagowały na bandytyzm Putina, Rosja byłaby innym państwem. Nie byłoby też Smoleńska. Tamta misja w 2008 roku powinna skłonić do głębszej refleksji w Brukseli, Berlinie i Waszyngtonie. W ciągu trzech godzin Lech Kaczyński przekonał wówczas prezydentów Ukrainy Wiktora Juszczenkę, Litwy Valdasa Adamkusa, Estonii Thomasa Ilvesa i premiera Łotwy Ivarsa Godmanisa do wylotu do Tbilisi, aby powstrzymać rosyjską inwazję. 82-letni wówczas Valdas Adamkus, który dziś dożywa 96. roku, był tuż po operacji, ale miał świadomość powagi sytuacji. Wszyscy doskonale rozumieli, czym będzie Rosja, jeśli się jej wspólnie nie przeciwstawią. Juszczenkę, w trakcie kampanii wyborczej z Janukowyczem, człowiekiem Putina, zatruto dioksynami. Uratowano mu życie w Austrii. Ślady tej operacji prowadziły do Rosji. Valdas Adamkus jako młody chłopak walczył najpierw z Niemcami, a potem z Rosjanami. Potem wyemigrował. Tomas Hendrik Ilves urodził się w Szwecji, bo jego rodzice uciekli z okupowanej przez Sowietów Estonii. Wrócił, gdy upadł ZSRS. A Ivars Godmanis, gdy Łotwa odzyskała niepodległość, stanął na czele pierwszego narodowego rządu. Tacy ludzie odważyli się wówczas na wyzwanie rzucone w twarz podpułkownikowi KGB.

▶ W tle smoleńskiego dramatu wielki projekt Tuska z Putinem

Tuż po dramacie smoleńskim, 13 maja 2010 roku, odbyła się konferencja „Polska–Rosja. Wielkie pojednanie?". A 14 września na Uniwersytecie Warszawskim publicznie pochowano ideę Międzymorza w trakcie nagłośnionej debaty „Stan, kierunki i potrzeby polskiej polityki wschodniej". Bartłomiej Sienkiewicz stwierdził wówczas, dwa lata po wydarzeniach w Tbilisi, że trzeba zarzucić koncepcję aktywnej polityki wschodniej, bo nie mamy sił i środków, aby ją realizować. Także Radosław Sikorski forsował reset z Rosją, który w głównej mierze realizował Jarosław Bratkiewicz, jako szef Departamentu Polityki Wschodniej MSW. Przekonywał, że „możliwości ekspansji Rosji w rozumieniu politycznym i gospodarczym – a już tym bardziej militarnym – są dosyć ograniczone", a także że „możliwości wpływania Moskwy (w sensie uzyskania przez nią »specjalnych praw«) na kraje Europy Środkowo-Wschodniej, przynależące do UE i NATO, są znikome lub zgoła żadne". Trzeba więc wykorzystać dziejową szansę i uczynić Polskę wielkim sojusznikiem Berlina i Moskwy w wielkim projekcie modernizacji Rosji i budowania Europy od Lizbony do Władywostoku. Tusk stałby się równy władcom wiel-

eprasa.pl 7c50a525a9

kich potęg i wszedłby do panteonu Europy jako wielki, dalekowzroczny przywódca. To było trafienie w jego najsłabszy punkt.

Bratkiewicz pisze: „Powyższe działania, którym siły i pędu dodawały wszystkie poprzednie udane kontakty premiera Tuska z Putinem i ministra Sikorskiego z Ławrowem, zaowocowały przełomową – dziejotwórczą [wytłuszczenie – P. G.] można by powiedzieć – decyzją strony rosyjskiej. 3 lutego 2010 roku telefonicznie skontaktował się ze mną Dmitrij Polanski i poinformował, że premier Putin tego dnia zadzwoni do Donalda Tuska". To Putin narzucił wówczas scenariusz wydarzeń, którego konsekwencją był Smoleńsk. Już po wszystkim, w pierwszych dniach po 10 kwietnia, Bratkiewicz kieruje do Sikorskiego notatkę, aby wykorzystać reset i go pogłębić. Jak stwierdza: „W rzeczonej notatce zawarłem propozycje działań, które podtrzymywałyby ten rozpęd stosunków polsko-rosyjskich, jakich im nadało spotkanie 7 kwietnia i jaki wcale się nie załamał po 10 kwietnia" [wytłuszczenie – P. G.]".

Bratkiewicz przedstawia siebie jako twórcę formatu królewieckiego, który był efektem owego dalszego zbliżenia Tuska i Putina. Pierwsze spotkanie ministrów spraw zagranicznych RFN, Polski i Rosji odbyło się w Królewcu w 2011 roku, a więc rok po katastrofie smoleńskiej, kolejne w Berlinie w 2012 roku i Warszawie w 2013 roku. Jak pisze autor: „Ostatni zlot Trójkąta Królewieckiego miał miejsce w czerwcu 2014 r. w Petersburgu", a więc trzy miesiące po aneksji Krymu przez FR, która nastąpiła 18 marca!

▶ Katyń–Smoleńsk, czyli dlaczego Tusk wspierał narrację zbrodniarza Putina

Format Królewiecki był konsekwencją Smoleńska. Berlin i Moskwa rozegrały Tuska. Realizował ich geopolityczne cele marginalizacji Trójmorza i Polski. Jürgen Roth zwraca uwagę, że od pierwszego dnia po katastrofie smoleńskiej media niemieckie wspierały zdumiewająco nieprawdziwą narrację Kremla, chroniącą Putina i Tuska, równocześnie zbieżną z przekazem rozpowszechnianym przez rząd Donalda Tuska. „Bild and Sontag" pisał 11 kwietnia: „Tupolew 154-M trzy razy przerywał podejście do lądowania, ponieważ piloci nie widzieli pasa. Podczas czwartej próby rządowa maszyna roztrzaskała się w brzozowym lesie". A „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung" rozpowszechniał wersję przekazaną przez gen. Siergieja Razygrajewa, zastępcy dowódcy naczelnego lotnictwa wojskowego Rosji i agenta GRU: „Pilot wykonał cztery podejścia do lądowania". Do propagandy użyto też Niemiecki Związek Pilotów. Jego przedstawiciel, pilot Jörg Handwerg, w wypowiedzi dla portalu Stern.de stwierdził, iż „fakt, że miały miejsce cztery podejścia do lądowania, pozwala przypuszczać, że na pilotów była wywierana presja".

Jak podkreśla Jürgen Roth: „Jeśli porównamy te doniesienia z obecnym stanem wiedzy, okaże się, że mają one niewiele wspólnego z rzeczywistością. Mimo to do dziś w sposób decydujący kształtują wyobrażenie zarówno niemieckiej, jak i europejskiej opinii publicznej na temat tego, co wydarzyło się w Smoleńsku". To bezkarność wobec tego mordu i uwikłanie w niego części polskiej i niemieckiej elity, co jasno wynika z polityki Merkel realizowanej po 2010 roku, a potem przez kanclerza Scholza, zachęcała Putina do ekspansji terytorialnej i dalszych mordów – Bucza i Izium są konsekwencją tej polityki.

Ale Smoleńsk kryje też prawdę skrajnie niebezpieczną dla niemieckich elit i Donalda Tuska. Skrzętnie udokumentowane przez Rosję, a dotąd nieujawnione szczegóły owego resetu. Ta swoista „Smoleńska teczka" spoczywa na Kremlu i ma moc porównywalną do „Teczki katyńskiej", której zawartość ostatecznie ujrzała światło dzienne. Jerzy Pomianowski twierdzi, iż Katyń ukazał dwie zdumiewające prawdy – nawet „w Rosji, gdzie nauka milczenia weszła do elementarza samoobrony", taki mord ostatecznie wyszedł na jaw. Po drugie, „to Rosjanie pomogli Polakom dorwać się do tak piekącej dla nich prawdy". Te same czynniki mogą przesądzić o ujawnieniu „Smoleńskiej teczki", która równie głęboko obciąża sumienie tych wszystkich, którzy wspierali karierę człowieka, który dziś stał się zdumiewającą syntezą Stalina i Hitlera. Jerzy Pomianowski stwierdza: „Nie jest wykluczone, że eliminacja oficerów polskich zostałaby przez Stalina nie tylko ujawniona, ale uznana za tytuł do chwały, gdyby jego sojusz z Hitlerem utrwalił się i zaowocował podziałem kontynentu". Obu bowiem łączyła ta sama skłonność i gotowość do mordów jako politycznego narzędzia. Putin okazał się ich pojętnym uczniem. W jego otoczeniu widać, że Smoleńsk wzbudza satysfakcję skalą owego mordu. Ujawnił to otwarcie Dmitrij Rogozin, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Putina. Gdy we wtorek 15 marca 2022 roku ówczesny premier Mateusz Morawiecki, wicepremier Jarosław Kaczyński oraz premier Czech Petr Fiala i premier Słowenii Janez Jansa pojawili się w Kijowie, dając sygnał światu o mocnym wsparciu dla prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i Ukrainy, wywołało to wściekłość na Kremlu. Dmitrij Rogozin napisał wówczas na Twitterze słowa skierowane do Jarosława Kaczyńskiego: „Przyjedź do Smoleńska, porozmawiamy". Podobnie jak w przypadku Stalina dręczy ich to, że otwarcie nie mogą pochwalić się Smoleńskiem. Bo oni są dumni z tej zbrodni. ■

eprasa.pl 7c50a525a9



Rozmowy SKW-FSB na Łubiance w Moskwie w kwietniu 2012 roku. Pierwszy od lewej płk Krzysztof Dusza.

Sławomir Cenckiewicz



Michał Rachoń



SKW, której wiceszefem został płk Dusza, wycofała z sądu skargę, która mogła go pogrążyć

eprasa.pl 7c50a525a9



Pułkownik Krzysztof Dusza – negocjator umowy SKW-FSB za czasów „resetu", od grudnia 2023 roku wiceszef SKW – uratował sam siebie przed degradacją za współpracę z rosyjskimi służbami. Jak ustaliliśmy – Naczelny Sąd Administracyjny umorzył niedawno toczące się od 2021 roku postępowanie kasacyjne mogące doprowadzić do pozbawienia Duszy stopnia oficerskiego. Wszystko dlatego, że w styczniu 2024 roku skargę kasacyjną w jego sprawie cofnął nowy szef SKW gen. Jarosław Stróżyk, którego zastępcą jest... płk Dusza. To rażący konflikt interesów w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, który powinien skutkować natychmiastową dymisją Duszy.

FOT. ZE ZBIORÓW A. STANKOWSKIEGO - ARCH

Ta sytuacja nigdy nie powinna mieć miejsca. Pułkownik Krzysztof Dusza (rocznik 1968) – były funkcjonariusz Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i dyrektor Gabinetu Szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego – nigdy nie powinien zostać zastępcą szefa SKW! Dusza nie powinien w ogóle służyć w jakiejkolwiek polskiej służbie specjalnej ani nawet pracować w sektorze publiczno-państwowym. Oczywiście, głównie ze względu na kompromitujące informacje związane ze współpracą SKW z FSB w latach 2010–2014, której współkreatorem był właśnie Dusza. Ale to nie wszystko! Nie powinien pracować w SKW z uwagi na toczące się śledztwa, postępowania i sprawy sądowe, w których po dwóch różnych stronach sporu prawnego znajduje się obecnie Dusza i SKW. I jak się okazuje, próbuje wpływać na ich bieg.

Interesy Duszy nie są interesami Polski

W przypadku Duszy mamy do czynienia z klasycznym konfliktem interesów, w którym interes prywatny w rażący sposób stoi w sprzeczności z publicznym. Interes prywatny jest zawsze interesem jednostkowym lub grupowym, a interes publiczny ma charakter interesu ogólnego, dobra wspólnego. Interes Duszy jest zarówno interesem prywatnym, jak i grupowym ze względu na fakt, że współpracę z FSB realizowała grupa oficerów z kierownictwa SKW, która później została objęta śledztwem, a każdemu z funkcjonariuszy postawiono zarzuty karne. Konflikt interesów w tym przypadku rodzi się z wzajemnych powiązań i źle rozumianej lojalności, odnoszonej nie do instytucji państwowej (SKW), ale do „grupy przynależności, grupy wspólnego interesu" (grupa realizująca w przeszłości współpracę SKW-FSB). Interes osobisty Duszy stoi zatem w rażącej sprzeczności z interesem ogólnym i z interesem państwowym.

W kontekście Duszy wyczerpująca znamiona konfliktu interesów jest definicja przyjęta przez Radę Europy (obowiązująca w Polsce): „konflikt interesów pojawia się w sytuacji, w której funkcjonariusz publiczny posiada taki interes prywatny, który wpływa, lub wydaje się, że wpływa, na bezstronne i obiektywne wykonywanie jego obowiązków służbowych" („Konflikt interesów, czym jest i jak go unikać? Poradnik dla pracowników administracji rządowej", Warszawa 2015, s. 10).

W interesie prywatnym

W ostatnich dniach otrzymaliśmy potwierdzenie sytuacji opisanej w powyższej definicji Rady Europy, powielanej także w różnych wytycznych CBA i ABW

eprasa.pl 7c50a525a9

skierowanych do instytucji państwowych. Otóż po tym jak Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie wyrokiem z 26 kwietnia 2021 roku uchylił orzeczenie szefa SKW z 20 lipca 2020 roku w sprawie wymierzenia kary dyscyplinarnej w postaci pozbawienia Duszy stopnia oficerskiego, szef SKW złożył skargę kasacyjną od powyższego wyroku. Okazuje się, że nowy szef SKW, gen. Jarosław Stróżyk, pismem z 29 stycznia 2024 roku (data nadania – 30 stycznia 2024 roku) cofnął tę samą skargę kasacyjną w sprawie swojego zastępcy Krzysztofa Duszy! I na tej podstawie Naczelny Sąd Administracyjny umorzył postępowanie kasacyjne, które mogło doprowadzić do orzeczenia niekorzystnego dla Duszy.

Zasadne jest więc pytanie: czy Dusza nie wykorzystał swojego powrotu do pracy w SKW, by poprawić osobistą sytuację prawną i procesową, a tam, gdzie jest to możliwe, wycofywać z sądu toczące się sprawy przeciwko sobie, w których stroną jest SKW? Koincydencja czasowo-polityczna jest tutaj jednoznaczna: po tym jak w grudniu 2023 roku Dusza powrócił do służby w SKW i został zastępcą Stróżyka, ten, jako szef SKW, w styczniu 2024 roku wycofał skargę kasacyjną w sprawie swojego zastępcy. W ten sposób Stróżyk również popadł w konflikt interesów, gdyż można założyć, że jego interesem było i jest utrzymać Duszę na stanowisku zastępcy szefa SKW (o co sam formalnie wnioskował), a więc również oczyścić Duszę z wszelkich zarzutów i grożących mu niekorzystnych sądowych rozstrzygnięć. Jest to przykład wikłania zarówno Służby, jak i jej szefa (Stróżyka) w realizację prywatnego interesu funkcjonariusza SKW (Duszy). Eksperci z CBA określają taką sytuację mianem „likwidacji bezpiecznej przestrzeni do podejmowania decyzji" przez funkcjonariusza publicznego uwikłanego w konflikt interesów.

Ale to nie wszystko, gdyż interes prywatny w przypadku Duszy ma również wymiar politycznej zemsty związanej z ujawnieniem jego udziału w kompromitującej współpracy SKW z FSB, biesiadach alkoholowych z wysokimi rangą z funkcjonariuszami rosyjskich służb specjalnych, wyjazdach do Rosji i przygotowaniu sprzecznej z interesem państwa polskiego porozumieniem pomiędzy SKW i FSB.

Dusza a FSB

Historia osobistego zaangażowania Duszy w kontakty z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa w latach 2010–2014 jest bardzo bogata. Dotyczy ona m.in.:

– nieudokumentowania licznych spotkań i rozmów z funkcjonariuszami FSB (w siedzibie kontrwywiadu i poza nią – również na terenie Rosji);

– inicjowania w SKW interakcji i kontaktów z FSB;

– nieprofesjonalnego organizowania spotkań, kontaktów i współpracy pomiędzy SKW a FSB;

– aktywności w przygotowaniu niezgodnego z polską racją stanu porozumienia SKW z FSB „o współpracy i współdziałaniu w obszarze kontrwywiadu wojskowego" z 11 września 2013 roku;

– konspirowania kontaktów z FSB przed ABW, która jest w Polsce Krajową Władzą Bezpieczeństwa.

Fakty te zostały ujawnione przez SKW po 2015 roku (chociażby w odtajnionym materiale z audytu) i opisane w Raporcie Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022 poświęconym „Kontaktom Służby Kontrwywiadu Wojskowego z Federalną Służbą Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej w latach 2010–2014 (studium przypadku)".

Zemsta pochodną konfliktu interesów

Istnieje zatem uzasadnione domniemanie, że wobec wszystkich osób zaangażowanych na różnych etapach służby państwowej w wyjaśnienie i ujawnienie okoliczności związanych ze współpracą SKW z FSB w latach 2010–2014, w tym udziału w tych przedsięwzięciach obecnego zastępcy szefa SKW, Krzysztof Dusza może kierować się chęcią osobistej zemsty i może zechcieć wykorzystać do tego stanowisko państwowe, jakie obecnie pełni. Z licznych informacji, chociażby tych wynikających z interpelacji poselskich posła Mariusza Błaszczaka (na przykład zatrudnianie osób zaangażowanych we współpracę SKW-FSB i pospolitych hejterów zwalczających w mediach społecznościach osoby zaangażowane w ujawnienie kontaktów kontrwywiadu wojskowego z rosyjskimi służbami specjalnymi), płynie jednoznaczny wniosek, że tego typu działania zostały już podjęte.

Sprawa wycofania skargi kasacyjnej i będące tego konsekwencją postanowienie Naczelnego Sądu Administracyjnego może być tego potwierdzeniem.

Należy podkreślić, że SKW, w której Dusza pełni obecnie drugie w hierarchii ważności stanowisko, jest instytucją kluczową, jeśli chodzi zarówno o wiedzę na temat osób zaangażowanych we współpracę z FSB w latach 2010–2014, jak i tych, którzy tę współpracę później rekonstruowali, służąc w SKW, w instytucjach MON, wojskowej prokuraturze lub innych urzędach. Część z tych osób podlegała w przeszłości lub podlega obecnie procedurom sprawdzającym ze względu na dostęp do informacji niejawnych realizowanym przez SKW. Wrażliwa dokumentacja z postępowań sprawdzających tych osób znajduje się w zasobach SKW. Dlatego niezmiernie ważne jest odsunięcie funkcjonariu-

eprasa.pl 7c50a525a9

sza, który potencjalnie podejmuje działania i decyzje w rażącym konflikcie interesów, od pełnienia jakichkolwiek funkcji (a tym bardziej kierowniczych) w SKW.

Scenariusz odwetu i natychmiastowa dymisja Duszy

Interes prywatny, który w przypadku Duszy „wpływa, lub wydaje się", że może „wpływać, na bezstronne i obiektywne wykonywanie jego obowiązków służbowych", dotyczyć więc może:

– urzędników, funkcjonariuszy i żołnierzy SKW, którzy badali po 2015 roku sprawę kontaktów i współpracy kierownictwa SKW (w tym Duszy) z FSB;

– autorów raportu SKW z 2016 roku na temat współpracy kierownictwa SKW z FSB;

– osób przygotowujących w 2016 roku zawiadomienie do prokuratury w związku z ujawnioną współpracą SKW z FSB;

– prokuratorów Prokuratury Okręgowej w Warszawie (Wydział do spraw Wojskowych) prowadzących śledztwo w sprawie współpracy SKW z FSB;

– urzędników, funkcjonariuszy i żołnierzy SKW uczestniczących w czynnościach śledczych lub postępowaniach sądowych, w których stroną był Dusza;

– funkcjonariuszy i żołnierzy SKW, którzy udostępniali prokuraturze i Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022 materiały na temat współpracy kierownictwa SKW z FSB;

– autorów Raportu Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich poświęconego „Kontaktom Służby Kontrwywiadu Wojskowego z Federalną Służbą Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej w latach 2010–2014 (studium przypadku)", z których kilku pracowało lub wciąż pracuje w instytucjach MON i posiadają oni certyfikaty dostępu do informacji niejawnych (postępowania sprawdzające w tych sprawach prowadziła SKW);

– pracowników archiwów państwowych, w tym Wojskowego Biura Historycznego (ochranianego kontrwywiadowczo przez SKW), w których znajdują się dokumenty opisujące kontakty i współpracę kierownictwa SKW z FSB (w tym rolę Duszy);

– instytucji, w których są zatrudnione osoby zaangażowane w ujawnienie okoliczności współpracy kierownictwa SKW z FSB. Dobrym przykładem, potencjalnie tego typu działań, jest wycofanie zgody na dodatkowe zatrudnienie dla funkcjonariusza SKW – dr. Konrada Paduszka, który od lat wykładał w Instytucie Historii Wojskowości Akademii Sztuki Wojennej (w tym na podyplomowych studiach „Służby Specjalne"), który współorganizował i zakładał Sławomir Cenckiewicz. Wycofanie zgody nastąpiło podczas trwającego semestru;

– twórców, realizatorów i źródeł informacji autorów serialu dokumentalnego „Reset" (TVP 2023 rok), którzy po raz pierwszy ujawnili kulisy współpracy SKW z FSB, w tym kompromitujące Duszę kilkugodzinne nagrania z alkoholowego obiadu z przedstawicielami FSB w restauracji „Srebrny Dzwon" w Kadynach w dniu 1 października 2013 roku (właściciel restauracji-hotelu posiadał własny monitoring i wbrew woli SKW nagrał biesiadę na wideo).

Obowiązek usunięcia Duszy z SKW

Niezależnie od obciążającej dziś całą SKW historii Krzysztofa Duszy oraz permanentne ryzyko prowokacji rosyjskich związanych z relacjami SKW-FSB w przeszłości (i z zaangażowaniem w te relacje funkcjonariusza będącego dziś w czynnej służbie kontrwywiadu), samo domniemanie zachodzącego tu konfliktu pomiędzy interesem prywatnym i publicznym powinno przyczynić się do natychmiastowego usunięcia Krzysztofa Duszy z SKW. Powinien on być co najmniej odsunięty od wszelkich czynności, które nasuwają podejrzenie działania w konflikcie interesów, lub też powinien zostać urlopowany (bez prawa wstępu do siedziby SKW i kontaktowania się z funkcjonariuszami i żołnierzami Służby) do czasu zakończenia wszystkich śledztw i postępowań dotyczących zainteresowanego. „Higiena" wewnętrzna, bezpieczeństwo SKW i usunięcie ryzyka skompromitowania państwa polskiego, wymaga jednak jak najszybszego pozbycia się Duszy ze Służby.

Należy też natychmiast zabezpieczyć wszelkie materiały ewidencyjne dotyczące rozmów realizowanych przez Duszę z telefonów służbowych (komórkowych i stacjonarnych SKW) oraz jego spotkań w siedzibie SKW (przy założeniu, że odwiedzający go goście są zawsze rejestrowani, a spotkania ewidencjonowane) lub poza siedzibą Służby z osobami, które w jakikolwiek sposób mogą mieć związek z działaniami zastępcy szefa SKW w przeszłości (współpraca SKW z FSB) lub toczącymi się obecnie wobec niego śledztwami i postępowaniami. Dotyczy to zarówno funkcjonariuszy i żołnierzy, urzędników, prokuratorów, polityków, kolegów, z którymi realizował w przeszłości współpracę pomiędzy SKW a FSB (Janusz Nosek, Piotr Pytel, Dariusz Pilarz, Krzysztof Siejek i inni), jak i dziennikarzy, których Dusza może inspirować do tworzenia publikacji korzystnych dla jego wizerunku.

Wicepremier i minister obrony narodowej przy wymuszonym wsparciu na ministrze-koordynatorze ds. służb specjalnych (niestety również uwikłanego w przeszłości w „reset" z Rosją), powinien niezwłocznie w SKW powołać – rekomendowany w takich sytuacjach przez CBA i ABW – „Zespół ds. nadzoru nad realizacją polityki zapobiegania powstawaniu konfliktów intere-

eprasa.pl 7c50a525a9

sów", który zabezpieczy Służbę przed skutkami tej jakże bezprecedensowej i groźnej sytuacji. Tym bardziej, że interes osobisty jednego funkcjonariusza uwikłał już w jego sprawę bezpośredniego przełożonego, a sprawa potencjalnie dotyczy również innych funkcjonariuszy i żołnierzy zaangażowanych w kontakty z rosyjskimi służbami specjalnymi w latach 2010–2014.

Powstaje więc pytanie, na ile sprawa ta nie kwalifikuje się już na postępowanie CBA?

Struktura konfliktu interesów Duszy

Z chwilą, kiedy Krzysztof Dusza zostawał w grudniu 2023 roku zastępcą szefa SKW, był objęty następującymi postępowaniami:

– śledztwo Prokuratury Okręgowej w Warszawie (Wydział do spraw Wojskowych) w sprawie kontaktów z FSB, gdzie przedstawiono Duszy zarzuty karne (śledztwo nie zostało umorzone, a akt oskarżenia nie został przesłany do sądu). Śledztwo wszczęto z zawiadomienia SKW;

– sprawa w sądzie karnym w Warszawie z odwołania SKW od wyroku uniewinniającego Duszę od nielegalnego wyniesienia dokumentów do Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu (które wbrew obiegowym opiniom w tamtym czasie nie miało jakiejkolwiek akredytacji NATO). Sąd stwierdził, że doszło do przekroczenia uprawnień (niedopełnienia obowiązków) służbowych polegających na bezprawnym wyniesieniu ze Służby dokumentów niejawnych, jednak uniewinnił Duszę, gdyż jak stwierdził, nie doszło do powstania szkody dla SKW;

– sprawa w Sądzie Najwyższym z odwołania prokuratury od wyroku dotyczącego umorzenia postępowania dotyczącego kradzieży książek należących do SKW, które zostały znalezione w CEK. Księgozbiór pochodził z biblioteki SKW (własność Służby) i został wyceniony na około 20 tys. złotych. Dusza twierdził później w wywiadach prasowych, że książki były jego własnością lub że „były przeznaczone na przemiał" i zabrał je do CEK „jako dekorację" (z uwagi na ich estetyczną oprawę i wygląd);

– sprawa w Naczelnym Sądzie Administracyjnym ze skargi Duszy na orzeczenie Szefa SKW w przedmiocie wymierzenia kary dyscyplinarnej pozbawienia stopnia oficerskiego;

– sprawa w sądzie administracyjnym ze skargi Duszy na decyzję o cofnięciu poświadczenia bezpieczeństwa na dostęp do informacji niejawnych (sprawa zakończyła się umorzeniem w 2024 roku);

– rekomendacja Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022, by Duszy nie powierzać „zadań, stanowisk i funkcji związanych z odpowiedzialnością za bezpieczeństwo RP". W uzasadnieniu tej rekomendacji (dotyczącej gen. Janusza Noska i gen. Piotra Pytla oraz płk Krzysztofa Duszy) czytamy: „Wyżej wymienieni, będąc wieloletnimi funkcjonariuszami służb specjalnych RP, wbrew należytym standardom ostrożności kontrwywiadowczej oraz łamiąc pragmatykę służb (m.in. w zakresie dokumentowania spotkań z przedstawicielami obcych służb), zaangażowali się w liczne kontakty z przedstawicielami FSB, nie informując przy tym Krajowej Władzy Bezpieczeństwa (ABW) i przedstawiając niepełny obraz wyżej opisanych kontaktów z FSB swoim politycznym przełożonym";

– postanowienie Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022 o wszczęciu postępowania z 29 listopada 2023 roku wobec Duszy. Komisja (nieobsadzona) formalnie wciąż istnieje, choć odwołano jej skład decyzją Sejmu RP, więc postanowienie w sprawie Duszy nie zostało wycofane.

Wszystkie te sprawy i postępowania muszą być (i są) na bieżąco monitorowane i powinny podlegać politycznej i społecznej kontroli.

Pytania, które znajdą odpowiedź

Wszystkie te śledztwa, postępowania i sprawy faktycznie uniemożliwiały (a przynajmniej powinny) powrót Krzysztofa Duszy do pracy w SKW, a więc także objęcie przez niego stanowiska zastępcy szefa SKW.

Odrębnym zagadnieniem jest w tym kontekście kwestia legalności dostępu Duszy do informacji niejawnych, po tym jak został ponownie przyjęty do pracy w SKW w grudniu 2023 roku. Nie wiemy: czy, kto i kiedy wydał Duszy tymczasową zgodę na dostęp do informacji niejawnych? Nie wiemy, czy i na jakiej podstawie oraz w oparciu o jakie przepisy prawa i regulaminu SKW został on objęty poszerzonym postępowaniem sprawdzającym umożliwiającym otrzymanie zgody na dostęp do informacji niejawnych? Nie wiemy również, czy jego kontakty z funkcjonariuszami FSB w okresie współpracy SKW-FSB stały się przedmiotem wysłuchania Duszy przez jednostkę bezpieczeństwa wewnętrznego SKW i czy zastosowano wobec niego procedurę badania poligraficznego? I może najważniejsze: nie wiemy czy i jakie materiały w swojej osobistej sprawie obejrzał Dusza w SKW od grudnia 2023 do marca 2024 roku?

Interpelacje poselskie w tej i innych sprawach dotyczących Duszy wciąż pozostają bez odpowiedzi MON i SKW. Ale mimo wszystko sporo wiemy…

Będziemy o tym wkrótce mówić, pisać i opowiadać w reportażach filmowych, bez względu na próby zastraszania i podjęcie działań odwetowych. ■

Tekst pierwotnie ukazał się na portalu Niezalezna.pl, 25 marca 2024 roku.

eprasa.pl 7c50a525a9



Ryszard Czarnecki

Smoleńsk – kontekst międzynarodowy, kontekst szacunku

Wiele lat spędzonych przeze mnie w strukturach międzynarodowych jako przedstawiciela Polski pokazuje dowodnie jedną rzecz: nie są szanowane te kraje, które same siebie nie szanują.

Gdy ostatnio przechodziliśmy, jak dziesiątego dnia każdego miesiąca, po Mszy świętej „smoleńskiej" z Kościoła Seminaryjnego na plac Piłsudskiego pod pomniki prezydenta Kaczyńskiego i Ofiar tragedii z 2010 roku – ktoś z niezbyt licznej ciżby protestujących, dla których nie ma żadnej świętości – krzyknął: „A co ze śledztwem smoleńskim?". Nieszczęsny pomylił adresatów i miejsca. Mógłby to wykrzyczeć przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich albo nieco dalej – przed ambasadą Rosji. No ale na to trzeba odwagi.

W sprawie wyjaśnienia tej największej polskiej tragedii po II wojnie światowej – to sformułowanie z uchwały Sejmu RP sprzed 14 lat – kumuluje się, jak w soczewce, to wszystko, co najgorsze w naszej ojczyźnie w ostatnich dwóch dekadach: całkowity brak empatii dla rodzin Ofiar Smoleńska, przyznanie, że to „obcy" (w tym przypadku Rosja), a nie „swoi" mają rację, nienawiść do rodaków mających inne poglądy, a przede wszystkim domagających się sprawiedliwości.

To oczywiste, że najważniejsze były pierwsze godziny i dni po 10 kwietnia 2010 roku. Wtedy ówczesny rząd nie zrobił nic, aby umiędzynarodowić śledztwo smoleńskie. Szansa na to była również w kolejnych miesiącach: przyznała to Komisja Europejska na moje specjalne pisemne zapytanie (w Polsce określa się to jako „interpelacja") z lipca 2020 roku. Dotyczyło ono gotowości UE (reprezentowanej przez Komisję i jej przewodniczącego Jose Manuela Durao Barroso) do uczestnictwa w międzynarodowym śledztwie, gdyby do niego doszło, poprzez delegowanie do niej swoich przedstawicieli. Druga moja interpelacja z grudnia 2010 roku była o tyle ważna, że w odpowiedzi KE przyznała, że rząd Donalda Tuska reprezentujący kraj członkowski UE, nie zwrócił się do władz Unii z taką propozycją! Skądinąd wkrótce po tym – być może na skutek mojego zapytania, choć tego nie wiem – pojawiła się publicznie deklaracja szefa Komisji Europejskiej pomocy dla rządu w Polsce z jednoczesnym przyznaniem, że gabinet Tuska dotychczas o to nie poprosił…

Polityka to także gesty. Polityka to również symbole. Jeżeli obecne władze, nie zachowując nawet żadnych pozorów, nie dbając choćby o „wyborców środka", po przejęciu władzy błyskawicznie demolują komisję, która zajmowała się wyjaśnieniem tragedii smoleńskiej – to doprawdy wszystko mówi.

Jednak nie należy Smoleńska postrzegać głównie jako sprawy wewnętrznej Polski. Nie chodzi tylko o sygnał dany przez obecne władze do Polaków, że Rosjanie mogli wymordować nasze elity, a państwo polskie się z tym pogodzi i na to nie reaguje ani w wymiarze międzynarodowym, ani w relacjach bilateralnych. Co więcej: ściga tych, którzy usiłują walczyć o prawdę. Ważny jest szczególnie wymiar międzynarodowy. Czy będzie poważane w Europie i na świecie państwo, które nie upomina się o elity swojego narodu, które prawdopodobnie umyślnie zgładzono? Skoro w tak fundamentalnej sprawie nie ma kontynuacji przez nową ekipę tego, co robił rząd poprzedni, to czy nie jest to zachęta, aby do takich metod, gdy Rosja uzna to za potrzebne, sięgnęła ponownie?

Wiele lat spędzonych przeze mnie w strukturach międzynarodowych jako przedstawiciela Polski pokazuje dowodnie jedną rzecz: nie są szanowane te kraje, które same siebie nie szanują. Działania na rzecz wyjaśnienia sprawy smoleńskiej poza poznaniem prawdy, która się Polakom i światu należy, są też bitwą o szacunek wobec Polski i naszej historii, która przecież często w Europie i poza nią jest fałszowana.

Warto podkreślać ten międzynarodowy wymiar Smoleńska. Przekłada się on także na bieżącą politykę zagraniczną. Przecież w niej respekt do partnera też jest istotnym elementem gry.

To wielki dramat Polski, że Rosjanie mają w naszym kraju sojuszników, którzy z różnych powodów nie chcą wiedzieć, co stało się pod Smoleńskiem. Moskwa wykorzystuje pokłady podłości nad Wisłą.... ■

eprasa.pl 7c50a525a9



Krzysztof Wołodźko

SARMACJA W NASZYCH OCZACH. MIĘDZY MITEM A KARYKATURĄ

eprasa.pl 7c50a525a9



Dziejowe katastrofy, traumy i transformacje spowodowały, że Sarmacja nie jest znaczącym elementem realnego dziedzictwa współczesnej Polski. Istnieje raczej jako coraz częściej krytykowany mit niż element konstytuujący historyczne długie trwanie narodu, społeczeństwa, państwa. Tym cenniejsze są wszelkie próby przypomnienia sarmackiego dziedzictwa I Rzeczypospolitej – należą do nich książki „Kontusz" i „Setnik białogłów i mężów sarmackich" wydane przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

FOT. ARCH

eprasa.pl 7c50a525a9

„1670", czyli polski serial komediowy w konwencji mockumentu, to jeden z największych przebojów filmowych ostatnich miesięcy. Mockument to odmiana paradokumentu, gatunek filmowy i telewizyjny udający – często w satyrycznej formie – film dokumentalny. W serialu Netfliksa istotna jest pastiszowa dwuznaczność: z jednej strony twórcy użyli mitów, stereotypów, popkulturowych i modnych popularnonaukowo-publicystycznych odniesień dla wykpienia sarmackiej Polski; z drugiej strony to satyra na współczesną Polskę czy może nawet – wielkomiejską warstwę społeczną aspirującą do roli klasy średniej. Nawet Kościół rzymskokatolicki sportretowany jest jako dzisiejsza korporacja, a jego serialowy przedstawiciel, młody ksiądz Jakub Adamczewski (Michał Sikorski), mówi do szlachty i chłopów językiem Mordoru na Domanieckiej. Nie da się wykluczyć, że Kościół tak właśnie jest dziś postrzegany przez część polskiego społeczeństwa – jako korporacja, którą przerosły sukcesy poprzednich dekad.

Sarmacja na popkulturowym marginesie

Nie będzie to recenzja „1670". Znacznie bardziej frapujący wydaje się inny problem. Mit sarmacki w III RP właściwie nie został opowiedziany na nowo. Popkulturowo opowieść o Rzeczpospolitej Obojga Narodów to wciąż ekranizacja „Trylogii" Henryka Sienkiewicza. „Potop" i „Pan Wołodyjowski" Jerzego Hoffmana powstały w czasach PRL. Długotrwała zależność od Sowietów spowodowała, że ekranizacja „Ogniem i mieczem", także w reżyserii wspomnianego reżysera, powstała dopiero w III RP. Jeszcze w czasach PRL nakręcono seriale „Królowa Bona" o czasach Zygmunta I Starego i „Królewskie sny" o panowaniu Władysława II Jagiełły. A także „Czarne chmury" z lat 70., które opowiadały o konflikcie wokół Prus Książęcych w połowie XVII wieku. Opowieść spod znaku płaszcza i szpady miała zresztą mocny antyniemiecki przekaz – zgodnie z oczekiwaniami PRL-owskich władz.

Żadna z tych opowieści nie jest jednak w pełni historią o sarmackich familiach i sarmackiej Rzeczpospolitej. O jej duchu, korzeniach, obyczajach, codzienności, aspiracjach. W czasach III RP, na pierwszy rzut oka znacznie bardziej sprzyjających odrodzeniu popkulturowego mitu Sarmacji, właściwie nie podjęto tematu. Przyczyn może być wiele – kryzys i komercjalizacja kinematografii w latach 90., ograniczone środki finansowe, kult swoiście pojętej nowoczesności, modernizacji i okcydentalizacji. Odżyła za to opowieść o Kresach, ale w najtragiczniejszej odsłonie – najlepszym przykładem jest tu kontrowersyjna „Boża podszewka". Sukces serialowej „Korony królów" (TVP z czasów Jacka Kurskiego i Mateusza Matyszkowicza) i bestsellery Elżbiety Cherezińskiej o początkach polskiej państwowości pokazały, że warto sięgać w głąb naszej historii. Ale to nie jest sarmacka opowieść – choć „Korona królów" sięgnęła już epoki Jagiellonów. Rzecz jasna, w polskiej kulturze istnieje pozytywny obraz Sarmacji – zawdzięczamy go choćby historykowi sztuki i bardowi Jackowi Kowalskiemu. Bardziej wtajemniczeni w poezję śpiewaną wsłuchają się także w niedocenioną „Sarmację" Jacka Kaczmarskiego. Głęboko w szlacheckim uniwersum I Rzeczypospolitej zanurzona jest także twórczość Jacka Komudy, który własnym sumptem nakręcił miniserial przygodowy „Diabeł łańcucki".

Ale sarmacka opowieść w polskiej samoświadomości funkcjonuje raczej jako satyra na leniwego i kłótliwego szlachcica niźli pełnoprawna historia z pozytywnymi bohaterami. Tych ostatnich właściwie nie ma – albo są postaciami tragicznymi lub pogrążonymi na starość w melancholii szlachciurami-szachrajami. W ostatnich latach opowieść o Sarmacji otrzymała kolejny, mocny cios. To popularnonaukowa, eseistyczna i publicystyczna „ludowa historia Polski", która przypomniała o długim cieniu pańszczyzny, wlokącym się za naszą historią. Taka historia musiała zostać opowiedziana. Tyle że bardzo szybko została wykorzystana do dyskredytacji i tak już popkulturowo osłabionego mitu sarmackiej Rzeczypospolitej.

Pasek, Kitowicz i Rzewuski wciąż czekają

To dlatego „1670" kulturowo i popkulturowo jest tak dwuznaczne: mamy szyderstwo, pastisz, krytykę i kpinę sarmackich mitów, ale w głównym nurcie wyobraźni społecznej i popkulturowej nie istnieje właściwie pozytywny mit Sarmacji. To tak, jakby zaczynać budowę domu od dymu z komina – to się może udać tylko w wierszach. Łatwo jest rozprawiać się z mitem Sarmacji, ale jak wiele o niej dziś wiemy? O jej blaskach i cieniach? Gdybyśmy mieli chociaż nakręcony z rozmachem i pazurem film na podstawie „Pamiętników" Jana Chryzostoma Paska. Albo serial o księdzu Jędrzeju Kitowiczu, albo rzecz na podstawie jego „Opisu obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III". A do tego, jak zmierzch nad Sarmacją, wieloodcinkową, barwnie zrobioną, filmową opowieść o Henryku Rzewuskim – wtedy „1670" miałoby jakiś mocny punkt odniesienia, twardego adwersarza, urealnione źródło polemiki. Ale tego wszystkiego brakuje – jako propozycji streamingowych gigantów, jako propozycji na VOD Telewizji Polskiej. I pewnie już tego w najbliższych latach nie będzie. A może nie będzie już nigdy.

Sarmacka Polska była i jest co najwyżej sennym marzeniem, zbiorem mitów, z których część opowia-

eprasa.pl 7c50a525a9

dała o szlachcie bitnej, lecz pewnej przywar. Przeniknęła nawet do bliższej naszym czasom narodowej martyrologii. Rzecz w tym, że husarskie skrzydła wkomponowane na tiszirtach w wizerunki Żołnierzy Wyklętych to zdecydowanie za mało – tym bardziej, że włącza sarmacką tradycję w jeden najbardziej polaryzujących dziś sporów tożsamościowych. I odbiera opowieści o Sarmacji samoistność i spójność. A bez niej trudno przedstawić – w sposób kompletny, wyważony i wartościowy – opowieść o I Rzeczypospolitej. Już dziś istnieje niestety obawa, że w razie tragicznego kryzysu polskiej państwowości i samej polskości (gdyby wojna Rosji przeciw NATO przybrała najgorszy scenariusz) postsowiecka propaganda wykorzystałaby dla upodlenia naszego narodu i państwa także antysarmackie mity. Tak jak Sowieci wykorzystywali propagandowe obrazy „pańskiej Polski", a carscy historycy – paszkwile uderzające w duchowieństwo katolickie i unickie.

Wiele wskazuje na to, że putinowska Rosja zdolna jest propagandowo do uspójnienia antypolskich narracji, zarówno najnowszych, jak i z czasów sowieckich, oraz tych z epoki caratu. Warto sobie uświadomić, co przeciętny odbiorca polskojęzycznych mass mediów, wychowany w czasach III RP, byłby zdolny przeciwstawić zmasowanej rosyjskiej propagandzie – gdyby przetrwał fizyczny terror. Miejmy nadzieję, że tego rodzaju rozważania pozostaną w szufladzie z opisem „niepotrzebne czarnowidztwo". Ale nie mamy (i nigdy nie mieliśmy) stuprocentowej gwarancji, że tak będzie. To paradygmaty „końca historii" i „wiecznego pokoju w Europie" były karygodnymi błędami perspektywy.

PIW przychodzi z pomocą

Wróćmy do głównego nurtu rozważań. Dzieje sarmackiej Polski nie zniknęły na szczęście kompletnie z pola widzenia przynajmniej części współczesnej inteligencji. W 2023 roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazały się książki „Kontusz. Z dziejów polskiego ubioru narodowego" Beaty Biedrońskiej-Słoty i Marii Molendy i „Setnik białogłów i mężów sarmackich – statystów, wojowników, pisarzy i gospodarzy, ku nauce i pożytkowi zebrany" Henryka Litwina. Daleko stąd jeszcze do powszechnych popkulturowych wyobrażeń. Dobrze jednak, że cieszące się znaczną renomą wydawnictwo dba o to, by przedstawić czytelnikom rzetelną opowieść z dziejów Sarmacji. Dzięki temu można – choćby za sprawą skromnego artykułu – przynajmniej niektórym odbiorcom masowej kultury przedstawić inny punkt widzenia na sarmacką tematykę niż Netfliksowy mockument. I to stanowi dziś spore wyzwanie – szczególnie niewdzięczne, bo łatwo narazić się na pohukiwania ze strony tych, którzy za etycznie i merytorycznie słuszną uważają jedynie perspektywę „ludowej historii Polski" (choć często są „towarzyszami podróży" lewicowo-liberalnych elit III RP), a jakąkolwiek próbę obrony sarmackiego dziedzictwa uznają za nową formę ideowo-historycznego reakcjonizmu.

Kontusz był dla szlachty nie tylko kwestią ubioru i mody. Szlacheckie poczucie supremacji, dostrzegane w tamtym czasie nie tylko przez cudzoziemców, miało swój wyraz również w podejściu do sarmackiego stroju.

„Setnik białogłów i mężów sarmackich" to biograficzne opowieści o stu postaciach z dziejów Rzeczpospolitej Obojga Narodów, od czasów Zygmunta Augusta do 1668 roku. Henryk Litwin we wstępie do książki przywołuje postać Szymona Starowolskiego (1588–1656), którego nazywa „jednoosobowym urzędem do spraw promocji Polski za granicą". Starowolski był autorem uczonego kompendium „1632 Polonia", które „dla wielu europejskich intelektualistów i polityków stało się głównym źródłem wiedzy o geografii Rzeczypospolitej, ale też jej ustroju i obyczajach". Jego dzieło zaczynało się od słów: „Polska, przez starożytnych Sarmacją Europejską nazwana...". I opierało na dwóch kluczowych cechach: wskazywało „więź [Sarmacji – red.] z europejską kulturą zachodniochrześcijańską oraz zharmonizowaną mnogość tradycji kulturowo-terytorialnych, połączonych we wspólnotę państwa polsko-litewskiego".

Zakonnica i irlandzki najemnik

Henryk Litwin, czerpiąc wzór z twórczości Starowolskiego, stawia przed nami wiele historycznych po-

eprasa.pl 7c50a525a9

staci w służbie Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Każdy z tych życiorysów to rozdział wielkiej historycznej epopei, jaką była wielokulturowa i wielowyznaniowa Sarmacja, rozkochana w wolności, ale i pracująca dla dobra Rzeczypospolitej mieczem, piórem, modlitwą i gospodarnością. To często świadectwo wielkiej siły przyciągania, jaki miała Sarmacja dla ludzi z różnych części Europy.

Najróżniejsi są bohaterowie „Setnika". Jest wśród nich uszlachcony w 1627 roku za „odważne i krwawe posługi" dla Rzeczpospolitej irlandzki najemnik, kapitan James Butler. Butler dziesięć lat wcześniej ruszył na Moskwę z wojskami królewicza Władysława, syna Zygmunta III. Później w Inflantach walczył po polskiej stronie ze Szwedami. Jeszcze większe zasługi dla Rzeczypospolitej położył w późniejszych latach, szczególnie w czasach wyprawy smoleńskiej, Władysława IV: „Brytyjski najemnik, który trafił do wschodniej Europy, by służyć w armii szwedzkiego, protestanckiego króla, dokonał wyboru, który odmienił jego wyznanie i drogę życiową. Służba w litewskim, a potem polskim wojsku uczyniła z niego polskiego szlachcica, katolika i patriotę Rzeczypospolitej".

Wśród bohaterek „Setnika" jest benedyktynka Magdalena Mortęska, pionierka szkolnictwa dla dziewcząt. Jej ojciec chciał ją koniecznie wyswatać. Zabronił dwunastolatce uczyć się pisać i czytać. Harda dziewczyna wolała pójść do zakonu i po latach dopięła swego: podczas rekolekcji u benedyktynek w Chełmnie wstąpiła do zgromadzenia. Ojciec chciał zbrojnie odbić córkę, ale zaniechał tego za sprawą mediacji rodzinnych. Magdalena Mortęska, już jako ksieni, postawiła na nogi zakonne wspólnoty. To także dzięki jej staraniom żeńskie klasztory benedyktyńskie mogły w Rzeczypospolitej zająć się edukacją „panien świeckich". Henryk Litwin zwraca uwagę, że „szkoły benedyktyńskie dla dziewcząt były nastawione na pracę w środowiskach średniej szlachty i dobrze sytuowanego mieszczaństwa, czyli warstw o silnym poczuciu obywatelskim". Wojna szwedzka (1626–1629) przyniosła zniszczenie klasztoru w Chełmnie, z którego ksieni wraz z zakonnicami musiały spiesznie uciekać.

▶ Sarmata w kontuszu, czyli blaski i cienie przeszłości

„Kontusz" Beaty Biedrońskiej-Słoty i Marii Molendy to ze smakiem wydana ilustrowana książka, która opowiada o specyfice polskiego ubioru narodowego. Autorki z detalami opisują historię kontusza: ewolucję i szczegóły ubioru oraz kulturowo-polityczny kontekst. Kontusz był jawną manifestacją polskości także wobec ościennych narodów. Nie bez przyczyny Jan Jakub Rousseau w głośnych „Uwagach o rządzie Polski", ukończonych rok przed pierwszym rozbiorem, pisał: „Uważam to za szczęście, że Polacy mają swój strój narodowy. Zachowajcie starannie tę korzyść: zróbcie wręcz przeciwnie jak ów car, tak wychwalany [Piotr I Wielki kazał ściąć bojarom brody i zabronił nosić się z ruska – przyp. K.W.]. Niech król, senatorowie i wszyscy mężowie publiczni noszą zawsze tylko strój narodowy i niechaj żaden Polak nie ośmieli się pokazać u dworu ubrany z francuska". Francuski myśliciel zauważył rzecz nie mniej niestety istotną: „Często mówiono i powtarzano, że Rzeczpospolita Polska składa się z trzech stanów: szlacheckiego, senatu i króla. Powiedziałbym raczej, że naród polski składa się z trzech stanów: szlachty, będącej wszystkim, mieszczan, będących niczym, i włościan, którzy są mniej niż niczym". Na marginesie – sprawa nie była aż tak oczywista, przynajmniej jeśli chodzi o mieszczaństwo, o czym przypomina Richard Butterwick w książce „Światło i płomień. Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733–1795" – recenzowałem ją dla „Nowego Państwa", nr 200, 03/2023).

Kontusz był dla szlachty nie tylko kwestią ubioru i mody. Szlacheckie poczucie supremacji, dostrzegane w tamtym czasie nie tylko przez cudzoziemców, miało swój wyraz również w podejściu do sarmackiego stroju. Rzeczpospolita stała na krawędzi zagłady, gdy szlachta podczas sejmu konwokacyjnego w 1764 roku chciała wymusić na Stanisławie Auguście Poniatowskim, by ubrał się po polsku. Skończyło się awanturą, lecz tragiczny kochanek carycy Katarzyny II się nie ugiął. Większe wyczucie „politycznego marketingu" miał magnat Jan Potocki („wychowany za granicą, mówił lepiej po francusku niż po polsku"), który w 1788 roku chciał zdobyć mandat poselski na sejm z województwa poznańskiego: na sejmiku w środzie pokazał się w kontuszu, wzbudzając entuzjazm szlachty.

Z bogactwa sarmackiej historii – życiorysów, strojów, obyczajów – moglibyśmy ułożyć niejedną opowieść o Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Przytoczone wyżej przykłady pokazują, że nie musiałyby to być opowieści czarno-białe. Cała sztuka w tym, by pokazać sarmacką Polskę w całym jej bogactwie, w splendorze, krwawych tragediach. Nie unikając kontrowersyjnych wątków, które czyniły szlachtę groteskowo śmieszną i chwalebnie bohaterską. Rzeczpospolita Obojga Narodów to była też rzetelna praca, obywatelski znój, duchowe zmaganie pokoleń „białogłów i mężów sarmackich". Czy zdążymy sobie to uświadomić jako społeczeństwo i naród przed kolejnym dziejowym wyzwaniem? Czy na zawsze zostawimy Sarmację w mrokach dziejów, wydaną na pastwę coraz bardziej skarykaturowanych mitów? ■

eprasa.pl 7c50a525a9

Małgorzata Matuszak



O SŁOWIE, OBRAZIE I POŚPIECHU

Statystyki czytelnictwa w Polsce z roku na rok spadają. Mówi się wręcz o kryzysie w tej materii, choć jeszcze parę dekad temu w naszym kraju wielu było „moli książkowych", a książki, pisarze i lektury do późnej nocy miały swój status i właściwą godność. Przyczyn tego potęgującego się i niepokojącego zjawiska można wymienić wiele.

FOT. ADOBE STOCK

Nie czytamy, bo brakuje nam na to czasu, bo nie czujemy takiej potrzeby, bo nas to nuży, nie interesuje, bo książki są drogie – to tylko kilka z wymienianych powodów. Na każdy z ich można przygotować odpowiednią ripostę. Może jednak warto zastanowić się, czy ów spadek zainteresowania książkami nie wpisuje się w jakiś szerszy kontekst?

Internauta kontra czytelnik

Nie ulega wątpliwości, że ranga książek i ich czytania dramatycznie spada, ale niechybnie mamy też do czynienia z szerszymi zmianami kulturowymi, które nadając ton naszym czasom, rzuciły cień na polskie zamiłowanie do lektury. Wraz z pojawieniem się na masową skalę możliwości dystrybucji obrazów w kulturze popularnej w postaci fotografii, filmów w mass mediach i kinach, a współcześnie również w Internecie, bez którego nie możemy sobie wyobrazić świata, narodziło się zjawisko, które słowo pisane spycha coraz bardziej na margines naszego świata. Kiedy gazety czy newsy internetowe posługują się słowem pisanym, to operują przykuwającymi natychmiast uwagę czytelnika krótkimi i treściwymi komunikatami. Kosztem często formy tekstu pisanego odbywa się komunikacja z czytelnikiem, któremu coraz trudniej przychodzi przyswajanie tekstów złożonych, o barwnym języku, takich jak literatura piękna czy poezja. Dlaczego?

Dlatego, że nasz mózg jest nieustannie trenowany do czytania prostych komunikatów, w sytuacji zalewu informacjami przez Internet, wybieramy zatem te, które od pierwszego zdania są łatwe do zrozumienia. Szkoda już nam czasu na lekturę tekstów pisanych w bardziej złożony sposób, które do zrozumienia są trudne, a wiedząc o tym, copywriterzy i specjaliści od contentu [treści, zawartości – przyp. red.], dostarczają na strony internetowe tylko takie treści, które czytelnik przyswoi szybko i przy najmniejszym wysiłku. Czytelnik bardziej złożonych lektur również coraz częściej przekonuje się, że te same wiadomości, które uzyskał w trakcie mozolnej lektury tekstów kultury czy naukowych artykułów, może przyswoić prościej, czytając Wikipedię czy przeglądając popularne strony internetowe. Jedynie wytrwali i zdeterminowani miłośnicy wyższej formy pisarstwa nadal, ze względu na przyjemność płynącą z lektury literatury czy humanistyki, pozostają na placu boju o tekst wybitny i znakomicie napisany. Pozostają jednak mocno w tyle za zwolennikami szybkich i zwięzłych informacji, gdyż przyswojenie lektury wymaga czasu i cierpliwości, podczas gdy jego streszczenie można czytać w parę minut, uzyskując wiedzę, która wystarcza do pobieżnej wprawdzie, ale jednak erudycji. Nie wiadomo tylko, czy – w czasach tak bardzo opętanych przez technologię – erudycja i oczytanie mają jeszcze, dla większości internautów, tak duże znaczenie jak dla pokoleń wcześniejszych. Dzisiaj liczy się bardziej przepływ informacji, a tekst coraz bardziej zastępowany zostaje przez obraz, który poprzez właściwą sobie wizualną wymowę wystarcza do przekazania treści.

W Internecie komunikacja jest szybka, ale informacje nie są pogłębione. Podobnie jest z przekazem telewizyjnym. Zamiast czytać książkę, wielu – jeśli to możliwe – wybiera jej filmową adaptację. Dzieje się tak szczególnie często w odniesieniu do lektur szkolnych, których ekranizacje cieszą się dużą popularnością i są nierzadko jedyną formą spotkania ucznia z danym dziełem. Podobnie jak w komunikacji internetowej, i w tym wypadku można szybko zapoznać się z treścią tej lektury, ale w sposób ograniczony, skrótowy, w książkach przecież rzeczywistość jest przedstawiona dokładniej, możemy obcować z wielowątkowym, rozbudowanym dziełem literackim, w którym ogromną rolę odgrywają nasza wyobraźnia i wysiłek intelektualny, który musimy podjąć, by to dzieło zrozumieć.

Obraz kontra słowo

Kultura wizualna wydawać by się mogło zagościła na dobre w naszych domach. W kulturze popularnej króluje obraz. O tym, że aktualnie numerem jeden jest wizualny przekaz, możemy przekonać się, obserwując swoją codzienność. Ile to razy w wolnej chwili wybieramy filmy z YouTuba i Netlifiksa czy innej platformy streamingowej, zamiast wartościowej lektury? Obrazy mają to do siebie, że przykuwają naszą uwagę, oddziałując na nas bezpośrednio i rozpoznajemy ich przekaz momentalnie, na drodze intuicyjnej, podczas gdy słowo niesie swoją treść za pośrednictwem intelektu i dzięki procesowi analizy znaczenia tekstu. Słowo wydaje się mniej rozpoznawane w swoim znaczeniu, może być również wieloznaczne, wymaga wysiłku jego rozumienie i nie dostarcza tak dużo wrażeń jak atrakcyjny estetycznie obraz. Ponieważ mamy skłonność do wybierania komunikatu prostszego raczej niż bardziej złożonego, stawiamy na obraz.

Sfera obrazu wydaje się być bardziej dostępna dla wyobraźni i bardziej uniwersalna, jeśli chodzi o przekaz, którego nie musimy interpretować tak, jak to się dzieje z książkami. To zjawisko dominacji obrazu w naszej kulturze w ostatnich dziesięcioleciach zyskało na mocy oczywiście za sprawą pojawienia się Internetu, jednak jest ono widoczne już w okresie powojennym wraz z rozwojem filmu i telewizji, która trwa-

eprasa.pl 7c50a525a9

le zagościła w większości domów. Powstanie i rozwój sieci internetowej tylko wzmocniło tę przewagę obrazu nad słowem pisanym.

Wyparcie słowa przez obraz niesie jednak ze sobą niebezpieczne konsekwencje. Posługiwanie się obrazami w procesie komunikacji przyczynia się do spadku czytelnictwa i w ogóle do obcowania ze słowem piasnym, to zaś przekłada się na coraz niższy poziom rozumienia tekstu pisanego i umiejętności pisania. Nie czytając bardziej rozbudowanych i wymagających myślenia tekstów, nie potrafimy konstruować zdań i dłuższych wypowiedzi w stylu innym niż język potoczny. Coraz częściej mamy do czynienia z analfabetyzmem wtórnym, czyli zanikiem umiejętności pisania i czytania u osób, które je kiedyś posiadały, i z analfabetyzmem funkcjonalnym, polegającym na tym, iż osoby nawet pomimo posiadanego formalnego wykształcenia, nie potrafią wykorzystać swojej wiedzy do sprawnego funkcjonowania w codziennym życiu. Analfabeta funkcjonalny potrafi złożyć litery w słowa, a słowa w zdania, ale ma problem w interpretacją odkodowanego tekstu i jego zrozumieniem. Ktoś taki czyta na przykład instrukcję obsługi urządzenia, ale nie potrafi się nim posłużyć, czyta ulotkę leku, ale niczego z niej nie rozumie. Nie rozumie nawet w pełni swoich emocji, bo po prostu nie potrafi ich nazwać, a nie umie tego zrobić, gdyż ma ograniczony zasób słownictwa i słabą znajomość abstrakcyjnych pojęć.

Od Homo sapiens do Homo videns

Obraz jest niezwykle ważnym nośnikiem treści. Był takim od początków istnienia człowieka. Kultura obrazkowa była obecna już w czasach prehistorycznych, w postaci malarstwa naskalnego, w starożytności, średniowieczu i kolejnych epokach. „Obraz jest tym dla ludzi prostych, czym pismo dla umiejących czytać" – pisał papież Grzegorz Wielki, jeden z wczesnośredniowiecznych myślicieli. Koniec XX i początek XXI wieku to ponowny rozwój społeczeństwa obrazkowego. Nasza komunikacja, motywowana pośpiechem, znów rozwija się w kierunku obrazu. Obraz przyjął rolę słowa.

Badacze kultury twierdzą, że po tzw. przełomie lingwistycznym w kulturze i dominacji dyskursywności oraz namysłu nad komunikacyjnymi możliwościami języka ludzkiego mamy aktualnie do czynienia z „przełomem piktorialnym" czy „przełomem ikonicznym", a nawet wizualnym. Ważne w tym obszarze są przede wszystkim postacie badaczy amerykańskich i niemieckich, który upowszechnili te terminy: „the pictorial turn" (wprowadzony przez J. T. Mitchella w USA) i „Ikonische Wende" (wprowadzony przez G. Boehma w Niemczech). Jeśli chodzi o szersze zjawisko nazwane przełomem wizualnym, to w obszarze nauk o kulturze obejmuje ono badania nad możliwościami ludzkiego widzenia oraz obszarem performatywnym wszelkich form wizualnych. Można, jak sądzę, mówić o tym ostatnim również w sytuacji upowszechnienia się webinarów, konferencji online czy samego YouTuba, który jest dobitnym dowodem na to, że kultura wizualna daje możliwość tworzenia jej w zasadzie przez każdego człowieka, który ma do zaprezentowania określoną treść filmową.

Na skutek ogromnego postępu technologicznego nastąpiło wiele zmian – mamy do czynienia z zalewem informacji, eksplozją wiedzy, poszerzaniem możliwości i ciągłego dokonywania wyborów. Szukamy więc dróg na skróty, coraz łatwiejszych rozwiązań i obraz doskonale na te potrzeby odpowiada. Współczesny człowiek wyewoluował od Homo sapiens do Homo videns, istoty preferującej obraz, dla której to, co pokazane, ma większe znaczenie niż to, co wypowiedziane czy napisane. Jak stwierdza J. Berger, żyjemy więc w świecie, w którym prym wiodą obrazy wizualne o różnych celach i zamierzonych efektach, a społeczeństwo staje się nowoczesnym wtedy, gdy jednym z jego głównych działań jest produkcja i konsumpcja obrazów.

Pewnych tendencji nie uda się, jak się wydaje, już zmienić, dobrze jednak, że dostrzega się zagrożenia związane ze współczesną kulturą obrazkową. Wzbudza ona coraz większy niepokój, tym bardziej, że towarzyszy jej obniżanie rangi pisma i związany z nim spadek czytelnictwa.

Nie zatrzymamy zmian

Czy żyjemy zatem w okresie schyłku słowa? Wątpię. Słowo jest niezastępowalne, biorąc pod uwagę naszą ludzką potrzebę dawania wyrazu złożoności ludzkiego świata czy komunikację między ludźmi. Być może jednak nasze formy pisarstwa w czasach współczesnych muszą przejść przemianę? Oczywiście nie jest to dobra informacja dla czytelników i miłośników literatury wyższych lotów oraz dla jej twórców. Wydaje się jednak, że nasza percepcja znacznie się zmieniła pod wpływem technologii i wątpliwa jest możliwość zatrzymania zmian, które nas dotyczą i dotykają. Nie możemy ich zablokować, ale zawsze możemy – i powinniśmy – zatrzymać się my. Żyjemy szybko, ale warto czasem przystopować i poczytać, zachęcając do tego również innych, szczególnie tych najmłodszych. ■

eprasa.pl 7c50a525a9

Ewa Polak-Pałkiewicz



Biała flaga nad Watykanem?

Karol Wojtyła żarliwie upominał się o prawa ludzi wierzących w krajach opanowanych przez komunizm i o szanowanie ludzkiego życia oraz potępiał aborcyjny proceder – w Polsce widział w nim spadek po komunistycznej ideologii zaszczepianej przez parę dziesięcioleci. Najwięcej wysiłków wkładał w odbudowanie katolickiej ortodoksji w naszym kraju podczas swoich licznych pielgrzymek.



eprasa.pl 7c50a525a9

Jan Paweł II, nie mając wątpliwości, że zarówno świat, jak i Kościół u schyłku XX wieku znalazły się w obliczu wyjątkowo dramatycznych zagrożeń, wypowiedział w 1980 roku znamienne, nieco zagadkowo brzmiące wówczas słowa: „Próby będą mogły być mniej dotkliwe na skutek naszych modlitw, ale nie można ich uniknąć, gdyż prawdziwa odnowa Kościoła będzie mogła nastąpić tylko w taki sposób".

Czyż nie odnosiło się to także w jakiś sposób do wydarzenia z nieodległej przeszłości, do „białej flagi" nad Stolicą Apostolską, która została symbolicznie wywieszona już 60 lat temu? Tego dnia 9 listopada 1965 roku II Sobór Watykański oddalił prośbę biskupów z całego świata, 454 Ojców Soborowych, którzy domagali się, by Sobór – najwyższa obok papieża władza w Kościele – potępił komunizm.

Paradoksalny może wydać się fakt, że gdy Karol Wojtyła – który jak żaden ze współczesnych papieży doświadczył osobiście zła komunizmu – obejmował urząd papieski, polityka „otwarcia" wobec idei przychodzących ze Wschodu zaciążyła już wyraźnie na wewnętrznej sytuacji Kościoła. Brak potępienia komunizmu przez Sobór zaowocował wyciszeniem krytyki wobec polityki Moskwy, czynieniem koncesji na jej rzecz pod hasłami dialogu i – wraz z przyjętą obopólnie zasadą „wolności religijnej" – umożliwieniem praktyk religijnych katolikom w krajach podporządkowanych Moskwie. Dodatkowo zobowiązywał Kościół do milczenia pakt zawarty z Rosją przez abp. Agostino Casaroliego, który już w latach 40. rozpoczął pracę w watykańskim Sekretariacie Stanu. Tak zwana Ostpolitik późniejszego kardynała Casarolego (zwanego Kardynał Pieriestrojka) zyskała aprobatę Pawła VI.

Jan Paweł II czynił wiele, by powstrzymać wpływy marksizmu wśród duchowieństwa, ale nie zawsze udawało mu się odwrócić tendencje Sekretariatu Stanu, które przedstawiano jako konieczne, by umożliwić praktyki religijne w krajach podporządkowanych Sowietom, a które zostały przez Watykan wcześniej zaaprobowane. Papież Franciszek nie jest twórcą tej polityki – którą tak wyraźnie symbolizuje jego ostatnia wypowiedź o „białej fladze", jakiej wywieszenia „nie powinna się wstydzić Ukraina" – lecz jej kontynuatorem. Tyle że jego metoda jest odmienna od jego poprzedników, zakłada publiczne, często pozornie naiwne wypowiedzi, wywołujące dezorientację, niepokój i protesty wśród wiernych.

Karol Wojtyła i jego krytycy

Nawet zagorzali krytycy polskiego papieża ze strony tradycjonalistycznej przyznają, że jego pontyfikat – zwłaszcza na tle poprzedzającego go okresu swoistej anarchii, w którą Kościół popadł za sprawą liberalnego Pawła VI – stał się na wielu polach szczęśliwym wybawieniem z tego stanu. Karol Wojtyła na przekór liberalnym i neomodernistycznym tendencjom, których idee stały się tak modne na Zachodzie, wniósł do Kościoła lat 80. i 90. elementy tradycyjnego katolicyzmu – zwanego niekiedy ludowym, dla pomniejszenia jego wartości – tego najbardziej zdrowego typu religijności. (Nie można przy tym zapominać, że formacja seminaryjna samego Karola Wojtyły nie przebiegała w tak komfortowych warunkach jak większości przyszłych biskupów świata w tym czasie; studiował w seminarium pod okupacją niemiecką, gdy polskie siły intelektualne – profesura krakowska – otrzymały potężny cios w postaci aresztowań i eksterminacji przez ludzi Hitlera).

Ten powiew tradycyjnej wiary i pobożności w słowach i działaniach papieża z Polski – przypisywany jego polskości – został przyjęty z entuzjazmem i uznaniem przez konserwatywnych katolików na całym świecie.

I mimo że podczas Soboru młody polski kardynał był zwolennikiem reform i wyraźnie sympatyzował z takimi teologami, jak Congar, Rhaner czy (początkowo) Hans Küng, nie był nigdy do końca traktowany przez progresistów kościelnych jako „swój". Chroniły go niewidzialny płaszcz silnej wiary oraz osobista głęboka pobożność Maryjna.

To, co zastał w Watykanie w październiku 1978 roku, było w wielkim stopniu wynikiem wyraźnej słabości wobec liberalizmu i socjalizmu jego poprzednika Pawła VI, papieża o skomplikowanej osobowości i nieco chwiejnej postawie. Amerykański historyk Kościoła Henry J.A. Sire charakteryzuje go jako człowieka pełnego optymizmu, który podzielał typowe dla liberałów zaufanie do współczesności jako epoki oświecenia i rozumu, mającej położyć kres kierowaniu się przez ludzkość prymitywnymi instynktami. Nie waha się on w swojej książce „Jak Feniks z popiołów. Historia kryzysów w Kościele" postawić tezy, że „[Karol Wojtyła] został wybrany po piętnastu latach tych nieszczęść, które w poważnym stopniu osłabiły sensus catholicus", i to poważnie utrudniło polskiemu papieżowi dokonanie radykalnej naprawy Kościoła.

Niepokój Pawła VI

Autor wymienia m.in. powierzenie przez Pawła VI faktycznej kontroli nad Soborem trzem kardynałom z Europy Zachodniej (Lercaro, Suenensowi i Döpfnerowi) o wybitnie lewicowych zapatrywaniach, oddanie reformy liturgicznej w ręce „skrajnych radykałów", odrodzenie modernizmu religijnego za jego pontyfikatu, upadek autorytetu papieskiego, obniżenie poziomu nauczania w seminariach, masowe po-

FOT. AIPN

eprasa.pl 7c50a525a9

rzucanie kapłaństwa i życia zakonnego. (Nawet jednak najwięksi krytycy Pawła VI doceniają go jako tego, który zainicjował program ogólnoświatowych pielgrzymek papieskich oraz autora encykliki Humanae vitae z 1968 roku, w której jednoznacznie opowiedział się za obroną życia i wyraził sprzeciw wobec antykoncepcji i za którą spadł na niego grad potępień, także ze strony liberalnych biskupów z Zachodu. Zaś pod koniec życia wyznał swojemu przyjacielowi, francuskiemu filozofowi Jeanowi Guittonowi, że „istnieje w Kościele wielki niepokój, a tym, co się kwestionuje, jest wiara. Uderza mnie to, że w obrębie katolicyzmu wydaje się dominować myśl o charakterze niekatolickim", jakby przyznając się do osobistych zaniedbań).

Jan Paweł II zareagował energicznie na liczne przypadki porzucania stanu kapłańskiego, zakazał udzielania zgody na laicyzację każdemu księdzu, który o to poprosił; zostali też przez niego zdyscyplinowani najwięksi radykałowie wśród duchownych: Küng, Schillebeeckx i Boff, negujący w swych wystąpieniach i publikacjach podstawowe prawdy wiary „co pozwoliło im pozować na męczenników", jako dodaje Sire. Także biskupi byli wybierani za pontyfikatu polskiego papieża spośród ludzi o umiarkowanych poglądach. Karol Wojtyła nigdy też nie zgodził się na feministyczne roszczenia – dopuszczenia kobiet do kapłaństwa. Żarliwie upominał się o prawa ludzi wierzących w krajach opanowanych przez komunizm i o szanowanie ludzkiego życia oraz potępiał aborcyjny proceder – w Polsce widział w nim spadek po komunistycznej ideologii zaszczepianej przez parę dziesięcioleci. Najwięcej wysiłków wkładał w odbudowanie katolickiej ortodoksji w naszym kraju podczas swoich licznych pielgrzymek.

Polski papież a tradycjonaliści

Papież podejmował też pewne próby – sabotowane często przez hierarchię w krajach zachodnich – „zniesienia zakazu celebracji w tradycyjnym rycie", co miano mu szczególnie za złe. Na skutek nacisków jego krytyków w tym względzie udało się doprowadzić do ostrego spięcia między nim na abp. Lefebvre (mimo początkowo przyjaznego nastawienia polskiego papieża do francuskiego hierarchy).

Z pewnością Karol Wojtyła był świadom, jak groteskowe były próby zdyskredytowania abp. Lefebvre przez różnych – głównie francuskich – hierarchów, którzy wykazali się w nich nikłą znajomością prawd wiary, a wręcz niezrozumieniem Objawienia. Henry Sire podkreśla, że Karol Wojtyła posiadał jasny pogląd na kwestię przywrócenia należnego miejsca w Kościele tradycjonalistom, nie żywił żadnych uprzedzeń wobec dawnej liturgii – choć zarazem miał zbyt wiele nadziei związanych z soborową „odnową" Kościoła, zaś ewidentnie złe skutki Soboru uznawał za wypaczenia jego ducha przez niesubordynację duchowieństwa i cały zestaw różnego rodzaju nadużyć. Sprzeciw wobec soborowych „nowinek" obserwował natomiast w Polsce, gdzie konserwatywnie nastawiony kardynał Wyszyński robił wszystko, by zmiany – zwłaszcza w liturgii – były wprowadzone jak najpóźniej i miały możliwie ograniczony zasięg.

Krytycy i apologeci JP II

Karol Wojtyła był świadom, jak istotne jest odbudowanie lojalności wobec urzędu papieskiego, wyraźnie nadwątlonej podczas pontyfikatu jego poprzednika. Temu służyły pielgrzymki papieskie i dzięki nim m.in. udało mu się zahamować, jak podkreśla amerykański historyk, „proces dezintegracji Kościoła". Odrodzenie wiary po latach zaprogramowanego antyklerykalizmu i antychrześcijańskiej propagandy oraz przygotowania moralne do wielkiego zrywu „Solidarności" w ojczyźnie są tu najlepszym przykładem. (Mimo że wielu dzisiaj jest skłonnych zarzucać Karolowi Wojtyle zbytnią emocjonalność i brak teologicznego pogłębienia w jego przemówieniach, a także akceptację i pokładanie nieuzasadnionej nadziei w wypaczonej idei ekumenizmu – co przyczyniło się, zdaniem Sire`a, do błędnego interpretowania przez ludzi wierzących Bożego Objawienia).

Tego rodzaju krytycy nie ujmują jednak niczego Janowi Pawłowi II z jego osobistej świętości, która dla większości katolików w Polsce i na świecie była najważniejszym „argumentem" i znakiem.

Ronald Reagan, który nie był katolikiem, doceniał unikalny charyzmat polskiego papieża i postanowił zaczerpnąć z jego moralnego potencjału dla obrony swojego kraju przed zagrożeniem sowieckim. Postawił sobie za cel rozmontowanie imperium sowieckiego za granicą i zatrzymanie marszu komunizmu. Dostrzegł w Janie Pawle II sojusznika i spotkał się z jego strony z gotowością do wspólnego działania, co zadaje kłam przypuszczeniom, iż Karol Wojtyła uznawał, że nowe zasady polityki wschodniej, zapoczątkowane jeszcze przez Jana XXIII, a za pontyfikatu Pawła VI kontynuowane, są jedyną i nieuniknioną opcją polityki Watykanu wobec Wschodu.

Wracając do Soboru

Jeden z dwóch inicjatorów formalnego aktu potępiającego komunizm na Soborze, abp Marcel Lefebvre, wraz z brazylijskim biskupem Gerardem de Proença Sigaudem, powiedział później: „Sobór, który podjął się odczytania »znaków czasu«, zobowiązany został przez Moskwę do przemilczenia najbardziej oczywistego i najpo-

eprasa.pl 7c50a525a9

tworniejszego z owych znaków". W kwietniu 1963 roku papież Jan XXIII w encyklice „Pacem in terris – O pokoju między wszystkimi narodami opartym na prawdzie, sprawiedliwości, miłości i wolności", rozgrzeszył komunizm z wszelkich zarzutów: „Któż zresztą będzie twierdził, że w tych poczynaniach, zwłaszcza jeśli są one zgodne z założeniami zdrowego rozumu i stanowią wyraz słusznych dążeń ludzkich, nie może tkwić nic dobrego i godnego uznania" (par. 159)*.

Znajomość tych faktów pozwala lepiej zrozumieć aktualną sytuację Kościoła i ocenić rolę, jaką na scenie politycznej odgrywa papież Franciszek. Skutki obecności ideologii komunistycznej i kryptokomunizmu wprowadzanych podstępnie w życie państw i instytucji międzynarodowych, a nawet rodzin i poszczególnych ludzi, ukazują się dziś w całej pełni.

Ci, którzy nie potrafili milczeć

Część hierarchów doskonale zdawała sobie sprawę z tego, na jak grząski grunt wkroczył Watykan na przełomie lat 60. i 70., jak niebezpieczna jest ta sytuacja dla Kościoła. Wielu księży i wiernych, zwłaszcza z krajów znajdujących się pod jarzmem komunistycznym, było wyraźnie zdezorientowanych i przygnębionych.

Arcybiskup Marcel Lefebvre należał do tych nielicznych hierarchów, którzy potrafili głośno mówić o błędnej polityce Watykanu wobec Rosji. Przypominał, że choć już w czasach Piusa XI i Piusa XII istniały w Watykanie przyczółki dążące do jakiejś formy współpracy z Rosją Sowiecką, od ostatniego Soboru mają miejsce „prawdziwe układy". Stwierdzał, że Rosjanie kupili sobie milczenie Soboru na temat komunizmu. „Po II Soborze Watykańskim obrady w Helsinkach toczyły się pod patronatem Watykanu" – pisał w jednej ze swoich książek**. „Pierwszą i ostatnią przemowę wygłosił tam abp. Casaroli, któremu udzielono sakry arcybiskupiej specjalnie na tę okazję. Wkrótce Stolica Apostolska zaczęła przejawiać wrogość wobec wszystkich antykomunistycznych rządów. W Chile popierała komunistyczną rewolucję Allende od 1970 do 1972 roku". Kardynałami realizującymi prokomunistyczną linię polityki Watykanu byli: Taracon (Hiszpania), Ribeiro (Portugalia), Aramburu (Argentyna), Silva Henriquez (Chile). Ich wpływy w tych krajach – do tej pory katolickich – stały się wystarczająco silne, by nastąpiło coś niebywałego. Episkopaty tych państw dość szybko zmieniły swój skład i zaczęły przeciwstawiać się antykomunistycznym rządom. „Co mógł wtedy zrobić katolicki rząd wobec sprzeciwu ze strony większości biskupów? To przerażająca sytuacja! Jesteśmy świadkami niewiarygodnego przewrotu. Kościół stał się główną siłą rewolucyjną w krajach katolickich" – pisał francuski arcybiskup w 1987 roku.

H. J. A. Sire przypomina, że inicjatywy, jakie podejmował Kościół w Ameryce Łacińskiej, były skutkiem fascynacji ideami marksistowskimi części tamtejszego duchowieństwa. „To dążenie do uczynienia z całego kontynentu zbiorowiska pozornie niepodległych państw, będących w istocie marionetkami Związku Sowieckiego, jest, zgodnie z tendencją do nadawania słowom znaczenia przeciwnego do pierwotnego, powszechnie znane jako teologia wyzwolenia" – pisał. (Teologia wyzwolenia, która utraciła żywotność po schyłku komunizmu w Rosji, nadal znajduje zwolenników wśród jezuitów). Przyczynami błędnej drogi obranej przez Kościół był zdaniem tego autora brak zdecydowania Rzymu wobec latynoamerykańskiego radykalizmu oraz wyraźna niezdolność Pawła VI do oceny socjalizmu. W rezultacie papież ten wzmocnił pozycję marksizujących duchownych, którzy wkrótce zaczęli „odgrywać rolę nowych Fidelów i Che na kontynencie południowoamerykańskim".

W starciu z teologią wyzwolenia

H.J.A. Sire przytacza tragikomiczną sytuację w Puebla w Meksyku w 1979 roku, gdzie Jan Paweł II miał przewodniczyć spotkaniu południowoamerykańskich biskupów. Spotkał się tam z gwałtownym protestem przywódców teologii wyzwolenia wobec obecności przedstawicieli stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie, które wspomaga chrześcijan prześladowanych przez sowiecki komunizm.

W czasie pielgrzymki do Brazylii w 1980 roku Jan Paweł II przestrzegał przed traktowaniem walki klas – skazanej na „jałowość i zniszczenie" – jako remedium na poprawę sytuacji wewnętrznej i wzywał do pilnego budowania prawdziwej sprawiedliwości społecznej, która może przynieść jedynie ideał chrześcijaństwa.

Podczas pobytu w Nikaragui w 1983 roku papież zorientował się, że najwięksi radykałowie teologii wyzwolenia przyjmują posady rządowe i przyklaskują antykościelnym działaniom władzy komunistycznej. Milczeli, gdy sandiniści w obelżywy sposób atakowali Ojca Świętego. Papież publicznie napiętnował te ataki, wyrzucając „teologom" – bez zwykłej swojej łagodności – że niszczą jedność Kościoła i deprecjonują kapłaństwo. Miała wtedy miejsce słynna scena, gdy Karol Wojtyła przywoływał do porządku Ernesto Cardenala, grożąc mu palcem i wzywając do podporządkowania się Kościołowi.

Dziś rewolucyjne idee Leonardo Boffa, byłego franciszkanina i kapłana, wyraźnie nawiązują do celów, jakie stawia sobie obecny papież. Franciszek nie ukrywa strategii zmierzającej do budowy społeczeństwa globalnego, zniesienia granic między państwami.

eprasa.pl 7c50a525a9

A w jednej z ostatnich wypowiedzi brazylijski „teolog", były ksiądz, stwierdza: „Wyzwanie polega na stworzeniu nowego globalnego paktu społecznego wszystkich narodów, omawianiu globalnych problemów i szukania globalnych rozwiązań. Nadal brak nam wystarczającej świadomości i działań, które trzeba podjąć już teraz".

Sobór był kolebką tych idei

Biskup Tissier de Mallerais, autor biografii abp. Lefebvre`a, zaznacza: „Moskwa niczego nie obawiała się tak bardzo, jak Soboru ekumenicznego, na którym uroczyście ponowiono by potępienie komunizmu, dokonane przez papieża Piusa XI. Chcąc zapobiec takiej ewentualności, Kreml zaproponował Watykanowi swoisty układ. »Chcecie – ze względu na ekumenizm – żeby na Sobór przybyli obserwatorzy z Patriarchatu Moskiewskiego? Oni wcale nie są skłonni tego zrobić. My ich jednak do tego namówimy, jeżeli Rzym wystosuje do Patriarchatu specjalne zaproszenie i jeżeli Sobór będzie milczał w kwestii komunizmu«"***.

Autor dodaje, że był to owoc porozumienia z sierpnia 1962 roku zawartego w Paryżu pomiędzy metropolitą Nikodemem i abp. Janem Willebrandsem. Ponowiono je w Metz – z Nikodemem rozmawiał tu francuski kardynał Eugène Tisserant (władający biegle 12 językami, w tym rosyjskim). Informował o tym szczegółowo francuski dziennik komunistyczny „La France nouvelle" (cytując treść układu), także katolicki „La Croix". Arcybiskup Willebrands mógł jechać do Moskwy, by przekazać zaproszenie i zapewnić, że „nie dojdzie do żadnych polemik antykomunistycznych".

Kronikarz Soboru notuje

Amerykański werbista o. Ralph M. Wiltgen, który podczas Soboru prowadził swoje niezależne biuro prasowe, potwierdza relację abp. Lefebvre'a o „zagubieniu" listu Ojców Soborowych domagających się potępienia komunizmu. Przez kilkanaście lat kierował on służbami informacyjnymi swojego zakonu w USA i w świecie. W książce „Ren wpada do Tybru" – która jest sporządzanym na żywo sprawozdaniem z poszczególnych miesięcy obrad Soboru – zdaje szczegółową relację, w jaki sposób „koalicja »liberalnych« biskupów z krajów dorzecza Renu (Francja, Niemcy, Holandia, Belgia) przejmowała stopniowo kontrolę nad kierunkiem obrad, począwszy od faktycznego odrzucenia tzw. schematów (wstępnych projektów, mających być podstawą do dalszych obrad i dyskusji), przygotowanych jeszcze przed otwarciem Soboru na polecenie Jana XXIII przez Komisję Przygotowawczą" – pisze we wstępie do książki prof. Grzegorz Kucharczyk. W rezultacie „Ren zwyciężył nad Tybrem", a jednym z kluczowych momentów tego zwycięstwa było odrzucenie postulatu potępienia komunizmu.

Od 1963 do 1965 roku biskupi, którzy osobiście doświadczyli komunistycznych prześladowań, usiłowali doprowadzić do zajęcia wobec niego jednoznacznego stanowiska przez Sobór. Arcybiskup Paul Yu Pin z Chin wezwał, by w projekcie „Konstytucji o Kościele i świecie współczesnym", jednego z kluczowych dokumentów Soboru, znalazł się rozdział, który ukarze sedno zagrożenia ze strony komunistycznego ateizmu. Przemawiał jako reprezentant tych, „którzy jęczą pod jarzmem komunizmu i są zmuszeni znosić niesprawiedliwe, trudne do opisania udręki".

List w imieniu biskupów napisał bp Luigi Carli, teolog zgromadzenia plenarnego włoskiego Episkopatu, uznawany powszechnie za najlepszego teologa na Soborze i postrach liberałów; rozprowadzili go wśród Ojców Soborowych abp. Lefebvre i Sigaud. Grupa Ojców Soborowych, która domagała się zdecydowanej postawy Soboru wobec komunizmu, przestrzegała zarazem, że milczenie „będzie równoznaczne z zaprzeczeniem tego, co do tej pory zostało powiedziane i zrobione w tej sprawie […]. Podobnie jak Papież Pius XII został publicznie, choć niesprawiedliwie napiętnowany za milczenie w sprawie Żydów, tak też jutro Sobór może zostać zganiony – tym razem słusznie – za milczenie na temat komunizmu, które zostanie odczytane jako znak tchórzostwa i pobłażania". Tak zwana Komisja Połączona odpowiedzialna za „Konstytucję duszpasterską o Kościele i świecie współczesnym" zignorowała petycję, pomimo wielu interwencji w tej sprawie. Głos Ojców Soborowych z 86 krajów zapadł w próżnię. Dociekliwy o. Wiltgen ujawnił, że członkowie Komisji w ogóle nie mieli okazji zapoznać się z tym listem. Pojawiły się też sprzeczne dane co do ilości podpisów. Najwyraźniej Komisja Połączona miała problem z ustaleniem stanu faktycznego. „I nie ma tu żadnej intrygi" – próbował żartować jeden z ekspertów Komisji, o. Robert Tucci SJ. „Może było tak, że petycja przechodziła przez ulicę na czerwonym świetle i ją zatrzymano".

Kapelusz w kieszeni czy na głowie

Następnego ranka trąbiła o tym cała włoska prasa, łącznie z komunistycznym dziennikiem „L`Unita". Ojciec Wiltgen ustalił tymczasem, że petycję zatrzymał w swoim biurku msgr. Achille Glorieux, sekretarz Komisji, współpracownik „L`Osservatore Romano". Ojciec Wiltgen opisał to wszystko w swoim biuletynie i poinformował watykańskie Biuro Prasowe. Paweł VI nakazał wtedy Komisji Połączonej, by umieściła

eprasa.pl 7c50a525a9

w „Konstytucji duszpasterskiej o Kościele…" przypis przypominający nauczanie Kościoła na temat komunizmu. W przypisie powołano się na encykliki Piusa XI, Piusa XII oraz Jana XXIII i Pawła VI.

Arcybiskup Sigaud skomentował krótko: „Istnieje różnica pomiędzy kapeluszem noszonym w kieszeni a noszonym na głowie". Międzynarodowe Ugrupowanie Ojców (Coetus Internationalis Patrum), nieformalna organizacja konserwatywnych biskupów zawiązana podczas Soboru, zrzeszająca „rozproszone siły przeciwne progresywnej »większości« na Soborze", nie przyjęło tego jako załatwienia sprawy petycji.

Nowa polityka Watykanu

Wszystko to było także efektem nowej polityki Watykanu, owego otwarcia się na świat, także „uwspółcześnienia" metod duszpasterskich Kościoła (aggiornamento), które przyświecało Janowi XXIII, gdy podejmował decyzję o zwołaniu Soboru. Zaznaczał on, że głoszenie depozytu wiary musi dzisiaj odbywać się w sposób „lepiej odpowiadający nauczaniu o charakterze przede wszystkim duszpasterskim". Słowo „duszpasterski" jest tu kluczowe, dodaje Bernard Tissier de Mallerais. „Do niedawna duszpasterstwo polegało na ujawnianiu »drapieżnych wilków« atakujących owce w Owczarni Chrystusowej… Ale papież Jan XXIII podkreślał: »Dzisiaj Oblubienica Chrystusowa woli posługiwać się raczej lekarstwem miłosierdzia aniżeli surowością. Sądzi, że lepiej odpowie na potrzeby współczesności, wskazując raczej na skuteczność swej nauki niż występując z potępieniem«. Ale jak można w Kościele »skutecznie« przedstawiać prawdę objawioną, nie ukazując i nie potępiając błędów?" (Bernard Tissier de Mallerais).

To pytanie zadawał sobie nie tylko „wyklęty" abp. Marcel Lefebvre.

Franciszek i podzielający jego poglądy hierarchowie są dziś w stanie rozmawiać i współpracować ze wszystkimi, tylko nie z tymi, którzy wyznają tradycyjny katolicyzm. Głowa Kościoła odwraca się od katolików na Ukrainie szukających u niego wsparcia politycznego i moralnego, a biskupi ukraińscy zmuszeni są niekiedy publicznie dystansować się do jego wypowiedzi. Trudno mieć wątpliwości, że moment historii Kościoła i świata, który jest nam dane przeżywać, to moment przełomowy.

Przeciw budowniczym wieży Babel

„Najgorszym wrogiem jest ten, kto utajnia prawdę. Twierdzenie, że można być szczęśliwym bez Boga, jest jak budowanie wieży Babel. Tych, którzy ją budują, doprowadzi do pomieszania języków i rozproszenia na wszystkie krańce ziemi. Oto, co z pewnością stanie się w przyszłości. Każdy, kto bez Boga chce budować kulturę, tworzyć cywilizacje i kulturę, pieczętuje własny upadek w czasie i wieczności" (kard. Alojzy Stepinac, więziony przez komunistów prymas Chorwacji, beatyfikowany przez Jana Pawła II).

Leonardo Boff, obecnie świecki filozof, nadal wierny jest ideom teologii wyzwolenia. Najpilniejsze jest według niego wyzwolenie Ziemi – od „najbardziej niebezpiecznego drapieżnika – człowieka": „Aby Ziemia mogła zregenerować się i odnowić zasoby, które zużywamy obecnie w ciągu roku, potrzebuje półtora roku. […] Albo zmienimy nasze relacje z naturą, albo Ziemia wyśle nam jeszcze bardziej śmiercionośne sygnały. Jak powiedział papież Franciszek w encyklice Fratelli tutti: »…dziś wszyscy jedziemy na tym samym wózku; albo wszyscy się uratujemy, albo nikt się nie uratuje«".

Wielka próba Kościoła, która musi być warunkiem jego odnowy, z której musi wyjść on zwycięski, zgodnie z zapowiedzią Chrystusa, że „bramy piekielne gonie przemogą", a którą dostrzegał polski papież, wciąż trwa.

* Całość tego fragmentu encykliki: „Jest więc czymś najzupełniej właściwym odróżniać wyraźnie od błędnych teorii filozoficznych na temat istoty, pochodzenia i celu świata czy człowieka, poczynania odnoszące się do spraw gospodarczych i społecznych, kulturalnych czy też ustrojowych, nawet jeśli tego rodzaju poczynania wywodzą się z tych teorii i z nich czerpią natchnienie. Gdy bowiem ostateczne sformułowania teoretyczne nie są już zmieniane, to poczynania te – właśnie dlatego, że dokonywane są w zmiennych warunkach – muszą być od tych warunków w dużym stopniu zależne. Któż zresztą będzie twierdził, że w tych poczynaniach, zwłaszcza jeśli są one zgodne z założeniami zdrowego rozumu i stanowią wyraz słusznych dążeń ludzkich, nie może tkwić nic dobrego i godnego uznania?".

** Abp Marcel Lefebvre, „Oni Jego zdetronizowali"

*** Bernard Tissier de Mallerais, „Marcel Lefebvre. Życie" ■

Bibliografia:
Encyklika Piusa XI „Divini Redemptoris, O bezbożnym komunizmie", Warszawa 2002; „Kościół a komunizm", „The Angelus", grudzień 2008; H. J. A. Sire, „Jak Feniks z popiołów. Historia kryzysów w Kościele", key4, Warszawa 2021; O. Ralph M. Wiltgen SVD, „Ren wpada do Tybru. Historia Soboru Watykańskiego II", Poznań 2001; Bernard Tissier de Mallerais, „Marcel Lefebvre. Życie", Poznań 2011; Abp Marcel Lefebvre, „Oni Jego zdetronizowali", Warszawa 2020.

eprasa.pl 7c50a525a9

Piotr Lisiewicz



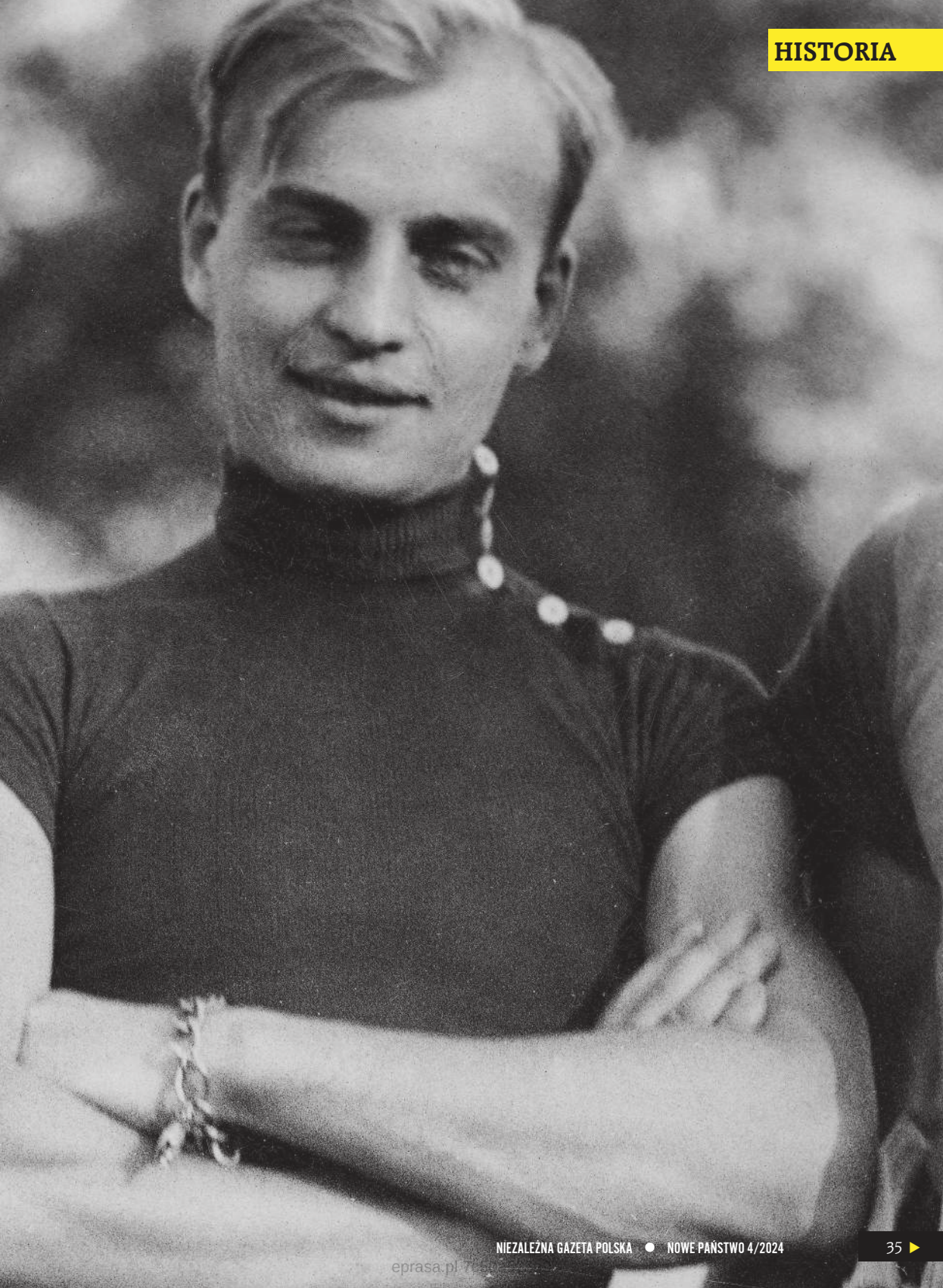
Olimpijski medal wygrzebany w zgliszczach powstańczej Warszawy

„W dniu pierwszym Powstania dom mój, w którym się urodziłem (Gęsta 18) został spalony. Grzebiąc w zgliszczach znalazłem żeton – nagrodę za mistrzostwo z wyrytą datą i nazwiskiem, jak również medale olimpijskie" – pisał Józef Lange, czyli Żelazny Józio, legionista Piłsudskiego. Odnalezione w zgliszczach w 1944 roku srebrne medale były pierwszymi w historii polskiego sportu medalami olimpijskimi zdobytymi 20 lat wcześniej, w 1924 roku, przez polskich kolarzy na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu.



FOT. NAC

eprasa.pl 7c50a525a9



eprasa.pl

Ulica Gęsta na Powiślu była w XIX wieku zagłębiem garbarni. Pod numerem 16 w połowie XIX wieku istniał „interes białoskórniczy" – garbarnia rodziny Bauerfeindów. W 1854 roku były tu dwa drewniane domy. Około roku 1870 roku Bauerfeindowie wznieśli na tej posesji piętrową kamienicę. Zaś po numerem 18 mieściła się kolejna garbarnia, należąca do rodziny Langów. To z tej rodziny wywodził się przyszły olimpijski medalista. Z wykształcenia, a jakże by inaczej, mistrz garbarski…

W pierwszym dniu Powstania Warszawskiego Niemcy spalili całą ulicę Gęstą wraz z garbarniami. Wiosną 2024 roku studenci Uniwersytetu Warszawskiego, zmierzający wiosną do BUW-u, czyli Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, mijają tylko jeden adres na Gęstej, czyli dom sióstr Urszulanek przy Gęstej 1. I nie mają pojęcia, jakie znaczenie miał na tej spalonej uliczce dla historii polskiego sportu…

Połamany rower i łowienie rybek przy kolarskim torze

„Warszawa, pierwsze lata XX w. Mały Józek całe dnie spędza na warszawskich Dynasach. Panowie z Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów (WTC) lubią tego dzieciaka, pożyczają mu nawet wędkę, by mógł łowić rybki w stawie, wokół którego biegnie tor ziemny. Ale tym, co Józka naprawdę interesuje, są wyścigi rowerowe. Chłopiec żałuje, że sam nie może w nich uczestniczyć, bo wysłużony rower ojca właśnie się rozpadł. Na szczęście Feliks Lange podziela kolarską pasję syna. W końcu kupi mu rower wyścigowy. Nie będzie nawet przypuszczał, że ten ojcowski gest przyczyni się do tak wielkiego sukcesu – pierwszego w historii medalu Polaków na igrzyskach olimpijskich" – tak piszą malowniczo o początkach tej historii Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki cyklu książek „Sportowcy dla Niepodległej". Tor kolarski na Dynasach zbudowany był według projektu Józefa Hussa, a budynek głównej siedziby Towarzystwa według projektu Stefana Szyllera.

Sam przyszły mistrz zapamiętał historię z dzieciństwa tak: „Zamiłowanie moje do kolarstwa powstało na skutek tego, że Ojciec mój należał do W.T.C już za kawalerskich czasów, bodaj od założenia Towarzystwa i jeździł jeszcze na bicyklach. Wiadomo mi, że z kolarzem Piskorskim zakupili i sprowadzili rowery z Anglii, na których brali udział w wycieczkach turystycznych".

Jest też w jego wspomnieniach mowa o wspomnianych łowionych rybkach: „Byłem tam bardzo mile widzianym do tego stopnia, że nawet pozwolono mi łapać rybki na wędkę w ówczesnym stawie, wokół którego był tor kolarski ziemny. Pamiętam taki wypadek, że członek W.T.C idąc ścieżka przy torze w czasie wyścigów nie wiem dlaczego, ale wpadł do stawu". Znajdujemy też piękny opis zwyczajów ówczesnych warszawiaków: „Na wspomnianym stawie były urządzane rożnego rodzaju imprezy jak np. wianki w wigilię św. Jana wspólnie z towarzystwem wioślarskim na pięknie udekorowanych łodziach lampionami i girlandami z kwiatów, poza tym wypuszczane były barwne fajerwerki, które podnosiły urok imprezy. W pobliżu na muszli słynna orkiestra kapelmistrza Namysłowskiego w strojach ludowych, bodaj krakowskich".

Straż Obywatelska na rowerach

Józef Lange przyszedł na świat 16 marca 1897 roku w Warszawie, jako syn Feliksa i Weroniki Zientek. Rodzinna garbarnia mieściła się zaledwie kilkaset metrów od siedziby Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów na Dynasach. Już jako nastolatek Józio zaczął profesjonalne treningi kolarskie na torze. Ukończył wówczas miejscową sześcioklasową szkołę realną, gdzie oprócz nauki uczestniczył w tajnych kursach samokształceniowych i zajęciach paramilitarnych. Te ostatnie miały mu się niebawem przydać…

„W związku z wybuchem I wojny światowej wielu kolarzy zostało powołanych do wojska, a Józek z kolegami zapisał się do Czerwonego Krzyża. Dyżurował na dworcach kolejowych, pomagał, jak umiał" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej". Gdy Rosjanie opuścili Warszawę, Józio wstąpił do Straży Obywatelskiej. Służyło w niej kilku członków Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów. Jak wspominał, gdy pełnił dyżur w Ratuszu na Placu Teatralnym w mieszczącym się tam wówczas lombardzie, o piątej rano zostały wysadzone w powietrze mosty na Wiśle. Wtedy z cyklistów, takich jak on, zorganizowano lotną Straż Obywatelską na rowerach.

21-latek rozbraja Niemców

Kiedy miał 18 lat, wstąpił do Legionów. Trafił do 6. Pułku Piechoty, gdzie spotkał wielu rówieśników z mieszczańskich rodzin rzemieślniczych. Walczył w Legionach aż do kryzysu przysięgowego. „Jako królewiak nie przysięgałem na Beeselera (niemiecki wojskowy, generał-gubernator Warszawy), w drodze do obozu w Szczypiornie uciekłem ukrywając się częściowo w domu, częściowo u rodziny" – wspominał.

Ogromna była radość 21-latka, gdy w listopadzie 1918 roku w Warszawie brał udział w rozbrajaniu Niemców. Trafił do adiutantury w Komendzie Miasta. Niebawem trafiła się kolejna wojenna potrzeba – uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej w 11. Pułku Ułanów. Walczył z armią konną Budionnego pod

eprasa.pl 7c50a525a9

Równem, jak również osłaniał Lwów i zagłębie naftowe. Jak pisał Józef Soniński w publikacji „Zarys historii wojennej 11-go pułku ułanów legionowych", żołnierze tegoż pułku odznaczyli się wyjątkową ofiarnością podczas ciężkich i krwawych bojów. W walce zdobyli wiele karabinów maszynowych, lokomotyw i wagonów.

▶ 16 minut szybciej od peletonu!

Wachmistrz Józef Lange został zwolniony do rezerwy w 1921 roku. Prosto z frontu skierował swoje kroki na tor. „W pierwszych wyścigach po wojnie brałem udział i pierwszy raz startując wygrałem przebieg, wpadając do finału, który również wygrałem, co już zdecydowało o mojej karierze sportowej w kolarstwie" – pisał.

Przeszkodą dla rozwoju kolarstwa w niepodległej Polsce był fakt, że drogi były w katastrofalnym stanie, przez co nie mógł odbyć się wyścig dookoła Polski. „Początki były bardzo ciężkie dla kolarzy, odczuwaliśmy brak gum. Przy ul. Książęcej mieścił się warsztat rowerowy Franciszka Zawadzkiego, który własnym przemysłem wynalazł sposób robienia cyngielków, w czym ja również brałem czynny udział" – pisał Józef o realiach ówczesnych treningów. W tych trudnych warunkach radził sobie jednak znakomicie. Jeszcze w 1921 roku zorganizowano pierwsze szosowe mistrzostwa Polski. Józef wyjechał na szosę lubelską i bez trudu pokonał dystans 200 km. Przyjęto go owacyjnie, porywając na barki – relacjonowała „Rzeczpospolita". Kolejni zawodnicy przyjechali na metę aż 16 minut później! To było dla niego bardzo ważne i wzruszające wydarzenie także z powodu, o którym pisał: „Otrzymałem pierwszą koszulkę czerwoną z Białym Orłem – jako Mistrz Polski".

▶ Pan ma już koszulkę z Orłem, to mistrzostwo przyznamy koledze

Tydzień później wystartował w sprinterskich mistrzostwach Polski na swoim macierzystym torze na Dynasach. Niezwykle ciepłą atmosferę ówczesnych zawodów sportowych, daleką od czasów sportowych przekrętów, oddaje następująca relacja Józia: „Regulamin głosił, że należy dwa razy jechać i dwa razy wygrać, a że raz wygrałem ja, a raz kol. Szymczyk, musieliśmy trzeci raz pojechać. Pojechaliśmy i nie wiadomo było, kto wygrał, czekaliśmy bardzo długo na wynik, robiąc dwa okrążenia, po czym sędziowie nas zatrzymali, podszedł do nas Prezes Związku Towarzystw Kolarskich Bodalski i powiedział: Panie Józiu, wobec tego, że były zdania podzielone, kto jest pierwszy, a że Pan już zdobył koszulkę z Orłem Białym ubiegłej niedzieli – przyznajemy dzisiaj zwycięstwo Szymczykowi, a panu Vicemistrzostwo. Ja naturalnie buzi i gratulacje Szymczykowi, bo rzeczywiście dla mnie był to wielki sukces zdobyć Mistrzostwo Polski szosowe, a w tydzień potem vicemistrzostwo w sprincie".

Lange zaczął dominować w kolarstwie w szczególności na długich trasach, o czym pisał: „Wszystkie długie biegi na szosie, a także na torze, gdy atakowałem – nie przegrywałem, w sprintach również byłem zawsze w czołówce". Gdy trzeba było na podium trafiał również… pompując rower na trasie: „W swoim czasie odbył się pierwszy wyścig trzyetapowy. Wyjazd był z Warszawy. W pierwszym etapie dwa razy przebiłem gumę, a wówczas nie wolno było zmieniać roweru i kolarz musiał sam zmienić dętkę, napompować i jechać dalej. W tym etapie byłem drugi, następny etap drugi – wygrałem".

Po zakończeniu kariery zgodnie z rodzinną tradycją przejął zakład garbarski ojca. Zajmował się życiem rodzinnym, jeździł na polowania, hodował gołębie pocztowe i był działaczem sportowym Legii.

▶ Bieg z rowerem na rękach

Nawet fakt, że musiał w czasie jednego z etapów biec niosąc rower… na rękach nie odebrał mu sukcesu: „W trzecim etapie wjechałem do Warszawy pierwszy – Tamką w dół i na Dynasy wpadłem od ul. Topiel pierwszy w skręcie wpadając na tor betonowy poczułem, że nie mam powietrza w obu gumach, jak to się stało, do dziś nie umiem tego wytłumaczyć, a że na wirażu betonowym nie mogłem jechać bez powietrza, więc z rowerem biegłem do mety i o parę metrów

eprasa.pl 7c50a525a9

przegrałem - byłem drugi, ale ogólnie po trzech etapach wyścig wygrałem".

„Na krajowym podwórku rekordy bił na zawołanie" – pisze o nim portal Olimpijski.pl. Porażki były rzadkie, a ich przyczyny musiały być szczególne, jak narodziny dziecka, o czym pisał: „Raz w życiu tylko przegrałem, a było to tak: przyjechał do Warszawy kolarz szwajcar Abeglen, bieg z dwóch startów miał być w niedzielę, mój z nim. W przeddzień wyścigu odwiozłem żonę do Kliniki Położniczej, czekałem do późnej nocy, a następnie na telefon. W niedzielę rano pojechałem do Kliniki, tam znów czekałem na rozwiązanie kilka godzin, w końcu dowiedziałem się, że urodziła się córka, a tak pragnąłem syna, gdyż córkę już mieliśmy. Żona bardzo ciężko przeszła poród, byłem zdenerwowany, wyścigi już dawno się rozpoczęły". Taka sytuacja nie sprzyjała koncentracji: „Wpadłem jak bomba, przebrałem się i pojechałem z Abeglenem do biegu z dwóch startów, byłem sztywny, chociaż to bardzo długo trwało, zanim mnie doszedł i… przegrałem. Zaraz w środę odbył się rewanż – pojechaliśmy i doszedłem wygrywając bardzo szybko. Kibice powiedzieli, że umyślnie przegrałem pierwszy raz, żeby był rewanż".

Już jako nastolatek Józio zaczął profesjonalne treningi kolarskie na torze. Ukończył wówczas miejscową sześcioklasową szkołę realną, gdzie oprócz nauki uczestniczył w tajnych kursach samokształceniowych i zajęciach paramilitarnych.

Srebro smakowało jak złoto

Na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu w 1924 roku w wyścigu drużynowym na dochodzenie na 4000 metrów Lange wystartował wraz z kolegami – Janem Łazarskim, Tomaszem Stankiewiczem i Franciszkiem Szymczykiem. Mimo że nigdy wcześniej nie trenowali w takim składzie…

Jak wyglądały treningi przed tym występem? „W styczniu pojechało nas kilku na własny koszt na treningi do Francji. Tam od kolarzy zagranicznych – zawodowców dowiedzieliśmy się, ze oni trenują nad Morzem Śródziemnym i po górach, gdzie odbywa się Tour de France. Ulokowaliśmy się w Mentonie, blisko granicy włoskiej, w pensjonacie, który prowadził były oficer rosyjski. Z Włoch między innymi rowerami przywiozłem sobie rower szosowy, z wolnym trybikiem, był to pierwszy rower w Polsce" – pisał Lange.

Na igrzyskach dostali się do finału. W finale zajęli drugie miejsce, przegrywając tylko z Włochami. „Srebro smakowało jednak jak złoto – był to pierwszy medal w historii udziału Polaków w igrzyskach olimpijskich. Po zawodach został odegrany hymn włoski, a następnie Mazurek Dąbrowskiego, co stanowiło ogromne zaskoczenie. Dotychczas nie zdarzało się bowiem, aby zdobywcom drugiego miejsca odgrywano hymn" – piszą Stokłosa i Wójcik. „Wzruszenie nasze było wielkie, które wywołało u naszego kapitana sportowego Wojtkiewicza łzy radości" – wspominał Lange.

Franciszek Szymczyk, jeden ze srebrnych medalistów, wspominał po latach w Polskim Radiu: „Wystartowaliśmy z jakąś taką wiarą, że darmo nie sprzedamy swojej skóry… Niewiele żeśmy przegrali. Kiedy nastąpiła następna zmiana, kiedy Lange pojechał bardzo szybko pod wiatr, był tak bardzo rozentuzjazmowany, że zapomniał o umowie i następne okrążenie poprowadził tak, że zmiana pod wiatr wypadła na Stankiewicza. Stankiewicz ledwo utrzymywał się na kole i kiedy wyjechał na prowadzenie, wiatr dmuchnął na niego i w ogóle prawie stanął… W ten sposób przegraliśmy do Włochów. Zajęcie drugiego miejsca w tak silniej konkurencji było dla nas wielkim sukcesem i wielką radością".

Przegrane mistrzostwo olimpijskie

Ale na wzruszenia nie było zbyt wiele czasu, bo przed Lange był wyścig na 50 kilometrów, a w nim jako specjalista od długich dystansów liczył na największy sukces. Nie udało się. Jak polski kolarz przegrał złoto? Pisał: „Próbowałem uciekać i w końcu udało mi się oderwać, jechałem sam 23 czy 24 kilometry, mając jeszcze pół okrążenia do dojścia widziałem już schodząc z wirażu kolarzy, ale nasi wykombinowali, ku mojemu nieszczęściu, żeby Łazarski został – ja do niego dojadę i wspólnie docią-

eprasa.pl 7c50a525a9

gniemy, tymczasem on tak fatalnie to zrobił, że po prostu stanął, ja przeleciałem koło niego, nasi kazali mi zostać – nic mi nie pomógł, bo jechał zbyt wolno – wyszedłem z tempa. Łazarski wycofał się – straciłem wiarę, cały animusz, zrezygnowałem z ucieczki i mnie doszli".

W efekcie nie wiedział, na jakim etapie wyścigu się znajduje: „Gdyby ktoś z naszych krzyknął, że bieg ma się ku końcowi, to bym się przybliżył do czołówki, zorientowałem się dopiero na ostatnim wirażu, że to już finisz, i zacząłem też finiszować, ale nie zdążyłem już wyprzedzić, bo była zbyt blisko meta – wpadło nas kilku prawie razem – całą szerokością toru. Na tablicy znalazłem się jako piąty, ale odniosłem wrażenie, że byłem czwarty". Czy Lange miał szansę na złoty medal? W tydzień później złoty medalista przegrał z nim w czasie zawodów w Warszawie… I tak Polska na swój pierwszy złoty medal musiała czekać cztery lata do złota zdobytego przez Halinę Konopacką w 1928 roku w Amsterdamie. No i na Kazimierza Wierzyńskiego, który na tych samych igrzyskach zdobył złoty medal w dziedzinie… poezji, za tomik „Laur Olimpijski".

Befsztyk tatarski dla sportowca

Lange również wystartował w Amsterdamie, ale prześladował go tam jego – wielokrotnie opisywany przez dziennikarzy – pech. „Podczas podróży do Amsterdamu, w trakcie przesiadki w Berlinie, skradziono mu bagaż, w którym miał cały cenny sprzęt: siodełko, pedały, buty i strój. W Amsterdamie udało się wszystko kupić, lecz ani siodełko, ani buty nie były odpowiednio wyprofilowane. Dodatkowo Lange zmagał się z rozstrojem żołądka. W wyścigu na 1000 m ze startu zatrzymanego znalazł się poza podium, a w konkurencji drużynowej – na dystansie, na którym był srebrnym medalistą olimpijskim – Polacy odpadli w ćwierćfinale" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej". „Siodełko nowe, sztywne bardzo, to straszne do jazdy, nowe pantofle także inne deptanie. Czułem się okropnie, wytracony z równowagi zupełnie" – wspominał sam Lange.

Niekoniecznie profesjonalny był też w przypadku igrzysk transport: „W Berlinie przesiadaliśmy się, wszystkie rowery i walizki ułożyli na wózki i tragarze zawieźli na inny peron, my przeszliśmy tunelem. Gdy przywieźli nasze bagaże okazało się, że torba moja została skradziona, pobiegliśmy do zawiadowcy i policji, powstał zamęt, pościg zatrzymali kilkanaście minut, ale w końcu musieliśmy jechać. Straciłem wszystko to, co jest najcenniejsze dla kolarza, siodełko, pedałki, pantofle, majteczki podszyte zamszem, koszulki, wszystko to dopasowane".

Nie do końca profesjonalna była też ówczesna dieta: „W dzień startu byłem zapytany, co bym chciał zjeść? Powiedziałem, ze befsztyk po tatarsku – rzeczywiście befsztyk dostałem, ale taki ostry, że więcej było ostrych przypraw, jak korniszony, grzyby marynowane, i bardzo pieprzny, jak samego mięsa. Zjadłem tylko trochę i miałem pieczenie, a oprócz tego dostałem rozstroju żołądka". Startował też we współczesnych Fame MMA. „Przyjechali do Polski sztauerzy: murzyn Ali Naffati, Niemiec Erksleben i zdaje się Holender Karpus. Z Ali Neffatim przeważnie wygrywałem, do Karpusa raz wygrałem, raz przegrałem, a był bardzo dobry. Z Ersklebenem chyba więcej razy wygrałem i z nim właśnie miałem wypadek" – pisał.

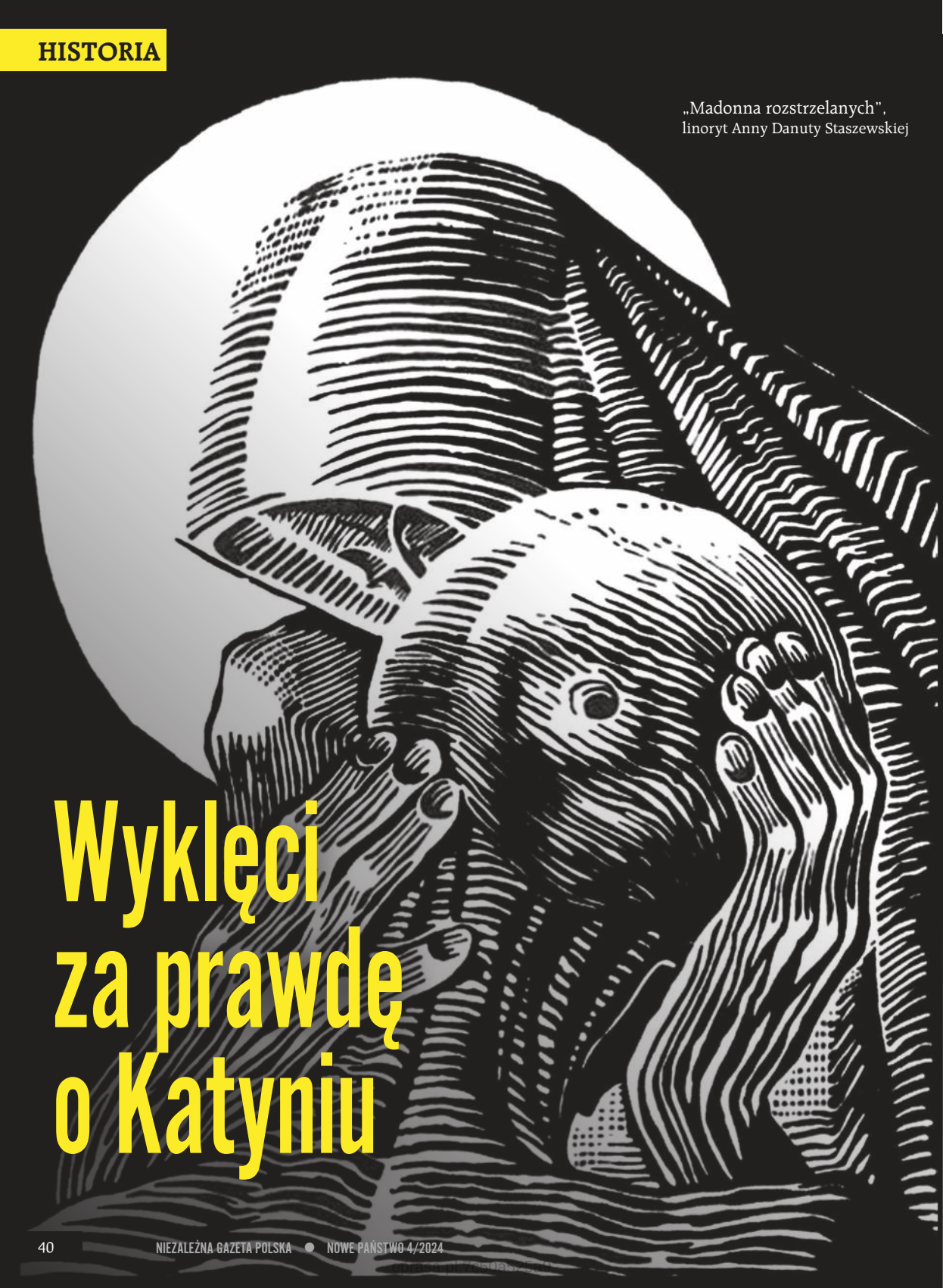
Spalony dom

W 1928 roku odszedł z WTC do Legii Warszawa. Jeździł czynnie w zawodach aż do 1930 roku. Czemu zawdzięczał dobrą kondycję? „Choć dziś może się to wydawać dziwne, 100 lat temu sportowcy często wcale nie prowadzili zdrowego stylu życia, np. palili papierosy. Lange natomiast nie pił alkoholu ani nie palił, trenował regularnie i bardzo pilnie. Koledzy i kibice podziwiali jego hart ducha" – piszą Stokłosa i Wójcik. „Nie mieliśmy trenerów, masażystów, każdy trenował indywidualnie. Ja zawsze zimą jeździłem do Zakopanego na narty, świetnie robiło wspinanie na Kasprowy, ale nie tak, jak dzisiaj wyciągiem, gdyż to nic nie daje" – wspominał Lange.

Po zakończeniu kariery zajmował się propagowaniem sportu: „W niedziele i święta Legia organizowała poranki kolarskie, podczas których Lange demonstrował m.in. jazdę za motorami. Prawdopodobnie ostatnim publicznym występem Józefa były zawody dla weteranów zorganizowane na zamknięcie toru na Dynasach (który został rozebrany w 1937 r.). W wieku 40 lat Lange zdołał dojechać na metę na drugim miejscu. Kariera żelaznego Józefa skończyła się więc tam, gdzie jako mały chłopiec nieśmiało marzył o kolarstwie". Został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi w 1931 roku oraz Medalem Niepodległości w 1933 roku.

Po zakończeniu kariery zgodnie z rodzinną tradycją przejął zakład garbarski ojca. Zajmował się życiem rodzinnym, jeździł na polowania, hodował gołębie pocztowe i był działaczem sportowym Legii. Podczas wojny działał w konspiracji, a gdy wybuchło Powstanie, spłonął jego rodzinny dom, z którego zgliszcz wykopał olimpijskie medale. W PRL pozostawał z dala od życia publicznego, mimo ogromnych trudności prowadził zakład garbarski. Zmarł w Warszawie 11 sierpnia 1972 roku. Miał 75 lat. Został pochowany w rodzinnym grobowcu na Powązkach. ■

eprasa.pl 7c50a525a9



„Madonna rozstrzelanych", linoryt Anny Danuty Staszewskiej

Wyklęci za prawdę o Katyniu

Dariusz Jarosiński



Tak zwane kłamstwo katyńskie stało się mitem założycielskim komunistycznej Polski. Przez niemal pół wieku władze PRL z nadania Sowietów robiły wszystko, aby ukryć prawdę o tej zbrodni. Nawet słowo „Katyń" było zakazane. Dziś rządząca obecnie koalicja 13 grudnia zapowiedziała usunięcie ze szkolnego programu nauczania historii m.in. wiedzę o tym ludobójstwie. Zaprzeć się Katynia to tak, jakby zaprzeć się Polski.

13 kwietnia 1943 roku Niemcy oficjalnie podali informację o odkryciu pod Smoleńskiem zbiorowych grobów polskich oficerów zamordowanych przez bolszewików. O grobach Niemcy wiedzieli od 1942 roku, ale dopiero pod koniec marca 1943 roku rozpoczęły się prace ekshumacyjne. Niemcom przegrywającym wojnę bardzo zależało na nagłośnieniu sowieckiego ludobójstwa i na skłóceniu aliantów. Propaganda Goebbelsa objęła całą prasę w krajach zależnych od Niemców. Publikacje dotyczące Katynia zdominowały tzw. prasę gadzinową w Generalnym Gubernatorstwie.

Odór Katynia

Niemcy zdawali sobie sprawę z tego, że wyniki badań ich ekspertów nie będą wiarygodne, więc „zaprosili" do udziału w ekshumacjach i identyfikacji zwłok w Lesie Katyńskim przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, lekarzy, biegłych medycyny sądowej, dziennikarzy. 10 kwietnia 1943 roku na „zaproszenie" Niemców wyjechała z Warszawy do Katynia pierwsza niewielka grupa Polaków z Generalnej Guberni: dr Edward Seyfried, naczelny dyrektor Rady Głównej Opiekuńczej, pisarze Ferdynand Goetel i Emil Skiwski, lekarze dr Edward Grodzki i dr Konrad Orzechowski, robotnik Urban Franciszek Prochownik oraz dziennikarze tzw. prasy gadzinowej. W Katyniu przebywało wiosną 1943 roku kilka polskich delegacji, w sumie około pięćdziesięciu osób.

Polacy, którzy jako pierwsi poznali prawdę o zbrodni katyńskiej, którzy prowadzili ekshumację grobów polskich oficerów bądź przygotowywali raporty z miejsca zbrodni, po wojnie musieli uciekać przed zemstą komunistów. Niektórzy z nich zginęli w niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach. Świadkowie miejsca zbrodni do końca życia żyli „w cieniu Katynia" wedle określenia prof. Stanisława Swianiewicza. Żyli w zagrożeniu. Profesor Swianiewicz został wycofany spośród katyńskich skazańców dosłownie tuż przed egzekucją. Ocalał, ponieważ Sowieci zainteresowali się jego badaniami nad Rzeszą Niemiecką.

Jednym z nielicznych zachodnioeuropejskich dziennikarzy, który udał się do Katynia, był francuski pisarz, krytyk literacki, głośny publicysta, redaktor naczelny największego paryskiego dziennika „Je Suis Partout" Robert Brasillach. W lipcu 1943 roku ukazał się jego reportaż pt. „Widziałem doły Katynia", który wstrząsnął czytelnikami.

Brasillach w swoim reportażu napisał, że należałoby organizować pielgrzymki do Katynia, aby się modlić i zrozumieć, czym są komunizm i sowieckie okrucieństwo. Przestrzegał swoich rodaków, że współpraca z komunistami może przynieść takie same doły śmierci nad Sekwaną. „[…] te przerażające doły są czymś, co może czekać nas wszystkich. […] A odór Katynia dobywałby się z Fontainebleau i znad Loary".

Philippe d'Hugues, autor książki biograficznej „Brasillach. Ofiara kłamstwa katyńskiego", twierdzi, że po ukazaniu się reportażu znacznie wzrosły we Francji nastroje antysowieckie. Ujawnienie prawdy o Katyniu 35-letni pisarz przypłacił życiem. 19 stycznia 1945 roku po dwugodzinnym procesie, bez świadków i dowodów, został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie za kolaborację z III Rzeszą. O darowanie życia Brasillachowi apelowali wybitni pisarze: Albert Camus, Andre Malrau, François Mauriac, Paul Claudel i Jean Cocteau. Generał Charles de Gaulle nie wyraził zgody na prawo łaski. Uważał, że mogłoby to zaszkodzić w dobrych stosunkach ze Stalinem i Sowietami. Wyrok wykonano 6 lutego 1945 roku w Fort Montrouge koło Paryża. Czystki we Francji po zakończeniu II wojny światowej, szczególnie wśród literatów i publicystów, organizowała Francuska Partia Komunistyczna. Należy dodać, że komuniści francuscy, jak wszyscy komuniści zachodnioeuropejscy będący agenturą sowiecką, popierali pakt Ribbentrop–Mołotow. W ramach odpowiedzialności zbiorowej w sierpniu 1944 roku została aresztowana matka Roberta Brasillacha.

Wiosną 1943 roku przebywał w Katyniu wraz z dwunastoosobową Międzynarodową Komisją Lekarską prof. Ferenc Orsós, węgierski biegły medycyny sądowej oraz kryminolog. Komisja prowadziła sekcje zwłok zamordowanych oficerów. Węgierski profesor

FOT. NAC

eprasa.pl 7c50a525a9

zdeponował w Budapeszcie w skarbcu Głównego Węgierskiego Banku Kredytowego sprawozdanie z przeprowadzonych w Katyniu prac oraz dowody zbrodni, m.in. czaszkę ofiary zbrodni. Po wkroczeniu Sowietów do Budapesztu zostały one wywiezione do Moskwy wraz z prywatnym archiwum profesora. Samego zaś prof. Orsósa poszukiwała od lutego 1945 roku specjalna jednostka NKWD, jako rzekomego zbrodniarza wojennego. Na szczęście bezskutecznie, gdyż przebywał on już w tym czasie w Szwajcarii.

Ze zgromadzonymi przez prof. Orsósa materiałami miał się zapoznać w trakcie swej misji na Węgrzech Raoul Wallenberg, szwedzki dyplomata, który podczas wojny pomógł uratować życie 100 tys. węgierskich Żydów. Po zajęciu przez Sowietów Węgier Sowieci wywieźli go i wszelki słuch po nim zaginął. Bolszewicy ścigali wszystkie osoby mogące znać tajemnice Lasu Katyńskiego.

Z dokumentami prof. Orsósa zapoznał się też kapitan lotnictwa Zoltán Miko, który odegrał znaczącą rolę w węgierskim ruchu oporu oraz ratowaniu węgierskich Żydów. Poznanie tajemnic Lasu Katyńskiego przypłacił życiem – został rozstrzelany 15 sierpnia 1945 roku. Jego zastępca, Vilmos Bondor, jedynie cudem uniknął wyroku śmierci – skazany został na 25 lat więzienia. Prawdę o Katyniu poznał ksiądz Béla Varga – w 1945 roku przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Węgier. Egzekucji uniknął tylko dlatego, że zlitował się nad nim tłumacz, sowiecki pułkownik, sugerując w czasie przesłuchania, by nic nie mówił na temat Katynia.

Cyniczne szyderstwo

Wśród pierwszych Polaków, którzy byli świadkami ekshumacji grobów katyńskich, znaleźli się trzej pisarze: Ferdynand Goetel i Jan Emil Skiwski z Warszawy oraz Józef Mackiewicz z Wilna. Wzięli oni udział w delegacjach organizowanych przez Niemców dla polskich rzeczoznawców sądowych i medycznych oraz przedstawicieli Polskiego Czerwonego Krzyża. Nie muszę dodawać, jak głęboki wstrząs przeżyli w Lesie Katyńskim. Po wojnie wszyscy trzej zostali oskarżeni o współpracę z okupantem niemieckim – jeżeli chodzi o Skiwskiego, to zasadnie, bo nie skrywał on proniemieckich sympatii. Wszyscy trzej musieli też uchodzić z Polski przed NKWD i UB.

Zdaniem prof. Włodzimierza Boleckiego „Pierwsi świadkowie odkrywania grobów w Katyniu stali się wrogami publicznymi dla władz sowieckich, które utrzymywały, że zbrodni winni są Niemcy. W przypadku Goetla i Mackiewicza sprawa ta przesądziła o całym ich późniejszym życiu".

Skiwski, wiceprezes Związku Zawodowego Literatów Polskich, wybitny krytyk literacki, eseista, publicysta polityczny, po powrocie z Katynia udzielił kilku wywiadów polskojęzycznej prasie niemieckiej („Nowy Kurier Warszawski", „Goniec Codzienny", „Dziennik Radomski" oraz niemieckiej „Berliner Boersen Zeitung"). Dziennikarz „Nowego Kuriera Warszawskiego" poprzedził rozmowę kilkoma zdaniami wstępu: „Emila Skiwskiego trudno poznać. Ten tak wymowny zawsze narrator załamuje się, kiedy zaczyna swoje opowiadanie, pod wpływem grozy oglądanych ostatnio obrazów. Ochrypłe i urywane wypowiada on słowa, powtarzając stale: to było straszne, to było okropne".

Zdaniem Skiwskiego polscy oficerowie „musieli zginąć, bo reprezentowali kulturę europejską". A Rosja to Azja. W udzielonych przez pisarza wywiadach pojawiły się też antysemickie akcenty: „Naród rosyjski jest narodem eksperymentatorów. Demoniczna ciekawość, jaka tkwi na dnie duszy tego narodu, stworzyła okoliczność i okazję, którą wykorzystali Żydzi. Ustrój komunistyczny uniemożliwia antysemityzm – dlatego tam właśnie musiało się żydostwo zaaklimatyzować". „Katami Czeka byli zazwyczaj Żydzi z Jagodą na czele". Po powrocie z Katynia Skiwski jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że największe zagrożeniem polskiego bytu narodowego stanowią komunizm i bolszewicy, w związku z czym zacieśniły się jego relacje z niemieckimi władzami okupacyjnymi. Pisarz współpracował z Niemcami z pobudek ideowych, w Niemcach widział sojusznika Polski, potencjalnego pogromcę komunizmu i Sowietów. Ze współpracy nie czerpał żadnych materialnych korzyści, żył bardzo biednie. Był bojkotowany przez część warszawskiego środowiska literackiego.

Ferdynand Goetel, przed wojną wieloletni prezes PEN Clubu oraz Związku Zawodowego Literatów Polskich, autor popularnych powieści, pierwsze relacje z pobytu w Katyniu zamieścił w podziemnym piśmie kulturalnym „Nurt", które wydawał wspólnie z Wilamem Horzycą, reżyserem teatralnym. „Jakiż ogrom zagadnień zamyka tajemniczy katyński las! Radio sowieckie, powiadomione już o wyjeździe naszej delegacji, ujmuje tę sprawę w swoisty sposób, […] że Niemcy natrafili w pobliżu Smoleńska na stare, archeologiczne wykopaliska, które tłumaczą oszukańczo jako groby pomordowanych Polaków. Cyniczne szyderstwo miało się częściowo sprawdzić. Katyń i wszyscy w nim pochowani mieli być wyłączeni z biegu historycznych dochodzeń, a sprawa ich miała zawisnąć nad nowoczesnym światem jak mit".

Ferdynand Goetel spisał po wojnie relację rosyjskiego chłopa, Iwana Kriwoziercewa, świadka, który mieszkał nieopodal Katynia i wiosną 1940 roku był na miejscu zbrodni. Relacja ta była niezwykle cenna, dużo wniosła do sprawy wyjaśnienia zbrodni katyńskiej. To Kriwoziercew pierwszy powiadomił niemieckich

eprasa.pl 7c50a525a9

żołnierzy o grobach polskich oficerów. W roku 1944 udało mu się zbiec na Zachód i nie wpaść w ręce NKWD. Uzyskał azyl i zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Goetel wspominał rozmowę z nim: „Nie mógł zrozumieć, dlaczego my, Polacy, nie wytaczamy sprawy Katynia przed forum świata, nie wołamy na alarm, nie umieliśmy przedstawić jej na procesie norymberskim. Na niektórych ludzi, którzy się z nim stykali, robił wrażenie człowieka nienormalnego. I był nim niezawodnie, jak nienormalny jest dziś człowiek, który spraw moralnych chce dochodzić na prostej drodze". W październiku 1947 roku znaleziono go powieszonego na drzewie. W tym samym czasie zginął też jego przyjaciel. Nietrudno się domyślić, kim byli „nieznani sprawcy" tajemniczych śmierci.

„O samą prawdę"

22 maja 1943 roku, za zgodą i poleceniem polskich władz podziemnych, z międzynarodową delegacją dziennikarzy przybył do Katynia Józef Mackiewicz. Po powrocie w wileńskiej polskojęzycznej gazecie niemieckiej „Goniec Codzienny" ukazał się 3 czerwca 1943 roku wywiad z pisarzem pt. „Widziałem na własne oczy", w którym zrelacjonował pobyt w miejscu kaźni polskich oficerów.

„Straszne. Jeden, dwa, trzy trupy ludzkie robią już ciężkie i przygniatające wrażenie. Proszę sobie wyobrazić ich tysiące, tysiące, i wszystkie w mundurach oficerów polskich… Kwiat inteligencji, rycerstwo Narodu! Tworzą warstwy w głąb, warstwy ciał ludzkich jedne na drugich. W tej okropnej chwili przychodzi mi straszliwe porównanie ich do wielkiej skrzyni sardynek. Ułożone są jak sardynki, przekładane nawzajem to nogami, to głową, sprasowane, spłaszczone w trupim soku, który na dnie niektórych dołów ustaje się nieraz w postaci zielonej, martwej cieczy, nie odbijającej ani wierzchołków drzew, ani obłoków na niebie. Obnażyliśmy głowy i stali nieruchomo, jakieś ptaszki ćwierkały na sośnie. Deszcz akurat przestał padać, błogosławiony wiatr odegnał na przeciwną stronę grobu odurzający swąd. I nawet na chwilę wyjrzało słońce. Był to moment, którego nie zapomnę nigdy, bo promienie tego słońca padły i zabłysły nagle na złotym zębie czyichś tam, w głębi, na wpół otwartych ust. Odchyliłem głowę, by zmienić kąt odbicia i nie patrzeć na te słoneczne igraszki. W takich chwilach samo życie wydaje się cynizmem. Wiosna nad dołem splątanych nawzajem rąk, nóg, wykrzywionych twarzy, zlepionych włosów, oficerskich butów, strupieszałych mundurów, pasów. Pomyśleć sobie, że każda z tych pozycji leżących, skrzywienie kolana, odrzut głowy był ostatnim odruchem najwyższej męki, rozpaczy, strachu, bólu… czy ja wiem zresztą, jakich najgorszych odczuwań ludzkich".

Józef Mackiewicz już do końca życia żył historią zbrodni katyńskiej, spod jego pióra wyszło na ten temat wiele cennych publikacji. „Gdyby nie Józef Mackiewicz, o ile ciszej byłoby nad tym grobem!" – pisał Grzegorz Eberhardt. Profesorowi Jackowi Trznadlowi zawdzięczamy zebranie i opracowanie wszystkich tekstów Mackiewicza poświęconych zbrodni katyńskiej „Katyń – zbrodnia bez sądu i kary". Książka ukazała się w roku 1997 nakładem Polskiej Fundacji Katyńskiej.

Józef Mackiewicz był nieustannie atakowany za swą bezkompromisową antykomunistyczną postawę. W sposób szczególny zarzucano pisarzowi rzekomą kolaborację z Niemcami, do czego przyczyniły się publikacje jego tekstów w niemieckim „Gońcu Codziennym". Między Bogiem a prawdą teksty na temat bolszewii czy choćby przytoczone wypowiedzi o zbrodni katyńskiej nie miałyby szans na ukazanie się w prasie wydawanej przez Armię Krajową, ponieważ od roku 1941 Związek Sowiecki był sojusznikiem naszych sojuszników i należało się podporządkować polityce aliantów. Zarówno władze USA, jak i Wielkiej Brytanii doskonale wiedziały o tym już wiosną 1943 roku, że zbrodni na polskich jeńcach dokonali Sowieci – jednak z obawy, że Stalin wycofa się z koalicji antyhitlerowskiej, wolały w tej sprawie milczeć. Dopiero po wojnie, w 1951 roku, Amerykanie zdecydowali się powołać komisję śledczą, którą kierował Ray Madden.

Pozwolę sobie przytoczyć fragment tekstu Józefa Mackiewicza „O pewnym »rozdwojeniu jaźni«", który został zamieszczony w paryskiej „Kulturze" w 1977 roku. W tekście tym autor „Kontry" pisze m.in. o tym, czym był dla niego Katyń. „Gdy stałem w tamtym maju 1943 roku, w duszącym smrodzie, przyciskając chusteczkę do nosa, nad otwartymi grobami Katynia, opanowany byłem, pamiętam, myślą: czy dane mi będzie dać świadectwo prawdzie? Kiedyś, tzn. w mglistym czasie przyszłości, po wojnie? O której wtedy nikt jeszcze nie wiedział, kiedy i jak się skończy, czy się ją przeżyje, i tego końca doczeka? Przeżyłem i doczekałem. Wszystko to trochę patetyczne i trochę na autoreklamę wygląda, co tu piszę. Ja wiem. Ale aspiracje osobiste zachowuję raczej dla utworów literackich. W wypadku relacji katyńskiej chodziło o przekazanie prawdy. Ani o tzw. »spełnienie obowiązku«, ani o »zasługę« w tej materii. O samą prawdę".

Pierwszym świadkom największej polskiej mogiły zawdzięczamy m.in. to, że łatwe do obalenia były kłamstwa, manipulacje, choćby tzw. komisji Burdenki – sowieckiej komisji śledczej powołanej przez Stalina na początku 1944 roku w celu udowodnienia tezy, że zbrodnia katyńska została popełniona przez Niemców w 1941 roku. Notabene przewodniczący Komisji,

eprasa.pl 7c50a525a9

Nikołaj Burdenko, pod koniec życia przyznał, że zbrodni dokonało NKWD w 1940 roku.

W roku 1948 została wydana w Wielkiej Brytanii publikacja zatytułowana „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów". „Książka została tak świetnie opracowana, że ten walor – jednego z najważniejszych, a może i najważniejszego opracowania, zachowała po dziś dzień – pisał o tej publikacji prof. Trznadel w książce »Powrót rozstrzelanej armii. (Katyń – fakty, rewizje, poglądy)«. Przypisywano jej autorstwo Z. [Zdzisławowi – przyp. D.J.] Stahlowi. Wiadomo jednak, że podstawowy zrąb książki opracował Józef Mackiewicz, a Stahl pracował jedynie w ostatnim stadium redakcyjnym".

Historia zbrodni katyńskiej wydaje się nie mieć zakończenia. „[…] dziedzictwo Katynia to wielka historyczna i polityczna afera kryminalna, pełna zagadek, fałszerstw, skrytobójstw, zacierania śladów i składania fałszywych zeznań" – pisał prof. Trznadel.

▶ Sprzeciw wobec niemieckiej akcji propagandowej

Ważnym świadkiem zbrodni w Lesie Katyńskim był Kazimierz Skarżyński, sekretarz generalny Polskiego Czerwonego Krzyża, rzadko wspominany przez historyków, choć niezwykle zasłużony, autor pierwszego raportu o zbrodni katyńskiej. Kazimierz Skarżyński pochodził ze szlacheckiej rodziny herbu Bończa. Urodził się w roku 1887. Jego ojciec, Henryk Skarżyński, był właścicielem Jedwabnego na ziemi łomżyńskiej. Siostra, Teresa Rena, dziennikarka londyńskiego „Dziennika Polskiego", tłumaczka literatury (m.in. przetłumaczyła „Folwark zwierzęcy" George'a Orwella), była żoną Konstantego Jeleńskiego, dyplomaty, konsula generalnego RP w Królewcu, a matką słynnego Kota Jeleńskiego, publicysty, krytyka literatury na emigracji, współpracownika paryskiej „Kultury".

Kazimierz Skarżyński posiadał świetne wykształcenie, znał biegle siedem języków, studiował w Paryżu i Amsterdamie. W początkach swojej kariery zawodowej pracował we francuskiej firmie handlowej, m.in. wydobywającej miedź na Zakaukaziu. Za udział w wojnie polsko-bolszewickiej został odznaczony Krzyżem Walecznych. W latach 1924–1939 zarządzał w Polsce firmami produkującymi papier i celulozę. W imieniu jednej z firm przekazał milion złotych na Fundusz Obrony Narodowej. Jedynie krakowska firma Solvay dorównywała wysokością wpłaty. W okresie międzywojennym pełnił wiele funkcji społecznych, był aktywny w środowisku polskich ziemian i przemysłowców. Cieszył się dużym autorytetem.

W roku 1936 ożenił się z Zofią z Zamoyskich herbu Jemielita, córką Maurycego Zamoyskiego, ministra spraw zagranicznych w rządzie Władysława Grabskiego. Z małżeństwa urodziło się dwoje dzieci.

W styczniu 1940 roku Maria hrabina Tarnowska, zwana „niepokorną hrabiną", prezes Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, powołała Kazimierza Skarżyńskiego na stanowisko sekretarza generalnego PCK. Hrabina Tarnowska, córka Włodzimierza księcia Światopełka-Czetwertyńskiego, działacza niepodległościowego, powstańca styczniowego, zesłańca, to kobieta–legenda, w czasie I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej bohaterska sanitariuszka, odznaczona Krzyżem Walecznych; w czasie II wojny światowej pełniąc funkcję prezesa Zarządu Głównego PCK, ostro sprzeciwiała się działaniom władz niemieckich wobec polskiej ludności cywilnej, m.in. w czasie Powstania Warszawskiego. Niemcy czuli respekt przed niezwykłą kobietą. Po wojnie szykanowana przez komunistów, m.in. aresztowana. Przez wiele lat mieszkała na emigracji, ale bez Polski nie potrafiła żyć. Po powrocie do kraju ostatnie lata życia spędziła w biedzie w jednym pokoiku.

Początkowo Zarząd Główny PCK nie był chętny do wyjazdu do Katynia. „W pierwszej chwili Zarząd Główny, na zasadzie doświadczeń czteroletniej blisko okupacji i niemal codziennych przejawów przewrotności i bestialstwa Niemców, odnosił się z wielką nieufnością do wszystkich tyczących się Katynia i pochodzących ze źródeł niemieckich wiadomości" – pisał po wojnie Kazimierz Skarżyński. W Katyniu znalazł się wraz z delegacją 15 kwietnia 1943 roku. PCK – jak pisał we wspomnieniach Skarżyński – „[…] w pewnym sensie […] był ostatnim śladem polskiej suwerenności, tolerowanym przez Niemców na terenie GG (Generalnego Gubernatorstwa – przyp. D.J.)". Skarżyński, który przewodniczył delegacji PCK do Katynia, zastrzegł, że jego organizacja, niezależnie do wyników badań, nie będzie uczestniczyć w niemieckiej akcji propagandowej.

Skarżyński odmówił składania oświadczeń przebywającym w Katyniu reporterom niemieckim, zabronił też przedstawicielom PCK wypowiadania się. Niewielka grupa wysłanników PCK pracowała w niezwykle trudnych warunkach przy ekshumacjach prawie dwa miesiące – od 17 kwietnia do 7 czerwca 1943 roku. Skarżyński kierował pracami Komisji na miejscu w Lesie Katyńskim i z Warszawy. Przedstawiciele PCK odnaleźli wówczas osiem dołów śmierci, z których wydobyli blisko 4,5 tys. ciał – w tym szczątki jedynej zamordowanej w zbrodni katyńskiej kobiety, podporucznik pilot Janiny Lewandowskiej. Wydobyli tysiące ciał i pochowali je, tworząc pierwszy cmentarz, tzw. cmen-

eprasa.pl 7c50a525a9

tarz PCK. Ksiądz kanonik Stanisław Jasiński, wysłannik z ramienia metropolity krakowskiego Adama kardynała Sapiehy, błogosławił ciała polskich oficerów – ofiar NKWD – wydobyte podczas ekshumacji. Niemcy naciskali na kanonika, by potępił Sowietów w niemieckim radiu, ale nie zabrał on publicznie głosu. W roku 1945 natomiast komuniści zmusili go do złożenia zeznania obciążającego winą za Katyń Niemców.

Niepożądany świadek

Już w czerwcu 1943 roku Skarżyński sporządził „Sprawozdanie Poufne Polskiego Czerwonego Krzyża. Raport z Katynia", był to pierwszy raport o zbrodni katyńskiej. Opracował też listę zamordowanych, niezależną od listy niemieckiej. Raport, który był źródłem wiedzy na temat zbrodni i jej sprawców oraz podstawą do dalszych działań w celu wyjaśnienia okoliczności zamordowania polskich oficerów, został przekazany gen. Stefanowi Roweckiemu „Grotowi", komendantowi Armii Krajowej oraz tajną pocztą kurierską do rządu RP w Londynie i do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie.

W związku z tym, że Skarżyński był niepożądanym świadkiem zbrodni dla Sowietów, w roku 1945 zaczął ukrywać się pod zmienionym nazwiskiem. Mimo wszystko komunistyczna prokuratura trafiła na jego ślad. W maju 1946 roku dzięki pomocy poakowskiej konspiracji udało się Skarżyńskiemu wyjechać z rodziną do Anglii. Uniknął w ten sposób więzienia, a może i śmierci. Złożył cenne zeznania przed Komisją śledczą Kongresu USA ds. zbadania zbrodni katyńskiej, która pracowała w latach 1951–1952. Komisją kierował przewodniczący Izby Reprezentantów Ray Madden. Władze USA otrzymały wiarygodne informacje o rozstrzelaniu Polaków już w 1943 roku, jednak milczały w tej sprawie. Prezydent Franklin D. Roosevelt wiedział, że Niemcy nie miały nic wspólnego z tragedią katyńską, ale publicznie oskarżał Niemców o zbrodnię, licząc na pomoc Związku Sowieckiego w wojnie z Japonią i Niemcami, nie chcąc psuć sobie dobrych stosunków z „wujaszkiem Joe", jak nazywano w USA Stalina. Dopiero wybuch zimnej wojny, wojna w Korei, spowodowały zmianę stanowiska rządu USA.

Komisja śledcza na szeroką skalę i z wielkim nagłośnieniem medialnym zajęła się sprawą Katynia. Wykonała ogromną pracę – przygotowała liczący 2360 stron raport, który uznawał winę władz Związku Sowieckiego. W kilku sesjach, które odbyły się w USA, Wielkiej Brytanii, RFN i we Włoszech, przesłuchano ponad 280 świadków, w tym kilkudziesięciu Polaków (oprócz wspomnianego już Kazimierza Skarżyńskiego, m.in. gen. Władysława Andersa, Józefa Czapskiego, ppłk. dr. Tadeusza Felsztyna, por. Władysława Furtka, Ferdynanda Goetla, płk. Stanisława Lubodzieckiego, kpt. Eugeniusza Lubomirskiego, Józefa Mackiewicza, mjr. Adama Moszyńskiego, ppor. Zbigniewa Rowińskiego, Stanisława Swianiewicza, gen. Jerzego Wołkowickiego). We Frankfurcie nad Menem złożył zeznania Władysław Kawecki, redaktor gadzinowego „Gońca Krakowskiego", autor pierwszej imiennej listy ofiar z Katynia. Z innych ważnych świadków należy wymienić członków Międzynarodowej Komisji Lekarskiej: Ferenca Orsósa, Helge Tramsena, Vincenza Palmieriego i Françoisa Naville'a. Przed komisją zeznawał również John Van Vliet – amerykański oficer, w latach wojny przebywający w niewoli niemieckiej, autor raportu z Katynia. Komisja zalecała władzom USA skierowanie sprawy na forum ONZ i wniesienie skargi przeciw Moskwie do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze.

W roku 1955 na łamach paryskiej „Kultury" Skarżyński opublikował tekst o działaniach Polskiego Czerwonego Krzyża w Lesie Katyńskim.

Kazimierz Skarżyński zmarł w roku 1962 w Calgary w Kanadzie, tam też został pochowany. W lutym 1989 roku raport sekretarza generalnego PCK został po raz pierwszy opublikowany w Polsce.

***

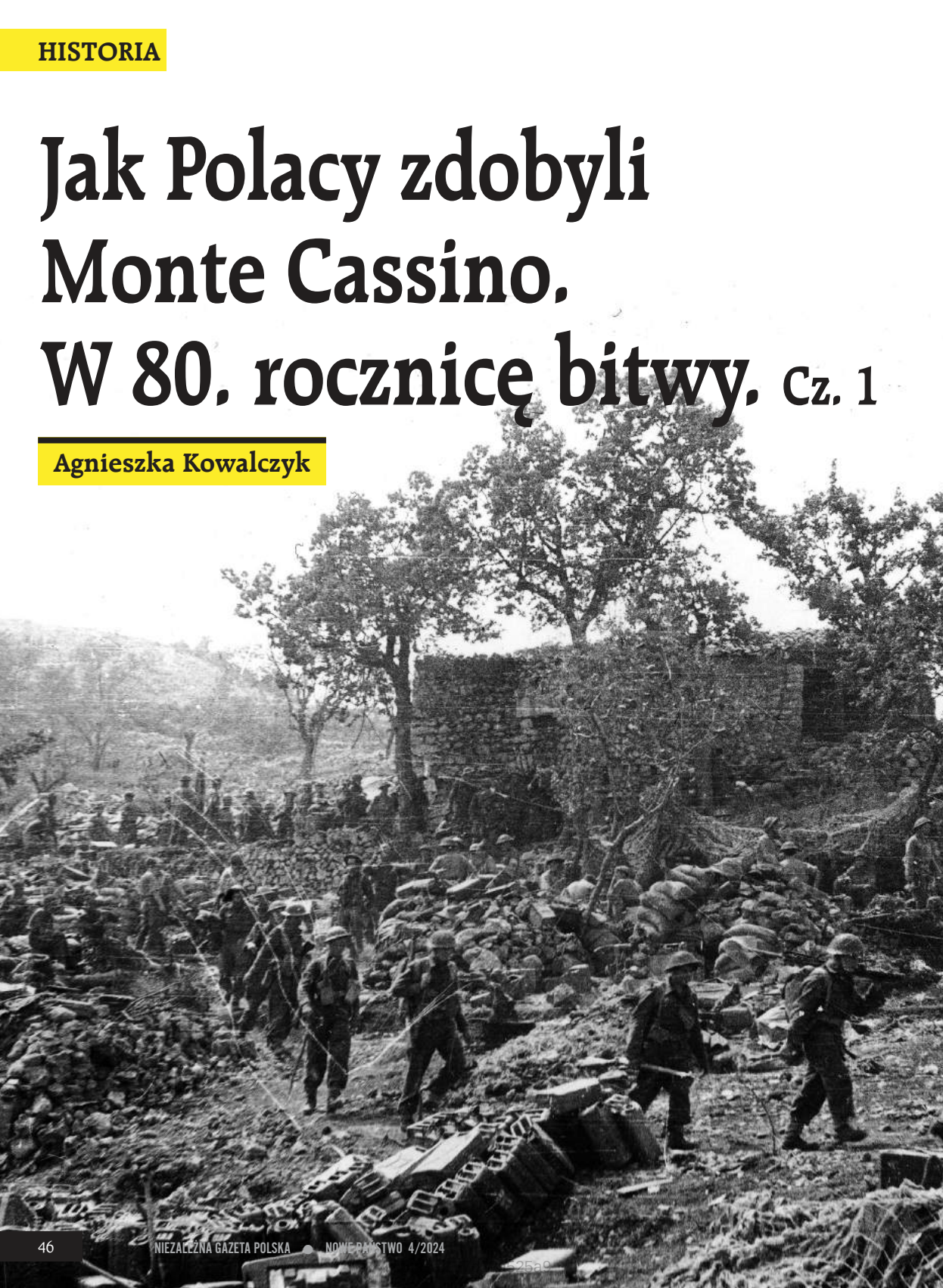
Tak zwane kłamstwo katyńskie stało się mitem założycielskim komunistycznej Polski. Przez niemal pół wieku władze PRL z nadania Sowietów robiły wszystko, aby ukryć prawdę o tej zbrodni. Nawet słowo „Katyń" było zakazane. Osoby głoszące prawdę o zbrodni katyńskiej były represjonowane. W lutym 1978 roku powstał w Krakowie, początkowo niejawny, Instytut Katyński, którego założycielem był Adam Macedoński. Instytut wydawał „Biuletyn Katyński". „Organizacja ta przełamywała barierę strachu, protestując przeciwko zakłamywaniu historii Zbrodni Katyńskiej i rzetelnie informowała społeczeństwo polskie o mordzie". „Ta zbrodnia ma dla Polaków ciężar większy nawet niż Jałta – jest symbolem wszystkich zbrodni komunistycznych [...] to jest szatańska zbrodnia na zimno zaplanowana i popełniona na ludziach najwartościowszych dla życia społeczności" – mówił w wywiadzie rzece „Pod czerwoną okupacją" Adam Macedoński.

Jak wynika z doniesień medialnych, rządząca obecnie koalicja 13 grudnia zapowiedziała usunięcie ze szkolnego programu nauczania historii m.in. wiedzę o zbrodni katyńskiej. Zaprzeć się Katynia to tak, jakby zaprzeć się Polski. ■

eprasa.pl 7c50a525a9

Jak Polacy zdobyli Monte Cassino. W 80. rocznicę bitwy. Cz. 1

Agnieszka Kowalczyk



80 lat temu, 18 maja 1944 roku, polscy żołnierze pod dowództwem gen. Władysława Andersa, po tygodniu zaciekłych bojów z Niemcami zdobyli Monte Cassino i otworzyli aliantom drogę na Rzym. W ocenie historyka Matthew Parkera była to „największa bitwa lądowa w Europie, najcięższa i najkrwawsza z walk zachodnich aliantów z niemieckim Wehrmachtem na wszystkich frontach II wojny światowej".



FOT. WIKIPEDIA

To właśnie Monte Cassino, owa słynna Góra Klasztorna, dźwigająca na sobie od wieków opactwo benedyktynów, stanowiła kluczowy punkt niemieckiego systemu umocnień zwanego Linią Gustawa. Obsadzona przez elitarne oddziały hitlerowskich spadochroniarzy, wspomaganych batalionami piechoty wysokogórskiej i grenadierów pancernych, stała się głównym celem wzmożonych ataków sił alianckich. W ciągu kilku miesięcy, od stycznia do maja 1944 roku, rozegrano o nią cztery zaciekłe bitwy. Liczne próby zdobycia wzniesienia przez Amerykanów, Brytyjczyków, Francuzów, Hindusów i Nowozelandczyków okazały się jednak bezskuteczne. Niewyobrażalnie trudną misję odbicia Monte Cassino z rąk Niemców powierzono w końcu Polakom – żołnierzom II Korpusu Polskiego pod rozkazami gen. Władysława Andersa.

Wśród skał, jarów i wertepów czekał na polskich żołnierzy „potwór straszliwy, przywarowany w zieloności wzgórz, spowity w wiosnę, maki i słowiki", zaopatrzony w pół miliona pocisków armatnich i moździerzowych oraz w niezliczoną ilość pocisków broni maszynowej. Jego władztwo, siedlisko wrogich sił Wehrmachtu, usiane było kilkuset tysiącami zdradliwych min, najeżone szarpiącym ciało drutem kolczastym, pełne bunkrów i schronów bojowych, zionących śmiercionośnym ogniem. Podczas dwóch majowych szturmów, jakich dokonali Polacy, „przepoławiało się, bluzgotało, krwawiło mięso ludzkie, działały potworne żuchwy zasilane wciąż nowym żerem, obleśną gębą oblepioną strzępami wywalonych jelit, rozpryśniętych mózgów, okruchami miażdżonych kości" – opisywał ten wojenny teatr grozy naoczny świadek bitwy Melchior Wańkowicz, znany pisarz i korespondent wojenny. Na zawsze wryły się w jego pamięć makabryczne widoki: „spalonego trupa Bobonia; usmażonych Nickowskiego, Białeckiego, Karczewicza […]; przeciętego wpół ciała Barglewicza; […] oderwanej głowy Kajrowicza; […] nóg trupów drutem wiązanych – ofiar ziemi potwora". Hekatomba została spełniona. W bitwie o Monte Cassino zginęło 900 żołnierzy II Korpusu Polskiego, a 3 tys. zostało rannych.

Misja powierzona Polakom

Decyzja o powierzeniu II Korpusowi Polskiemu zdobycia masywu i klasztoru Monte Cassino zapadła 21 marca 1944 roku, podczas narady gen. Harolda Alexandra, dowódcy sił alianckich we Włoszech, z dowódcami 5. Armii amerykańskiej i 8. Armii brytyjskiej. Odpowiedzialny za polskich żołnierzy gen. Władysław Anders wyraził zgodę na przeprowadzenie niewiarygodnie ciężkiej operacji zbrojnej, której nie podołały dotąd żadne formacje alianckie. Miał świadomość, że „wykonanie tego zadania, ze względu na rozgłos, jaki Monte

50a525a9

Cassino zyskało wówczas w świecie, mogło mieć duże znaczenie dla sprawy polskiej. Byłoby najlepszą odpowiedzią na propagandę sowiecką, która twierdziła, że Polacy nie chcą się bić z Niemcami. Podtrzymywałoby na duchu opór walczącego Kraju. Przyniosłoby dużą chwałę orężowi polskiemu".

Już 27 kwietnia 1944 roku polscy żołnierze założyli specjalne buty o gumowych podeszwach i zaczęli wspinać się bezszelestnie na wyznaczone pozycje w rejonie Monte Cassino, zastępując wyczerpanych ciężkimi walkami Anglików, Hindusów i Nowozelandczyków. Zdobycie wzgórz 593 i 569, a następnie uderzenie na Górę Klasztorną stało się celem 3. Dywizji Strzelców Karpackich pod dowództwem gen. Bolesława Ducha. Z kolei 5. Kresowa Dywizja Piechoty pod rozkazami gen. Nikodema Sulika miała przystąpić do szturmu na wyniosłość zwaną Widmem, a potem wyprzeć Niemców z Colle San Angelo i wzgórza 575.

„Przyszedł maj i ziemia nieuprawna przez wojnę pokryła się makami" – odtwarzał moment oczekiwania na uderzenie Melchior Wańkowicz w swych „Szkicach spod Monte Cassino". „Maki czerwienią pokryły każdy załomek gruntu. Nocą słowiki wydzierały się jak oszalałe. Roje świetlików pokrywały stocza płonącymi nitkami. Wyżej świetlne pociski żłobiły niebo. Trupy i maki, słowiki i wycie nebelwerferów [ciężkich moździerzy rakietowych], świetliki i świetlne pociski – tworzyły misterium, w którym nad zaklęśniętymi w głazach, miękkociałymi istnieniami chodziła śmierć. Żołnierze czekali".

Czekali i wyczuwali, że Niemcy są bardzo blisko i że wszędzie czai się śmierć. Zaopatrzeni w nożycowe lornety, zbliżające dwudziestokrotnie, mieli Polaków na celowniku, będąc nawet w stanie określić, co który z nich ma w swej menażce. „Ckliwa woń rozkładających się trupów, pozostałych z tamtych natarć, przepełniała powietrze, tłuste, wypasione szczury harcowały po głowach, w dzień zamieniały je roje wielkich zielonych much żerujących na trupach". By ujść śmierci, trzeba się było kłaść w płaskich kamiennych schronach ułożonych z głazów, nakrywać kocami i tkwić przez cały dzień w bezruchu. Prowiant dowożono nocami, najpierw ciężarówkami, potem łazikami, wreszcie na grzbietach mułów, których oczekiwali na pnących się ku niebu ścieżkach noszowi z poszczególnych plutonów. Nad polem morderczych zmagań górował potężny masyw Monte Cairo – skalny bastion, z którego Niemcy widzieli jak na dłoni najmniejszy nawet ruch przeciwnika. Śmierć zbierała więc obfite żniwo. Każdego dnia w II Korpusie liczono od 30 do 60 zabitych i rannych. Na początku maja niemiecka artyleria ważyła się nawet ostrzelać Główny Punkt Opatrunkowy, choć z dala widoczny był jego nietykalny symbol – Czerwony Krzyż. Śmierć poniosło wówczas kilkunastu rannych żołnierzy, dwóch lekarzy i ksiądz kapelan.

Tymczasem trwały gorączkowe przygotowania do szturmu. W polskich szeregach narastało napięcie. 11 maja 1944 roku polscy żołnierze z niepokojem zaczęli spoglądać na zegarki, a oficerowie nerwowo przeglądać mapy. Wybiła 23.00 – godzina H – od kryptonimu „Honker", czyli krzyk dzikich gęsi. Wówczas to na całym froncie rozległ się głos trąbki, a za nim rozbrzmiała ogłuszająca muzyka dział od Morza Tyrreńskiego po Adriatyk. Z tą oto chwilą rozpoczęło się pierwsze natarcie Polaków na Monte Cassino wspierane ostrzałem artyleryjskim wojsk alianckich. „Ochłonąwszy nieco z pierwszego szoku słyszymy jak cała dolina i wszystkie góry wibrują nieustannym grzmotem, cała artyleria amerykańskiej 5. Armii, brytyjskiej 8. Armii i w tym oczywiście II Korpusu Polskiego zionęły ogniem. W promieniu obserwacji słuchowej grało tysiąc kilkaset dział – na odcinku zaledwie 4 kilometrów frontu. Równocześnie lotnictwo alianckie bombardowało pozycje niemieckie. […] Od strony Niemców też błysnęło krwawo i zrobiło się piekło na ziemi" – wspomina mjr Faliszewski z 15. Wileńskiego Batalionu „Wilków".

Kresowa na Widmie

Jeden z głównych celów uderzenia to potężny grzbiet górski, który wieńczy dom klasztornego ogrodnika z rodu Pittigliów. Miejsce to żołnierze nazwali Domkiem na Widmie, bo „przesuwające się chmury mgielne sprawiały wrażenie, jakby wszystko w nich płynęło. W tym widmie nieprawdopodobnego obrazu, nacierającym wydawało się, że również przemieszcza się dostrzeżone kamienne domostwo".

„Role rozdane – los podnosi kurtynę na bezksiężycowej scenie, w której słabo widnieją biegnące do nieprzyjaciela otaśmowane ścieżki". Jako pierwsi poszli w ogień żołnierze 5. Kresowej Dywizji Piechoty. Z lewej strony grzbietu zaatakował 15. Batalion „Wilków" ppłk. Wiktora Stoczkowskiego, a z prawej – 13. Wileński Batalion Strzelców „Rysiów" ppłk. Władysława Kamińskiego.

Do zbadania terenu przystąpiły cztery patrole ścieżkowe 15. baonu. Już po 50 przebytych metrach ciężki pocisk niemiecki rozsadził pierwszy z oddziałów, dowodzony przez por. Lassotę. Drugi prowadził ppor. Muttermilch. Niestety, rażony przez wroga, padł martwy wraz ze swoimi zastępcami. Ciężko ranni zostali też dowódcy dwóch pozostałych patroli. Za nimi ruszyła do walki kompania por. Jurkowskiego. I jego również dosięgły niemieckie pociski. Dalej postępowała kompania por. Józefa Polkowskiego. „Pot leje się z objuczonych żołnierzy, noga leci z ostrych skał na eksplodujące miny". Giną saperzy i ogniomiotacze, którym udaje się jednak unieszkodliwić aż dziewięć rażących ogniem nieprzyjacielskich bunkrów. Te są śmiertelnym zagro-

eprasa.pl 7c50a525a9

żeniem dla walczących Polaków. To „mordercy naszych żołnierzy" – mówił o nich Melchior Wańkowicz. W każdym z nich tkwiło najczęściej po kilku Niemców i, jak pisze Olgierd Terlecki, „miały olbrzymią przewagę nad nacierającymi. Doskonale wkomponowane w teren, zamaskowane w kamieniach i chaszczach, dawały o sobie znać morderczym ogniem karabinów maszynowych". Co gorsza, te niemieckie bunkry okazały się prawie zupełnie niemożliwe do zdobycia dla polskiej artylerii, tylko piechota była w stanie je zniszczyć. Saperzy bowiem mieli na to swoje metody – na końcach trzymetrowych tyk umieszczali ładunek wybuchowy, sprytnie wsuwali go w otwory wrogich schronów, wysadzając w ten sposób setki gniazd wroga w powietrze. Czasem likwidowali je granatem albo też podczołgiwali się pod samą szczelinę bunkra i wtykali w nią lufę karabinu maszynowego.

Zajęcie Widma przypadło w udziale 15. batalionowi, który próbował posuwać się dalej – na wzgórze 575, a potem na San Angelo. Ku temu nowemu celowi wyruszyła jako pierwsza kompania mjr. Leona Gnatowskiego, ale szalejący ogień zatrzymał ją w połowie drogi. Musiała więc wycofać się na Widmo. Straty oddziału rosły w zastraszającym tempie, tym bardziej że Niemcy (kompania spadochroniarzy i grupa żołnierzy z 100. Pułku Piechoty Górskiej), chcąc odbić górę, przeszli do kontrofensywy. Kresowiacy odparli ich atak, nie wiedząc jednak, jak długo wytrzymają.

Winkelried spod Monte Cassino

Podobnie pod gwałtownym ostrzałem artylerii i siarczystego ognia karabinów maszynowych znalazła się napierająca na Widmo znaczna część 13. batalionu „Rysiów". „Kompania kpt. Kolatora idzie daleko w przód, niszczy bunkry, im więcej wchodzi w teren, tym bardziej ogień się zagęszcza. Sam Kolator, dwukrotnie ranny, zostaje ciężko ranny po raz trzeci, kiedy rzuca granatem w schron. Jego zastępca, por. Pietrzak, pada ranny. Komendę obejmuje por. Majewicz, ginie atakując bunkier miotaczem płomieni. […] Kompania kpt. Domańskiego znaczy obficie krwią przebywaną drogę, czyści wiele bunkrów, bierze jeńców, topnieje, aż Domańskiemu zostaje 28 ludzi". Wtedy to spotyka się on z niemieckim natarciem. Krzyczy: „Bagnet na broń" i podrywa swoich ludzi do walki. Sam, trafiony pociskiem w gardło, ginie. Dowództwo po nim obejmuje por. Olkowski, ale wkrótce i on w ferworze bitwy zostaje ranny. Natarcie odparto, ale grad pocisków sypał się nadal na tych, którzy przeżyli. Z całego oddziału nie doznał obrażeń jedynie stary strzelec Jewszel.

Druga część batalionu „Rysiów" pięła się natomiast na szczyt wzgórza o wysokości 706 metrów. Walczący mieli ze sobą półtorametrowe rury Bangalora wypełnione materiałem wybuchowym. Niemiecka nawała zaskoczyła ich u celu wspinaczki. Zginęło 6 oficerów i 45 żołnierzy. Kto żyw rzucał się do przodu, ale tam eksplodowały zdradziecko podłożone miny. Jedna z nich urwała nogę strzelcowi Bułatowi. Ten jednakże, jakby na to nie zważając, z okrzykiem: „Koledzy, przeze mnie, oczyszczę wam drogę", rzuca się na zaminowaną ścieżkę. To Winkelried spod Monte Cassino. Swoim porozrywanym ciałem otwiera współtowarzyszom pole do ataku… Ci likwidują cztery najbliższe bunkry, lecz na ich wykrwawiony oddział rusza znów niemieckie natarcie. Wyczerpanym idzie z pomocą kpt. Buyko wraz z garstką swoich ludzi, których siły topnieją pod wrogim ostrzałem szpandałów i granatów. Na zdziesiątkowanie polskiego batalionu „Rysiów" wystarczyło zaledwie kilka minut. Bilans strat to 70 poległych i rannych.

Ginących współtowarzyszy próbuje jeszcze wesprzeć 18. batalion 5. Dywizji Kresowej ppłk. Domonia, lecz od razu dostaje się w krzyżowy ogień dobywający się z niemieckich bunkrów, zupełnie niewidocznych, jakby wrośniętych w głazy. Żołnierzy ogarnia rozpacz i wściekłość, „tropią bunkry po błyskach". Pierwsi rzucają się na wrogie stanowiska plutonowy Walery Gorgolewski i podchorąży Franciszek Rysiecki, ale serie z cekaemów podcinają im nogi. Do rannych dobiega dowódca kompanii w podziurawionym mundurze, aby ich opatrzyć. Gorgolewski nie zważa na rany ani na padające zewsząd strzały, podnosi się na rękach i pokazuje dowódcy, gdzie czai się wróg. Wtem kula strzelca wyborowego przebija mu pierś. On jednakże nadludzkim wysiłkiem wskazuje ukryty bunkier doczołgującemu się doń strzelcowi Łotoczce. W tym momencie dosięga go kolejny strzał z karabinu. Ranny w głowę. Gorgolewski umiera, a próbujący podpełznąć do niego kapitan, słyszy ostatnie, cichnące słowa konającego: „Niech żyje Polska".

Rysiecki natomiast, któremu podczas ataku na bunkier zgruchotało nogi, „ciągnie się na rękach w dół ku swoim. Pot sperla czoło, nie ma jak już poprawiać przemokłych, sflaczałych opatrunków. Zabiera coraz nowe poległym […]. Odpoczywa. Znów pełznie. W którejś godzinie spełza na Gardziel, w której wyskakiwały w powietrze czołgi. Słyszy – idzie ktoś przez krzaki, przywiera. Widzi – ślepiec, ręce wyciąga, bezradnie kołuje. To jeden z czołgistów. Wówczas ślepiec wziął na barki Rysieckiego, który wskazywał drogę".

Tymczasem żołnierze 18. Batalionu położyli już trupem 30 Niemców, 18 wzięli do niewoli, w tym dwóch oficerów. Jeden z nich, ranny Strohmajer, wezwał do siebie sanitariusza, a gdy ten się zbliżył, pchnął go nożem. Równie zdradziecko postąpili żołnierze z niemieckiego oddziału, który wywiesiwszy białą flagę, przywitał serią ze szmajsera biegnących w jego stronę Polaków, raniąc ppor. Kowalewskiego.

eprasa.pl 7c50a525a9

Choć żołnierzom 5. Dywizji Kresowej udało się zlikwidować większość śmiercionośnych bunkrów, okazali się bezsilni wobec „walca artyleryjskiego", czyli ogniowego wału, który przesuwając się od stóp do szczytu Widma i z powrotem, prażył ich bezlitośnie. W obliczu ciężkich strat kresowiacy, mimo wsparcia 16. Batalionu, byli zmuszeni do przerwania szturmu. „Dwa czołowe bataliony 5. Brygady zostały unicestwione: wszyscy zabici lub ranni. Atak na Widmo okazał się katastrofą" – stwierdził historyk bitwy Harvey Sarner.

Na Górze Ofiarnej

Na wzgórze 593, które dla Polaków przemieniło się w Górę Ofiarną, ruszyli żołnierze 1. Brygady 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Wzdłuż grzbietu zwanego Głową Węża przemykał 2. Batalion pod dowództwem ppłk. Romana Szymańskiego. „Runęliśmy naprzód […] – opowiadał Edward Rynkiewicz. – Wielu zgubiło swoje rzeczy i było dużo zamętu. Żaden z nas nie miał pewności, gdzie się znajduje, ale wszyscy czuliśmy, że wzniesienie na wprost musi być początkiem wzgórza 593. Huk i natężenie ognia nieprzyjaciela zwiększały się z każdym metrem, który zdobywaliśmy, i spadały na nas miriady odłamków skalnych". W nocnych ciemnościach, wśród dymów, niemal po omacku biegli naprzód i raz po raz padali pod ostrzałem artylerii, podnosili się i parli dalej naprzód. Na każdym kroku musieli uważać na rozstawione przez Niemców spirale kolczastego drutu. W taką to właśnie pułapkę wpadł wprost pchr. Stanisław Tereszczuk, biegnąc pod ostrzałem artylerii z 34-kilogramowym miotaczem płomieni. W pewnym momencie dosięgnął go tam strzał. Padł. Gdy odzyskał przytomność, zobaczył, że jego uwięziona w drutach noga to „masa miazgi sukiennej i jakiejś krwawej kaszanki". Na domiar złego dostał serią szpandała w plecy. Ciężko rannego odnalazł sanitariusz Brzeziński, usztywnił mu nogę karabinem, włożył na nosze i ukrył w skalnej wnęce. Stamtąd zabrał go ze sobą patrol niemieckich sanitariuszy do punktu opatrunkowego w jaskini. Leżał w niej „cały drugi dzień i całą trzecią noc – bez jedzenia, bez wody, bez opatrunku". Ciężarówka, którą był potem transportowany, została trafiona pociskiem. Płonąca buda zwaliła się wprost na zdrową nogę Taraszczuka. „Człowiek zabijany na raty skulnął się przez burtę i padł jak krwawy wór na ziemię. […] Ogień padał na niego żagwiącymi soplami […]. Zasłonił twarz, jak mógł, wreszcie zdjęty zwierzęcym strachem podciągnął korpus rękami – tak próbuje się ratować owad o zgniecionym odwłoku". Niemcy mieli zamiar go dobić, ale jakimś cudem zdołał ukryć się w ciemnościach schronu. Po wielu dniach samotnej męki znaleźli go Anglicy i przekazali Polakom. „Głowa, ręce – strupy. Od pasa – wiją się białe robaki". Doktor Jakubowski natychmiast przystąpił do operacji. Tereszczuk przeżył. Przeszedł trzy amputacje.

Po zdobyciu przez Polaków wzgórza 593, Niemcy nadal trawili je ogniem moździerzy. O trzeciej w nocy przy wsparciu strzelców wyborowych przypuścili szturm na pozycje opanowane przez polski batalion. Karpatczycy pozostali nieugięci. „Kica, ostatni z dowódców kompanii, podnosi się i zabijają go w jednej chwili trzykrotnie: szpandał, granat i moździerz. Dowództwo na minutę obejmuje ppor. Potocki i pada ranny. Sierż. Golonka obejmuje dowództwo «całości» – dwunastu ludzi, którzy pozostali po sześciu niemieckich natarciach. Śmierć chodzi szeroko. Pada zabity mjr Rojek. Dowódca brygady, weteran Tobruku płk Peszek nie może usiedzieć, idzie sam na 593, pada ranny. Pada sierżant Golonka, ostatni dowódca tych ostatnich dwunastu, których już nie ma".

Ostatecznie jednak ten gwałtowny atak Niemców został odparty, a po nim jeszcze cztery kolejne. Podczas piątego skuteczny opór stawił pluton ppor. Romańskiego. Wywiązała się walka wręcz – „na granaty, gwałtowna rzeź obustronna". Wystawiony do natarcia pluton dał radę Niemcom także i po raz szósty, ale z serii krwawych starć wyszło cało tylko dwunastu ludzi. Zaraz też posypał się na nich deszcz granatów, bo oto wróg napierał z wielką siłą na wzgórze. Zdziesiątkowany oddział Romańskiego został zmuszony do wycofania się – pięciu polskich żołnierzy wlokło ze sobą dwóch rannych. W sumie spośród trzech kompanii 2. Batalionu 3. Dywizji Karpackiej, które szturmowały 593, bez ran wróciło tylko 34 żołnierzy. Podpułkownik Tytus Jerzy Brzóska stwierdził, że batalion nie został rozbity, ale… wybity.

Psychiczne katusze na Górze Ofiarnej, „trzymanej z największym wysiłkiem", przeżywał też mjr Tadeusz Radwański, dowódca 4. Kompanii 3. Batalionu Dywizji Karpackiej. Z coraz większym niepokojem obserwował, jak ze wzgórza 593 odpływają kolejne fale rannych. „Z poczerniałych, skurczonych twarzy patrzyły na mnie błyszczące gorączką oczy – pisał w liście – z zapiekłych ust wydobywały się zachrypnięte słowa beznadziejności i przerażenia. […] Jest nas zaledwie kilkunastu. Nad nami skowyczą maszynowe serie z Albanety i 575 oraz z klasztoru. Co robić? Skąd wziąć amunicję? […] Granatów już nie mam, łączności nie mam, a więc i o ogień zaporowy «Karpaty» też prosić nie mogę. Chyba już teraz Niemców nie odrzucimy. Straszna jest moja sytuacja jako dowódcy tych kilkunastu chłopców, broniących tego podstawowego wzgórza w całym kompleksie obrony niemieckiej […]. Wyć mi się chce, myślę, że chyba oszaleję". Major Radwański zachował jednak zimną krew i na wieść o tym, że Niemcy atakują od Albanety, podjął ostateczną decyzję o wycofaniu swojego oddziału. O godzinie 19.30 ostatni żołnierze opuści-

eprasa.pl 7c50a525a9

li Górę Ofiarną, na którą przyszło im jeszcze powrócić, by polska hekatomba się dopełniła i… przyniosła owoc zwycięstwa.

W Gardzieli z pancernymi „Skorpionami"

Między Widmem a stokiem 593 biegł wąski wąwóz najeżony minami, nazywany Gardzielą, a prowadzący wprost na wzgórze Mass Albaneta. „Obrona Gardzieli była dla Niemców kluczowym zagadnieniem, gdyż zdobycie jej przekreślało dalszy opór na sąsiednich górach. Dlatego Gardziel dokładnie zaminowali i silnie obsadzili wojskiem – tłumaczył uczestnik bitwy o. Studziński. – […] Zdobycie Gardzieli ubezwładniało też i Mass Albanetę, szczególnie groźny i ważny punkt oporu niemieckiego, mieszczący się za Gardzielą, kilkaset metrów dalej w rozległym budynku o bardzo grubych murach. Z Mass Albanety Niemcy wspierali ogniem swoich na Widmie i na wzgórzu 593".

Rozkaz zajęcia Gardzieli otrzymał 1. Batalion 3. Dywizji Karpackiej mjr. Bolesława Raczkowskiego. Wśród porozrzucanych głazów siedzieli przyczajeni Niemcy, dobrze schowani w zamaskowanych bunkrach, na pierwszy rzut oka niewidzialni, w istocie siejący dookoła śmierć. Czekali tylko, by zadać cios przeciwnikowi. Polska piechota intensywnie ostrzeliwana z Albanety i z sąsiednich wzgórz ponosiła coraz większe straty. Pierwsza z nacierających kompanii została niemal doszczętnie zniszczona. Najdłużej wytrzymali żołnierze por. Edwarda Maślony, którzy jeszcze 13 maja zajmowali tzw. Głowę Węża. „Jedna z owych »żywych torped« kompanii, strzelec Kniaziuk, całą noc pełniący pod ogniem nieludzką pracę donoszenia po stokach amunicji – śpi pod ogniem i zostaje raniony w trzech miejscach granatem. Jeden z odłamków przebił mu hełm, twarz zalana krwią […]. W następstwie Kniaziukowi wyjęto oko". Po tym, jak łączność z dowództwem została zerwana, sądzono, że Niemcy całkowicie wybili kompanię. Jakże wielka więc była radość, gdy do batalionu dotarł strzelec Ostrowski z sensacyjną wieścią, że żołnierze Maślony wciąż tkwią na posterunku.

Atak na Gardziel wspierany był przez czołgi 4. Pułku Pancernego „Skorpion", które musiały zmierzyć się z szalenie niebezpieczną dla ciężkich pojazdów bojowych górską ścieżką, zwaną Drogą Polskich Saperów, „po której nie ryzykowano puszczać nawet ciężarówek". W tych ekstremalnych warunkach Polacy usiłowali pokonać czołgami niezwykle trudny górzysty teren pod ostrzałem niemieckich dział.

„Sapiące czołgi windują się jak dobre, ciężkie zwierzęta. Żołnierze patrzą na nie z otuchą. Kierowcy – są cali w słuchu, we wzroku, w refleksach nerwów. Głośniki są otwarte i czujne. […] Nerwy załóg napięte są do ostateczności; posuwanie się graniczy z akrobacją. […] Czołg por. Kranasa wparł się w ścianę na ostrym zakręcie, nie wycyrklowawszy wirażu. Cofać się nie może – zleci w przepaść. Posterunek ewakuacji wstrzymuje ewakuację rannych. Gdzieś w górze pęcznieje coraz bardziej krwawa masa. Idą kwadranse – bezradne… Ręce kierowcy drżą, trzymając wysiłkiem czołg na hamulcach nad przepaścią".

W końcu przychodzi rozkaz, by czołg zepchnąć w przepaść. Tego wyczynu może dokonać tylko ten, kto wejdzie do środka, poluzuje hamulec i wyskoczy z maszyny w ostatniej chwili. Wymaga to wielkiej odwagi. Nie godzi się na to ani kierowca, ani jego zastępca, ani też strzelec przedni. Jest jednakże pewien śmiałek – radiooperator Stanisław Jankowski. Ten odblokowuje hamulec i wypada na skraju urwiska z pędzącego czołgu, który koziołkując, leci trzysta metrów w dół…

Mimo heroicznych wyczynów ze strony pancernych i piechoty „Gardziel" nie została zdobyta. Jako ostatni z zajmowanych pozycji wycofali się 13 maja o godzinie 14.30 żołnierze por. Maślony po 39 godzinach od rozpoczęcia ataku.

***

Choć pierwszy polski szturm, który miał przynieść zdobycie Monte Cassino, nie zakończył się sukcesem, to stał się świadectwem niebywałego męstwa, determinacji i ofiarności polskiego żołnierza. Mordercze walki toczone przez Polaków o wzgórza broniące dostępu do Góry Klasztornej miały jednakże swoje pozytywne skutki w sferze militarnych działań aliantów. Skoncentrowanie przez Polaków głównych sił niemieckich na szturmowanym odcinku, pozwoliło ich sojusznikom na opanowanie ważnych przyczółków nad rzeką Rapido. „Niemcy zostali ciężko poturbowani. Swym poświęceniem na wierzchołkach gór Polacy ułatwili zadanie dywizjom brytyjskim, działającym w dolinie" – podkreślał znawca historii bitwy Fred Majdalany. Pomimo poważnych strat Polacy nie poddali się, szykując się do kolejnego uderzenia. „Alianci widzą nasz wysiłek, doceniają zadanie, współczują stratom – pisał Wańkowicz. – Nie, nie ma mowy o załamaniu. Jest mowa – o marszu w przód. I płk Rudnicki każe artylerii wstrzeliwać się do bunkrów, piechocie wytyczać ścieżki i organizować patrole szturmowe". Zbliżał się 17 maja, a wraz z nim drugi szturm polskiego żołnierza na Monte Cassino. ■

Źródła: M. Wańkowicz, „Szkice spod Monte Cassino", Warszawa 1999; M. Gałęzowski, „I poszli szaleni, zażarci… Bitwa pod Monte Cassino – pierwszy szturm", Warszawa 2017 [„Szlak Andersa", t. 22].

eprasa.pl 7c50a525a9



Tomasz Gromadka

NAWRÓCENIE I MĘCZEŃSTWO MABEL TOLKIEN

epresa.pl 7c50a525a9



Zarówno życie Mabel Tolkien, jak i jej syna, J. R. R. Tolkiena, przepełnione było nadzieją, jaśniejącą wśród ciemności cierpień. Mabel Tolkien, wbrew wszystkim przeciwnościom życiowym, w heroiczny sposób podążała za światłem Bożej łaski.

FOT. WIKIPEDIA, ARCH.

W 1934 roku ulicami Oksfordu przeszła procesja Bożego Ciała. Była to wyjątkowa procesja, bo pierwsza od XVI wieku. Baldachim nad Najświętszym Sakramentem trzymali czterej oksfordzcy profesorowie. Jeden pochodził z Hiszpanii, drugi – z Włoch, krajów katolickich. Pozostała dwójka składała się ze Szkota i Anglika. Anglikiem tym był J. R. R. Tolkien, wówczas nieznany jeszcze nikomu poza wąskim gronem badaczy literatury staroangielskiej.

Wyjście z mroku życia

Pisarska sława J. R. R. Tolkiena ciągle rośnie, a mimo upływu 50 lat od jego śmierci wciąż wydawane są kolejne książki, redagowane na podstawie jego rękopisów. W dzisiejszej epoce wszechobecnego relatywizmu jego dzieła zaczynają przypominać latarnię morską, wskazującą, gdzie szukać Prawdy, Dobra i Piękna. Jak pisał sam Tolkien, „Władca Pierścieni jest zasadniczo dziełem religijnym i katolickim; początkowo niezamierzenie, lecz w poprawkach świadomie. […] Element religijny został bowiem wchłonięty przez opowieść i symbolikę" (cytaty z „Listów" Tolkiena pochodzą z wydania z 2010 roku w tłumaczeniu Agnieszki Sylwanowicz).

Profesor Tolkien był katolikiem z wyboru – przeżywał swą wiarę świadomie i głęboko, żyjąc w kraju, w którym dominowali protestanci i niewierzący. Idąc w procesji obok Najświętszego Sakramentu, był bardzo szczęśliwy. O jego uczuciach żywionych do Boga, ukrytego w Hostii, świadczy list, który wysłał do swego syna Michaela w 1941 roku: „Z mroku mojego życia, tak bardzo zawiłego, stawiam przed Tobą jedną wielką rzecz, którą trzeba kochać na ziemi: Najświętszy Sakrament […]. Tam znajdziesz romantyzm, chwałę, honor, wierność, prawdziwą ścieżkę wszystkich swoich miłości na świecie i coś więcej: Śmierć, dzięki boskiemu paradoksowi tę, która kończy życie i żąda oddania wszystkiego, a jednak dzięki smakowi (lub przedsmakowi) której można utrzymać to, czego poszukujesz w ziemskich związkach (miłość, wierność, radość) lub nadać im ten charakter rzeczywistości, wiecznej trwałości, której każdy człowiek pragnie w głębi duszy". W innym liście, wysłanym do Michaela w 1965 roku, Tolkien napisał: „Od samego początku zakochałem się w Przenajświętszym Sakramencie".

Tolkien jednak nie zawsze był katolikiem. Podobnie jak wielu Anglików – wymieńmy tu choćby św. Jana Henryka Newmana, Gilberta Chestertona, ks. Roberta Bensona – dokonał konwersji. Konwersja jego była jednak o tyle inna, że miała miejsce, gdy był

eprasa.pl 7650a525a9

dzieckiem, choć z pewnością już całkiem świadomym swych wyborów. Liczył 11 lat, gdy w Boże Narodzenie 1903 roku klęcząc w Oratorium św. Filipa w Birmingham, wyrzekł się anglikanizmu i złożył katolickie wyznanie wiary. Następnie po raz pierwszy w życiu przystąpił do spowiedzi i przyjął Komunię Świętą, a potem bierzmowanie. „Wyszedłem z Egiptu i modlę się do Boga, by moje ziarno tam nie powróciło" – napisał o swej konwersji w 1963 roku.

Do jego wstąpienia do Kościoła doszło dzięki wierze jego matki, Mabel Tolkien, która przetarła mu szlak. Gdy wypowiadał Credo w Oratorium, ona była już katoliczką i zapewne klęczała obok, modląc się za syna.

Początek drogi

Mabel urodziła się w 1870 roku w rodzinie unitariańskiej. Jej rodzice, John i Emily Suffieldowie, odrzucali doktrynę o Trójcy Świętej, zatwierdzoną na Soborze w Nicei w początkach IV wieku i uznawaną do dziś przez zdecydowaną większość protestantów. Unitarianie wierzą, że jedynie Bóg Ojciec jest Bogiem, że Syn Boży został przez Niego stworzony i jako taki nie jest Mu równy, a Ducha Świętego na ogół uznają za bezosobową siłę lub energię Boga.

Mabel prawdopodobnie nie przyjęła chrztu w dzieciństwie, większość unitarian uważa bowiem, że chrzcić można jedynie dorosłych. Chrzest unitariański z powodu zupełnie innego pojmowania tego, kto kryje się pod imionami Ojca, Syna i Ducha Świętego, uznawany jest za nieważny zarówno przez katolików, jak i (przynajmniej w tamtych czasach) przez większość protestantów.

Wkrótce po osiemnastych urodzinach Mabel przyjęła oświadczyny Arthura Tolkiena, starszego o 13 lat mieszkańca Birmingham. John Suffield, ojciec Mabel, nie patrzył przychylnie na jej związek, przede wszystkim dlatego, że Arthur był synem przedsiębiorcy-bankruta. Aby zdobyć środki potrzebne na utrzymanie przyszłej rodziny, Arthur Tolkien postanowił pojechać do Wolnego Państwa Orania w Południowej Afryce i zatrudnić się w tamtejszym banku. Decyzja okazała się trafna – nowa praca przynosiła znaczne dochody.

Mabel otrzymała zgodę od ojca na ślub dopiero po 21. urodzinach. Wkrótce potem popłynęła statkiem do Afryki i 16 kwietnia 1891 roku w katedrze w Kapsztadzie wyszła za Arthura. Następnie – po miesiącu miodowym nad morzem – pojechała pociągiem do domu Arthura w Bloemfontein, stolicy Oranii, oddalonej od Kapsztadu o 1200 kilometrów.

Konwersja na anglikanizm

Ponad miesiąc po ślubie, 24 maja 1891 roku, w anglikańskiej katedrze w Bloemfontein – jak ustalił Ryszard Derdziński, badacz historii rodu Tolkienów – Mabel porzuciła unitarianizm i przyjęła chrzest anglikański. Wpływ na jej konwersję miał bez wątpienia Arthur, gorliwy anglikanin, związany – jak się wydaje – z High Church.

High Church (Kościół Wysoki) stanowił obok Low Church (Kościoła Niskiego) jeden z dwóch mocno odmiennych nurtów, z których składał się XIX-wieczny Kościół anglikański. Oba proponowały różne odpowiedzi na pytania o stosunek do Tradycji, katolicyzmu i protestantyzmu. Low Church był ewidentnie protestancki, podczas gdy High Church odcinał się od Lutra oraz protestantyzmu i próbował nawiązywać do tradycji pierwotnego Kościoła. Głosił, że pierwotny Kościół, zwany Kościołem Ojców, ma swoją kontynuację w trzech odłamach, istniejących obecnie: anglikańskim, rzymskim oraz prawosławnym. Każdy z nich jest częścią Kościoła powszechnego, jednakże najbardziej wiernym Tradycji Ojców miałby być Kościół anglikański. Rzymscy katolicy odeszli od Tradycji w wielu miejscach, m.in. ustanawiając papiestwo, wprowadzając heretyckie pojmowanie Najświętszego Sakramentu oraz kultu Matki Bożej. High Church krytycznie odnosił się także do protestantyzmu, widząc jego zerwanie z Kościołem pierwotnym, przejawiające się na przykład w odrzuceniu większość elementów liturgii.

Niezależnie od związków z konserwatywnym anglikanizmem, Arthur pochodził z rodziny, którą ścisłe więzy łączyły z masonerią. Według ustaleń Ryszarda Derdzińskiego do lóż wolnomularskich należeli przy-

Szczęście nawrócenia ogarniało Mabel, gdy dotarła do ziemskiego celu swej wędrówki – Kościoła katolickiego. Musiała uświadamiać sobie wielką łaskę, jaką było odnalezienie jej przez Boga w krainie sekt, masonerii i ciemności doktryny.

eprasa.pl 7c50a525a9

rodni brat, dwaj stryjowie, a być może także ojciec Arthura. Masoneria z pewnością głęboko infiltrowała anglikanizm oraz rożne wyznania protestanckie.

Katastrofa

W Afryce rodzina Tolkienów szybko się powiększała. W styczniu 1892 roku, dziewięć miesięcy po ślubie, urodził się John Ronald Reuel, przyszły autor „Władcy Pierścieni", a w lutym 1894 roku jego młodszy brat – Hilary. (Hilary Tolkien nie zrobił kariery uniwersyteckiej – został rolnikiem; obaj bracia utrzymywali do końca życia serdeczne stosunki). Obu braci ochrzczono w lokalnym kościele anglikańskim.

Mabel znosiła afrykański klimat stosunkowo źle. W kwietniu 1895 roku udała się wraz z dziećmi w podróż statkiem do Anglii, aby pierwszy raz od kilku lat odwiedzić rodzinę. Arthur planował dołączyć do nich, gdy tylko pozwolą mu na to obowiązki w pracy. W listopadzie jednak zachorował. Choć w styczniu wydawało się, że dochodzi do zdrowia, Mabel postanowiła wrócić do Afryki, aby być razem z nim. Nie zdążyła. 15 lutego 1896 roku jej mąż zmarł. John Ronald miał wówczas cztery lata.

Wyjście z Egiptu

Mabel nie pozostała sama. Wciąż żyli jej rodzice i teściowie. Obie rodziny mieszkały przy tej samej ulicy w Birmingham. Dzięki skromnemu majątkowi, który pozostawił mąż, a także pomocy finansowej rodziny, latem 1896 roku udało jej się wynająć skromny domek na przedmieściach Birmingham. Tam przez kilka lat chłopcy wychowywali się w sielankowych warunkach (obok płynął strumień). Matka uczyła ich gry na instrumentach oraz podstaw francuskiego i niemieckiego. Jak wspominał profesor Tolkien, „była utalentowaną damą wielkiej urody i dowcipu".

Jej konwersja z unitarianizmu na anglikanizm była szczerą odpowiedzią na potrzebę Prawdy. Po śmierci męża nie powróciła do unitarianizmu. Co niedzielę chodziła z chłopcami do kościoła, wybierając świątynie High Church, gdzie sprawowano liturgię na wysokim poziomie i wyznawano bardzo ortodoksyjną doktrynę. Rok później Mabel po raz pierwszy poszła nie do kościoła anglikańskiego, lecz katolickiego i wysłuchała mszy po łacinie. Odtąd w niedzielę udawała się tam coraz częściej. Razem z nią do Kościoła zbliżała się jej siostra May, żona gorliwego anglikanina i matka dwóch córek.

Niewiele wiemy o tym, jak przebiegało nawrócenie na katolicyzm. Trwało cztery lata i zakończyło się decyzją o konwersji. Na krótko przed tym skokiem na głęboką wodę, Mabel wysłała list do May. Pisała w nim: „Drogie moje Kochanie! Spróbowałam odmówić moje modlitwy i dotarło do mnie z całkowitą pewnością, że muszę poddać się temu, co może przyjść i czuję pewność, że mamy rację, robiąc to... Och, Kotku, moje serce jest jak wielka kapusta – Twoje też? Ale mój umysł jest czysty jak kryształ i szczęśliwy, bo odczuwa pewność" (tłum. opublikowane na blogu „Tolknięty" R. Derdzińskiego).

Szczęście nawrócenia, przypominające radość narzeczonych, ogarniało Mabel, gdy dotarła do ziemskiego celu swej wędrówki – Kościoła katolickiego. Musiała uświadamiać sobie wielką łaskę, jaką było odnalezienie jej przez Boga w krainie sekt, masonerii i ciemności doktryny (o tym, jak wielkie były ciemności, spowijające dusze angielskich protestantów, można przeczytać w „Apologia pro vita sua" św. J. H. Newmana). Dostrzegała z pewnością, że została potraktowana przez Boga w sposób uprzywilejowany. W Normandii żyła wówczas pewna karmelitanka, trzy lata młodsza od Mabel. W swej autobiografii, „Dziejach duszy", zastanawiała się, co sprawia, że niektórzy ludzie są wybrani. „»Jezus wszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego« (Mk 3, 13). [...] On nie wzywa tych, którzy są tego godni, ale tych, których sam chce, albo jak mówi św. Paweł: – »Bóg lituje się nad tym, nad kim zechce, i miłosierdzie okazuje temu, nad kim chce się zmiłować. Nie zależy to więc od trudu tego, kto chce ani kto się ubiega, ale od litującego się Boga« (Rz 9, 15-16)."

Dzieło kardynała Newmana

Kościół katolicki w Anglii przeżywał wówczas odrodzenie po długim okresie prześladowań, trwających od schizmy Henryka VIII. Jednym z inicjatorów tego renesansu był św. Jan Henryk Newman (1801–1890), początkowo anglikański duchowny i intelektualista, wykładający na Oksfordzie. Jego droga od protestantyzmu przez anglikański High Church ostatecznie zakończyła się konwersją na katolicyzm w 1845 roku. Wywołało to szok. Newman musiał opuścić Oksford, którego katedry zamknięte były wtedy dla „papistów". Wyświęcony niebawem na księdza katolickiego, pod koniec życia otrzymał od papieża Leona XIII kapelusz kardynalski. Przez anglikanów uważany za zdrajcę, przez katolików traktowany z nieufnością, napisał dzieło o tytule „Apologia pro vita sua" (pol. „Obrona swojego życia"), w którym wyłożył argumenty skłaniające go do katolicyzmu i tym samym zdobył zaufanie katolików, ale też pociągnął za sobą rzesze anglikanów. Tych ostatnich przekonywały argumenty

eprasa.pl 7c50a525a9

zawarte również w innej jego książce, „O rozwoju doktryny chrześcijańskiej", świadczące o tym, że jedyną wierną kontynuacją Kościoła Ojców jest Kościół katolicki ze stolicą w Rzymie. (Książka ta jest do dziś niezwykle cenną lekturą. Pozwala ugruntować wiarę na fundamencie historycznym, dostarczając argumentów przeciwko atakom na dogmaty Kościoła, wyprowadzanym przez odstępców od ortodoksji katolickiej).

Święty J. H. Newman jako katolicki duchowny, a potem kardynał, działał w Birmingham. Został oratorianinem – członkiem zgromadzenia ufundowanego przez św. Filipa Neriego – i kontynuował dzieło św. Filipa w Anglii, tworząc kolejne oratoria w oparciu o lokalnych duchownych, którzy na ogół są również konwertytami. Angielscy oratorianie stawiali nacisk na rozwój intelektualny oraz na indywidualne rozmowy z wiernymi w miejsce masowego nawracania.

Wkrótce po nawróceniu Mabel odkryła Oratorium w Birmingham. Znalazła tam wysoki poziom nauczania i liturgię celebrowaną z ogromną dbałością, a przede wszystkim przyjaciół w osobach oratorian. Tam właśnie jej starszy syn w 1903 roku przystąpił do Kościoła. Na bierzmowaniu wybrał imię Filip na cześć św. Filipa Neriego.

Cena nawrócenia

Wkrótce potem na Mabel spadł prawdziwy cios ze strony jej rodziny. Zarówno rodzice, jak i teściowa (teść już nie żył), nie zaakceptowali jej konwersji. Co więcej – odcięli wsparcie finansowe, przez co stanęła ona przed widmem całkowitej ruiny. Ratunek przynieśli oratorianie, szczególnie o. Francis Morgan, zaprzyjaźniony z Mabel. Bez jego pomocy byłaby to doprawdy katastrofa.

W jeszcze gorszej sytuacji znalazła się May, której mąż zagroził rozwodem. W takich okolicznościach angielskie sądy przekazywały pełnię praw do opieki nad dziećmi temu małżonkowi, który pozostał przy anglikanizmie. May uległa szantażowi i przestała praktykować katolicyzm. Prawdopodobnie odeszła od niego również w swoim sercu, w późniejszym czasie zainteresowała się bowiem spirytyzmem. Wywoływanie duchów było popularną rozrywką w Anglii przełomu XIX i XX wieku. W seansach takich uczestniczył – nim został katolikiem – Gilbert Chesterton. Jak sam później napisał, „kto nie wierzy w Boga, uwierzy we wszystko".

Wrogość do konwertytów na katolicyzm była w Anglii w tamtym okresie częstym zjawiskiem. Jej ofiarą padł sam św. J. H. Newman. Po jego nawróceniu jego siostra zerwała z nim kontakty i nie odezwała się doń aż do śmierci. Profesor Tolkien tak podsumował tę postawę: „W sumie jednak jedynym ostatecznym fundamentem Kościoła anglikańskiego jest nienawiść do naszego Kościoła – zakorzeniona tak głęboko, że pozostaje nawet wtedy, gdy usunie się całą nadbudowę".

Mabel próbowała mimo wszystko utrzymać resztki kontaktów z rodziną. Chciała, by jej synowie znali swoich dziadków. W jednym z listów pisała do teściowej: „Ronald przyjął Pierwszą Komunię w to Boże Narodzenie – to dla nas w tym roku naprawdę wielkie święto. Nie piszę tego, by Cię zdenerwować, lecz tylko dlatego, że jak powiedziałaś, lubisz wiedzieć o nich [wnukach – przyp. T. G.] wszystko".

Kres wędrówki

W kwietniu 1904 roku na rodzinę Tolkienów spadła katastrofa. Mabel trafiła do szpitala, gdzie zdiagnozowano jej cukrzycę typu 1. W owym czasie nie istniało lekarstwo i śmierć była nieuchronna. Przyczyny choroby są nieznane, ale jej pojawieniu się sprzyjały zanieczyszczone powietrze, a przede wszystkim uboga dieta i ciągły stres – czynniki, których Mabel doświadczała po konwersji. Jej rodzina odmówiła pomocy. Profesor Tolkien przez całe życie sądził, że z tego powodu jego matka poniosła męczeństwo. W jednym z listów nazwał wręcz postępowanie jej najbliższych „białym morderstwem". Gdyby Mabel nie wstąpiła do Kościoła lub opuściła go, jak jej siostra, mogłaby oszczędzić sobie cierpień, ona jednak postanowiła oddać wszystko w zamian za to, co jako jedyne ma znaczenie. Złożona chorobą rozumiała, że jest blisko kresu swej wędrówki i niedługo osiągnie upragniony cel – zbawienie. Powierzyła swe dzieci Opatrzności oraz o. Francisowi, ustanawiając go ich prawnym opiekunem.

Aby wzmocnić chorą, duchowny zapewnił jej mieszkanie na wsi – w domu listonosza w pobliskim Rednal, w miejscowości, gdzie spoczywał kard. Newman. Tam Mabel i jej synowie mogli cieszyć się ostatnimi chwilami bycia razem. Na początku listopada 1904 roku chora zapadła w śpiączkę cukrzycową. Ojciec Francis przybył, aby udzielić jej ostatniego namaszczenia. John Ronald prawdopodobnie służył mu wówczas jako ministrant. Rodzice Mabel nie chcieli natomiast przyjechać.

Mabel zmarła 14 listopada. Pochowano ją na niewielkim cmentarzyku przy najbliższym kościele katolickim. Ojciec Francis ufundował pomnik, identyczny jak te, które wznosi się na grobach ojców oratorian.

eprasa.pl 7c50a525a9

Lux in tenebris lucet

John Ronald i Hilary pozostali sami na świecie. Pierwszy z nich tak pisał o tamtych dniach prawie 70 lat później: „Nagle czuję się jak rozbitek z wielkiego statku pod obojętnym niebem. Pamiętam, jak mając niespełna trzynaście lat, chciałem po śmierci mojej matki opowiedzieć o tym uczuciu Marjorie Incledon [kuzynce – przyp. T. G.], na próżno wymachując ku niebu ręką ze słowami »jest takie puste i zimne«".

Opatrzność, która nie zgasi tlącego się knota, zesłała jednak dwoje ludzi, którzy obdarzyli go miłością. Jak wspomina profesor, „w 1904 r. zaznaliśmy (Hilary i ja) nagłej, cudownej miłości, troski i poczucia humoru o. Francisa – i zaledwie w 5 lat później (okres odpowiadający 20-letniemu doświadczeniu w późniejszym życiu) poznałem Lúthien Tinúviel mojego osobistego romansu – jej długie ciemne włosy, jasną twarz, promienne oczy i piękny głos". Mowa tu o przyszłej żonie, Edith Bratt.

Ojciec Francis roztoczył opiekę nad dorastającymi braćmi, zastępując im do pewnego stopnia zmarłego ojca. Ten kapłan w średnim wieku był jednym z pierwszych angielskich oratorian. Przez lata pełnił funkcję osobistego sekretarza św. J. H. Newmana. Dzięki niemu chłopcy zaangażowali się w skauting. Popołudnia spędzali najczęściej wśród księży w Oratorium. Tolkien nazwał je „dobrym, katolickim domem".

Pod opieką o. Francisa wiara Tolkiena mogła przetrwać i dojrzeć, ale nie oznacza to, że oratorianin wpoił chłopcu (i jego bratu) swoje poglądy siłą. Młody chłopak nie został pozbawiony wolności – choć duchowny dbał o rozwój jego religijności, jednocześnie zależało mu na tym, aby utrzymał on relacje ze swoimi krewnymi, również tymi, którzy znienawidzili jego matkę z powodu jej konwersji. Jak Tolkien pisał wiele lat później, od o. Francisa „nauczył się miłosierdzia i przebaczenia, których blask przebił nawet »liberalną« ciemność, z jakiej wyszedłem, wiedząc więcej o »Krwawej Mary« niż o Matce Jezusa – wspominało się o Niej tylko jako o obiekcie niestosownej czci rzymskich katolików".

Może właśnie przeżycia tamtych lat znalazły odbicie w wątku przebaczenia, przewijającym się wielokrotnie na kartach „Władcy Pierścieni". To przebaczenie i litość okazywane wielokrotnie Gollumowi przez Froda były czynnikami, które odegrały kluczową rolę w powodzeniu misji hobbita. Frodo przekonał się o tym na samym końcu swej wędrówki, gdy Pierścień został zniszczony nie dzięki niemu, ale dzięki interwencji Opatrzności, co nie byłoby możliwe, gdyby Gollum został wcześniej zabity. Już jednak w drugim rozdziale powieści podkreśla się rolę przebaczenia i miłosierdzia. Frodo rozmawiając z Gandalfem o Gollumie, wyraża żal, że ten upadły stwór, sprawca tak wielkiego zła, wciąż żyje. Wówczas słyszy z ust czarodzieja, że „wielu spośród żyjących zasługuje na śmierć. A niejeden z tych, którzy umierają, zasługuje na życie. Czy możesz ich nim obdarzyć? Nie bądź więc tak pochopny w ferowaniu wyroków śmierci. Nawet bowiem najmądrzejszy z Mędrców nie wszystko wie".

Zarówno życie Mabel, jak i jej syna przepełnione było nadzieją, jaśniejącą wśród ciemności cierpień. Znak podobnej nadziei odnalazł Samwise Gamgee, bohater „Władcy Pierścieni", w samym środku królestwa Saurona – prawdziwego piekła, spustoszonego przez złego ducha, spowitego ciężkimi oparami, przez które nie mogły przebić się promienie słońca: „W tej stronie, wysoko nad sterczącym szczytem górskim biała gwiazda wyjrzała właśnie spośród rozdartych chmur. Gdy ją tak ujrzał zagubiony w przeklętym wrogim kraju, wzruszyło go jej piękno, a nadzieja wstąpiła znów w jego serce. Jak chłodny, jasny promień olśniła go bowiem nagle myśl, że bądź co bądź Cień jest czymś małym i przemijającym; istnieje światło i piękno, którego nigdy nie dosięgnie". Mabel Tolkien w heroiczny sposób podążała za światłem Bożej łaski i prawdopodobnie cieszy się teraz jej stałą obecnością. ■

W kwietniu 1904 roku na rodzinę Tolkienów spadła katastrofa. Mabel trafiła do szpitala, gdzie zdiagnozowano jej cukrzycę typu 1. W owym czasie nie istniało lekarstwo i śmierć była nieuchronna.

Artykuł powstał w oparciu o zasadnicze w tym temacie dzieło – H. Ordway, „Tolkien's Faith", Elk Grove Village 2023. Nie można natomiast polecić najpopularniejszej biografii Tolkiena autorstwa H. Carpentera, który nie tylko nie rozumie wiary Tolkiena, lecz także deprecjonuje motywy konwersji.

eprasa.pl 7c50a525a9

Piotr Lisiewicz

Książka Józefa Mackiewicza „Katyń – zbrodnia bez sądu i kary", w której zostały zebrane teksty wielkiego pisarza na temat Katynia, ukazała się w 1997 roku, a więc 12 lat po jego śmierci. W międzyczasie, przed czym ostrzegał Mackiewicz, doszło do ewolucyjnego przekształcenia komunizmu w postkomunistyczną III RP. Książkę wydaną przez wydawnictwo „Antyk" opracował prof. Jacek Trznadel, wcześniej autor świetnego zbioru szkiców „Powrót rozstrzelanej armii", które w latach 90. przeczytałem kilka razy. Minie kolejne 13 lat, gdy w 2010 roku to prof. Jacek Trznadel w liście otwartym do premiera Donalda Tuska zwróci się o powołanie międzynarodowej komisji dla zbadania przyczyn katastrofy polskiego Tu-154 w Smoleńsku. W 2011 roku opublikował książkę „Wokół zamachu smoleńskiego". Profesor Jacek Trznadel, założyciel Polskiej Fundacji Katyńskiej, badacz Zbrodni Katyńskiej, świetnie znał mechanizmy, których użyto do jej tuszowania i zapewnienia bezkarności jej sprawcom. Zapewne dlatego od początku rozumiał, jak przebiegało tuszowanie Zbrodni Smoleńskiej. Poniżej przedrukowujemy fragmenty wspomnianej książki.

Józef Mackiewicz

Katyń – zbrodnia bez sądu i kary

Wobec tej strasznej zbrodni niepodobieństwem jest przejść do porządku i żaden rząd na świecie, który by się nie chciał okryć hańbą wobec własnego narodu, na takie postawienie sprawy by nie przystał.

Dnia 30 października 1940 r. Beria i Mierkułow zjawiają się osobiście w więzieniu na Łubiance w Moskwie i zapraszają na rozmowę trzech oficerów polskich: pułkowników Berlinga, Bukojemskiego i Gorczyńskiego. Komisarze sowieccy [...] poruszają sprawę ewentualnej organizacji polskich oddziałów zbrojnych, podległych dyrektywom sowieckim [...] Berling, który oczywiście nie wiedział, podobnie jak inni, o zaginięciu jeńców z trzech poprzednich obozów, wypalił, że gotów jest przygotować spisy z pamięci tych oficerów, o których wie, że zostali uwięzieni na terytorium sowieckim.

Mierkułow zmilczał. Beria zaś, po kłopotliwym odkrząknięciu, wypowiedział głosem miarowym następujące ważkie słowa: – Nie, oni nie wchodzą w rachubę... Myśmy zrobili błąd. Błąd zrobili z nimi... (Dosłownie: „My sdiełali oszybku, oszybku sdiełali".) [...]

Berling zapada w nicość

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i podpisania układu pomiędzy rządem sowieckim i polskim w Londynie zdawało się, że Sowiety zaniechają koncepcji Polski Czerwonej. Berling i towarzysze zostają w nowo utworzonej w Rosji prawdziwej armii polskiej. Ale on sam dezerteruje wkrótce ze stanowiska służbowego w Krasnowodzku i powraca na usługi sowieckie [...] Staje wówczas na czele oddziałów polskich, formowanych nie przez władze polskie, ale sowieckie. Jest powolnym narzędziem tych władz. Robi karierę [...] Rok 1944 to szczytowy okres kariery

eprasa.pl 7c50a525a9

Berlinga. Potem słuch o nim zanika stopniowo, aż zapada w nicość.

Co się stało z Berlingiem? Sądzić wypada, iż gdyby był wówczas nie powtarzał i nie rozgłaszał słów komisarza Berii, może by w dalszym ciągu robił karierę. Ale rzecz stała się głośna. Przedostała do prasy i publikacji polskich na emigracji [...]

Ambasador Kot udaje się tedy dnia 22 października, bezpośrednio do Mołotowa. Powołując się na swe poprzednie rozmowy z Wyszyńskim, mówi: – Dałem szereg przykładów p. Wyszyńskiemu, do jakich ośrodków nie dotarło zarządzenie amnestii i jakie kategorie naszych obywateli, jak na przykład oficerowie, sędziowie, prokuratorzy, policjanci nie zostali zwolnieni. Mołotow w odpowiedzi więcej odkrząkiwał, niż mówił. Nic dziwnego: jesień późna, zimno, głęboka Rosja. Ludzie chodzą przeziębieni. Opału brak. Wojna. Jednak z tego, co wykrząkał, wyrozumieć można było słowa: – W związku z wielkimi trudnościami transportowymi i administracyjnymi... w szeregu okręgów pozostali niewątpliwie w dotychczasowych miejscach zamieszkania...

Dopiero dnia 13 kwietnia 1943 roku, o godzinie 9 minut 15, czasu nowojorskiego, radio Berlin nadaje komunikat następującej treści: Ze Smoleńska donoszą, że miejscowa ludność wskazała władzom niemieckim miejsce tajnych egzekucji masowych, dokonywanych przez bolszewików [...]

Rząd polski musi domagać się prawdy

Pierwszym odruchem opinii świata demokratycznego było: nie dać jej wiary. Nie dać wiary przede wszystkim dlatego, że rozgłaszali ją Niemcy, na których sumieniu leżało już tyle popełnionych przez nich samych zbrodni! (...)

Wszystkim na świecie, którzy walczą z Hitlerem, w tej liczbie, a może przede wszystkim, Polsce, zależy na tym, aby rewelacje niemieckie okazały się nieprawdziwe. Ale rząd polski, jedyny spośród innych rządów zainteresowanych w tej sprawie, dźwiga na swych barkach odpowiedzialność za życie i śmierć swych obywateli, swych żołnierzy, i nie może rzucać ich losem jak kartą w grze politycznej, wbrew oczywistym zasadom sprawiedliwości i moralności ludzkiej. Tam, w kraju, dziesiątki tysięcy rodzin, matek, dzieci, ojców, opłakuje zaginionych jeńców, o których wiadomo teraz, że w niesłychanym pogwałceniu prawa i zwyczajów, obowiązujących cały świat cywilizowany, zabici zostali skrytobójczo, wrzuceni do dołów, zasypani ziemią, przez nieznanego, a tylko domniemanego sprawcę. Generałowie, pułkownicy, oficerowie, na których piersiach pozostały jeszcze ordery, krzyże, którymi ich ojczyzna obdarzyła i odznaczyła. Wobec tej strasznej zbrodni niepodobieństwem jest przejść do porządku i żaden rząd na świecie, który by się nie chciał okryć hańbą wobec własnego narodu, na takie postawienie sprawy by nie przystał. Rząd polski musi domagać się wyjaśnienia tej zbrodni [...]

Nacisk rządu sowieckiego

W roku 1864 powstała, na mocy konwencji genewskiej, Międzynarodowa Organizacja Czerwonego Krzyża, która od 79 lat oddała niezliczone usługi ludzkości, wciąż na nowo uwikłanej w krwawe między sobą rozprawy. Bezstronność, powaga i autorytet Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, nigdy nie były kwestionowane przez żaden naród na świecie. To też w cztery dni od ogłoszenia rewelacji katyńskich, dnia 17 kwietnia 1943 roku, ukazuje się następujący komunikat polskiej Rady Ministrów w Londynie:

„Rząd polski polecił posłowi polskiemu w Szwajcarii, aby zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, z prośbą o wysłanie delegacji, która by ustalić mogła na miejscu prawdziwy stan rzeczy [...]".

Tymczasem decyzja rządu polskiego, zwrócenia się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dosięga zastępcę delegata Polskiego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii, ks. Radziwiłła, dnia 17 kwietnia o godzinie 16-tej. Już o godzinie 16 minut 30 wręcza on notę polską przedstawicielowi MCK, panu Ruegerowi. Dowiaduje się przy tym, że już dnia poprzedniego, 16 kwietnia, nadeszła analogiczna prośba o podjęcie zbadania sprawy katyńskiej ze strony Niemieckiego Czerwonego Krzyża (patrz: Załącznik Nr 10) [...]

Dalszy przebieg wypadków był następujący. Wobec złożenia przez obydwie strony wojujące, tzn. Polskę i Niemcy, odpowiednich wniosków [...] przedstawiciel MCK oświadczył delegatowi polskiemu, że wnioski te zostaną najprawdopodobniej przez zarząd MCK uwzględnione i zapowiedział zebranie odpowiedniej komisji dla wyznaczenia neutralnej delegacji już na dzień 20 kwietnia 1943 r.

Ale zebranie to nie miało się nigdy odbyć! Gdyż nagle następuje zasadniczy zwrot w stanowisku Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wskutek nacisku... rządu sowieckiego. Zamiast oczekiwanego zebrania, zarząd MCK wystosowuje memorandum. Punkt trzeci tego memorandum brzmi, jak następuje:

3) stosownie do ducha memorandum z dnia 12. IX.1939 r., w zasadzie (MCK) nie mógłby wziąć pod uwagę udziału w technicznej procedurze identyfikowania zwłok przez wysłanie ekspertów, jak tylko za zgodą wszystkich stron zainteresowanych.

Delegat polski interweniuje. Otrzymuje w formie prywatnych informacji wiadomość, że Czerwony Krzyż gotów był już do wysłania do Katynia komisji śledczej, która miała się składać z rzeczoznawców szwedzkich, portugal-

eprasa.pl 7c50a525a9

skich i szwajcarskich, pod przewodnictwem Szwajcara. Ale ze strony państw trzecich nadeszła sugestia, iż akt podobny będzie bardzo źle widziany przez Sowiety... Sowiety są zaś też „stroną zainteresowaną" [...]

Zbrodni dopuścili się bolszewicy

Oczywiście że w danym wypadku pod słowem „wszystkie" strony, rozumiana była strona sowiecka. Tymczasem rząd sowiecki nie tylko, że nie zgadzał się na podjęcie badań w Katyniu przez MCK, ale na dwa dni przed ogłoszeniem tego komunikatu, w dniu 21 kwietnia, radio moskiewskie rozgłosiło artykuł, jaki się ukazał w „Prawdzie", pod tytułem: Polscy współpracownicy Hitlera. W artykule tym urzędowy organ partii komunistycznej zarzuca rządowi polskiemu ni mniej ni więcej jak... współpracę z Hitlerem! Równocześnie rządowa agencja „Tass" zaatakowała rząd generała Sikorskiego, twierdząc że jego apel do MCK świadczy, jak wielki wpływ w kołach rządowych polskich posiadają prohitlerowskie elementy.

To, w potocznej mowie, niesłychane, a w gruncie rzeczy tylko niespodziewane stanowisko rządu sowieckiego, wprawiło opinię publiczną zachodnią zrazu w osłupienie. Jasnym było, że podobne posunięcie nie tylko kompromitowało rząd sowiecki w oczach świata, ze względu na obawę, wykazaną przed bezstronnym śledztwem, ale potrącało o groteskę: Sowiety, które współpracowały z Hitlerem od roku 1939 do 1941, zarzucały rządowi polskiemu, który pierwszy na świecie oparł się agresji, że on właśnie jest zwolennikiem Hitlera.

Pozornie, oświadczenie „Tassa" istotnie wyglądało na jakieś nieporozumienie lub żart, ale rząd sowiecki dobrze wiedział, co czyni. Dobrze wiedział, że w tym okresie wojny nikt nie będzie miał zamiaru traktowania Związku Sowieckiego jako groteski... Rok 1942 i 1943 był okresem największych zabiegów Anglii i Ameryki o przyjazne stosunki z Sowietami [...]

Na tym tle problem skrytobójczego wymordowania 10 tysięcy oficerów polskich nabierał szczególnie nieprzyjemnego smaku, zarówno dla Londynu jak i Waszyngtonu [...] Churchill pokładał duże nadzieje w generale Sikorskim, którego cenił jako twardego polityka, ale zarazem jako zdecydowanego zwolennika zbliżenia z Rosją [...] Sikorski istotnie był zwolennikiem zbliżenia z Rosją. Zawarł on z Sowietami pakt 30 lipca 1941 roku, w którym poszedł na najdalej idące kompromisy, puszczając w niepamięć złamanie traktatów, zdradziecki napad itd. Martyrologię setek tysięcy Polaków! Ale tym razem generał Sikorski powiedział:

Nie!

Stanowisko to nie powinno było nikogo właściwie dziwić. Generał Sikorski był złym czy dobrym politykiem, ale był nade wszystko żołnierzem prawym i dobrym Polakiem. Nie mógł tedy nie odpowiedzieć: „Nie!", w obliczu nie tylko poszlak, ale pośrednich dowodów i wreszcie swego głębokiego przekonania, że jednak zbrodni dopuścili się bolszewicy [...]

Polska w tym czasie nie przedstawiała żadnej efektywnej siły materialnej. Kraj był okupowany przez wroga. Na zewnątrz rozporządzała zaledwie garstką wojska. Sowiety reprezentowały natomiast potęgę. Mocarstwa zachodnie widziały swój absolutny interes, gdyby miały dokonać wyboru pomiędzy Polską i Sowietami, raczej w sojuszu ze Związkiem Sowieckim niźli z Polską [...]

Stanowisko nieugięte

Dnia 4 maja 1943 roku minister Eden w mowie wygłoszonej na temat wytworzonej sytuacji, oświadczył między innymi:

„...Rząd Jego Królewskiej Mości poczynił wszelkie wysiłki w kierunku przekonania zarówno Polaków jak Rosjan o konieczności nie dopuszczenia do tego, iżby manewry niemieckie posiadły choć pozór powodzenia. Z największym żalem dowiedział się przeto, iż rząd sowiecki, w odpowiedzi na apel rządu polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, poczuł się zmuszony do zerwania stosunków z rządem polskim..."

Ale były to już tylko słowa i słowa... Uczyniono jeszcze raz nacisk na generała Sikorskiego, aby przynajmniej wycofał swe żądanie skierowane do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża [...]

Tymczasem stanowisko generała Sikorskiego jest w dalszym ciągu nieugięte. W początku lata udaje się on na Bliski Wschód, celem dokonania inspekcji stacjonujących tam wojsk polskich. Dnia 2 lipca, w siedzibie poselstwa polskiego w Kairze, zwołuje konferencję prasową, na którą przybywa znaczna ilość dziennikarzy egipskich, angielskich, amerykańskich, francuskich i polskich. Wieczorem tego dnia, wychodząc na balkon, aby odetchnąć świeżym powietrzem, po całodziennym upale, przeciąga się i wyznaje w otoczeniu najbliższych mu osób, że czuje się zmęczony, zawiedziony...

– Nazajutrz muszę wracać do Londynu, a jakoś dziwnie mi się nie chce...

– Niech pan zostanie, generale, odpocznie jeszcze kilka dni.

– O nie! – podrywa się Sikorski. – W Londynie czekają na mnie bardzo pilne sprawy i rozmowy. Zresztą – uśmiecha się – tu, u was w Egipcie jest strasznie gorąco. Nazajutrz wylatuje samolotem z Kairu na zachód. Dnia 4 lipca 1943 roku ginie w katastrofie samolotowej w Gibraltarze, nigdy dotychczas dostatecznie nie wyjaśnionej, z której ratuje się z życiem jeden tylko pilot. ■

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 7c50a525a9

Marcin Wolski

Zbrodnia bez kary

W historii mnóstwo jest podań, przekazów i legend na temat zbrodni nieukaranych. Czasem powracają one w postaci opowieści o miejscach przeklętych, o duchach i upiorach, niekiedy zdarza się, że historia sama mocno poniewczasie wymierza sprawiedliwość. Na ile wielka rosyjska smuta z początków XVII wieku była pokutą za zbrodnie szalonego Iwana Groźnego czy rozsypka Imperium Zła nie była choć częściową odpłatą za ogrom nieszczęść wyrządzonych własnemu krajowi i reszcie świata przez Lenina i Stalina? Jakim cieniem na jednym z trzech czołowych targowiczan – Szczęsnym Potockim – położyła się śmierć jego młodej żony Gertrudy Komorowskiej, zamordowanej przez pachołków jego ojca? Zbrodnia, której nie ośmielił się rozliczyć ani pomścić.

W świadomości Polaków zbrodnia smoleńska pozostaje cierniem zatruwającym sumienie narodu, zbrodnia nierozliczona ani nawet oficjalnie nieuznana za zbrodnię. I nie chodzi tu nawet o ukaranie rzeczywistego zbrodniarza (na to cała wspólnota międzynarodowa ma za krótkie ręce i za mało siły woli). Czy mam wątpliwości, kto nim jest? Zdecydowanie mniejsze niż co do szybkiej wizyty Obcych.

Po pierwsze, Władimir Władimirowicz mógł to zrobić (katastrofy samolotowe, które idą na cudze konto, to specjalność GRU); po drugie, chciał to zrobić – przynajmniej od pamiętnego wiecu w Tbilisi w 2008 roku; po trzecie, musiał to zrobić jako imperator, marzący o wskrzeszeniu imperium, w czym nie mogło mu przeszkodzić jakieś Międzymorze czy Polska naprawdę suwerenna, niezależna, silna… Jednak mówiąc o winnych musimy pamiętać nie tylko o rozkazodawcy czy o kontrolerach lotu, technikach w zakładzie w Samarze… W domyśle pozostaje cały zastęp wspólników zbrodni – tych od rozdzielenia lotów premiera i prezydenta, od kontroli lotnisk, zbadania maszyny przed wylotem i zabezpieczenia miejsca przylotu. Odpowiedzialni żyją wśród nas. I mają się dobrze. A niektórzy jak Lasek kwitną!

W następnej kolejności myślę o tych, którzy zrobili wiele, aby oddać śledztwo w ręce najbardziej prawdopodobnych sprawców, i to bez jakiejkolwiek kontroli, i tych, którzy uruchomili machinę kłamliwej propagandy. Adamie Michniku, twoje „Spasiba" na okładce „Gazety Wyborczej" przekreśla całą twoją działalność opozycyjną przynajmniej dla mnie. Nie umniejsza to również ogromu win podoficerów i szeregowców przemysłu pogardy i bezkarnych animatorów kampanii nienawiści. To wy jesteście winni wojnie polsko-polskiej, która – jak z tego rodzaju konfliktami bywa – i po stu latach się nie zabliźni, nawet jeśli wszyscy zapomną, od czego się zaczęło.

Im więcej czasu upływa, tym bardziej zastanawia mnie irracjonalność takiego postępowania grupy trzymającej (z ośmioletnią przerwą) władzę. Przecież wy-

> W świadomości Polaków zbrodnia smoleńska pozostaje cierniem zatruwającym sumienie narodu.

znawcy „pancernej brzozy" mimowolnie dokonali zjednoczenia opozycji, pozwolili skupić się Polakom wokół Jarosława Kaczyńskiego i w efekcie wypracowali dla nas osiem lat wolności (a to dużo w naszej szerokości geograficznej).

A jeśli nie kierowała nimi irracjonalność, lecz konieczność? Paniczny lęk wspólników i współsprawców „zbrodni tysiąclecia" przerażonych, że kiedyś to się wszystko wyda? Wasze szczęście – młyny historii mielą długo, archiwa Łubianki nieprędko się znów otworzą.

Pozostaje jeszcze grzech zaniechania, obciążający nas wszystkich. Nie byliśmy dość twardzi i wytrwali.

Żałować należy, że nieprawdą były wszystkie sprzedawane na prawo i lewo opowieści o polskim faszyzmie, łamaniu demokracji i dyktaturze „Kaczora". W realnej dyktaturze zagadka zostałaby rozwiązana w 24 godziny. Wystarczyłoby zaaresztować wszystkich podejrzanych i przekazać amerykańskim fachowcom do Klewek albo jeśli nie dałoby się do Klewek, to do Guantanamo. Na szczęście dla sprawców jesteśmy demokratami i chrześcijanami. Więc pozostaje tylko czekać. ■

eprasa.pl 7c50a525a9



?

Krzysztof Wołodźko



Sojusznicy i przeciwnicy. Chiny i Rosja wobec Zachodu

Geopolityczna drzemka ostatnich dekad zakończyła się koszmarem Ukrainy. NATO dostosowuje się do nowej rzeczywistości, a świat zachodni próbuje odnaleźć się wobec nowych, globalnych wyzwań. Od postkantowskiej wizji wiecznego pokoju i wyświechtanego mitu końca historii w ekspresowym tempie przeszliśmy do obaw przed III wojną światową. Winna jest Rosja, ale wnikliwi badacze od dawna wskazują na bardziej skomplikowany układ zależności, wytwarzający się między Moskwą a Pekinem. Książka Michała Lubiny „Niedźwiedź w objęciach smoka. Jak Rosja została młodszym bratem Chin" to jedna z prób zrozumienia geopolitycznych zmian naszych czasów.

eprasa.pl 7c50a525a9

Michał Lubina jest doktorem habilitowanym i profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładowcą w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu. „Niedźwiedź w objęciach smoka" pozwala lepiej zrozumieć status Rosji w dziejach najnowszych. Imperialne tęsknoty i pogróżki Moskwy wobec „kolektywnego Zachodu" ściśle wiążą się z chińską wizją globalnych geopolitycznych zmian, które miałyby się dokonać kosztem Europy i Stanów Zjednoczonych Ameryki. Coraz wyraźniejszy chiński paradygmat to zarazem siła i słabość Rosji, która okrzepła w epoce Władimira Putina. I odrzuciła pomysły na okcydentalizację, grając koncepcjami „ruskiego mira" i „rosyjskiej Europy" od Lizbony do Władywostoku. Książka krakowskiego badacza „pokazuje proces stopniowego godzenia się Rosji z rolą młodszego brata Chin. Po okresie wahań Moskwa zaakceptowała nierówne partnerstwo na warunkach Pekinu. Niczym w XVII wieku, gdy oba te kraje po raz pierwszy się ze sobą zetknęły, Państwo Środka jest dziś ważniejsze, silniejsze i bogatsze".

Samodzierżawie, nacjonalizm, prawosławie

Rosja chętnie przedstawia się jako odrębna, duchowo wyższa od Zachodu cywilizacja. Równocześnie od stuleci cierpi na kompleks Starego Kontynentu. W XIX wieku, gdy rozwinęły się najważniejsze rosyjskie idee, zarówno radykalnie okcydentalistyczne, jak i najbardziej słowianofilskie, Europa była dla nich ważnym punktem odniesienia – choćby jako „stary świat", któremu najpierw duchowe, a później komunistyczne odrodzenie przynieść miała właśnie Rosja. Tragiczną dla Europy i świata dwuznaczność położenia tego państwa opisywał Piotr Czaadajew w „Pierwszym liście filozoficznym". Jest to „kraj jakby zapomniany przez opatrzność. Nie należy ani do Wschodu, ani do Zachodu", kraj, który wypaczył wszystko, co przyszło do niego wraz z zachodnim postępem. Andrzej Walicki w „Zarysie myśli rosyjskiej" wskazywał, że obrazoburczy esej „był wyzwaniem rzuconym oficjalnej ideologii [epoki Mikołaja I – przyp. K.W.], głoszącej, że Zachód gnije, a Rosja kwitnie i że tylko ona stanowi »kotwicę ocalenia« dla ludzkości". Filarami epoki mikołajowskiej było prawosławie, samodzierżawie (jednowładztwo) i idea narodowa. Czaadajewa uznano za chorego psychicznie i kazano przymusowo leczyć w odosobnieniu. Po latach filozof pokajał się i przedstawiał znacznie przychylniejszą Rosji wizję jej rozwoju. Przypominam ten wątek, ponieważ w polskiej debacie publicznej widać bliską zachodniej ignorancję w rosyjskich sprawach i kompletne niezrozumienie tego, jak wiele starych wątków ideowych, włączonych w postkomunistyczny nurt swojego bytu, Rosja wykorzystuje dziś dla uzasadnienia aktualnej polityki podbojów i grabieży.

Rosyjski Niedźwiedź i chiński Smok

Lubina zauważa, że spotkanie rosyjskiego Niedźwiedzia i chińskiego Smoka to zetknięcie dwóch odmiennych światów: „Chiny stworzyły własną cywilizację, Rosja to niepowtarzalna hybryda wpływów europejskich i azjatyckich". Ale jedno jest im wspólne – radykalne różnice wobec cywilizacji Zachodu i narastająca chęć wywarcia zemsty na Europie i Ameryce Północnej. Żyjemy w świecie zdominowanym przez prymat ekonomicznej debaty o rzeczywistości i sposobach jej rozumienia. Niezakłócony postęp pojmowany jako rynkowe zyski i gospodarcza efektywność, a także niezwykle korupcjogenny zmysł chciwości jako „neoliberalnej cnoty" wpłynął również na to, jak Zachód traktował Rosję i dał się uśpić fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. Ale fiasko paradygmatu „końca historii" pozwala nam przypomnieć sobie, że o charakterze cywilizacji i kultur decydują takie czynniki jak tradycja i dziedzictwo, mentalność, „sposób rozumienia pojęć takich jak wartości czy interesy, spojrzenie na jednostkę, społeczeństwo czy państwo [...]". A to wszystko „wpływa na decyzje rządzących w Rosji i Chinach".

Warto jednak pamiętać, że imperialny zmysł Rosji promieniował z jej europejskiej części. Moskwa, a później Sankt Petersburg i znów Moskwa były centrami, które decydowały o kolonizacyjnej strategii państwa carów, komunistów, byłych KGB-istów wobec azjatyckich narodów. Autor „Niedźwiedzia w objęciach smoka" przypomina, że Rosjanie przez wieki traktowali azjatyckie terytoria jako teren „cywilizacyjnej misji" i „przekazywania azjatyckiej dziczy europejskich wartości": „Wobec Europy Rosja prezentowała się jako odmienny, unikatowy twór, w Azji – jako forpoczta europejskiej misji cywilizacyjnej". Dziś spojrzenie Rosjan na Azję komplikuje się – także dlatego, że azjatyckie technologie okazują się ratunkiem dla rosyjskiej wojny, gospodarki i gospodarstw domowych. Lubina daleki jest jednak od przekonania, że „Rosja staje się Azją". Podkreśla: „bardziej prawdopodobne wydaje się [...] pogłębienie rosyjskiego poczucia rozdarcia, wyobcowania, cywilizacyjnej samotności".

A jak wygląda chińska perspektywa? Głęboko zakorzenione historycznie określenie „Państwo Środka" wiele mówi o chińskiej samoświadomości i postrzeganiu planetarnej rzeczywistości. Nie tylko w perspektywie geopolitycznej, lecz także metapolitycznej, cywilizacyjnej i ostatecznie – metafizycznej. Chińczycy nie mają wątpliwości, że ich pań-

eprasa.pl 7c50a525a9

stwo jest „skazane na wielkość". Sinocentryzm nie jest wyłącznie polityczną ideą, jest moralną i etyczną racją. Wszak cesarz Chin był „władcą wszystkiego pod niebem" (tianxia): „z chińskiego punktu widzenia każde państwo nawiązujące relacje z Państwem Środka automatycznie stawało się jego wasalem, a ceremonię przyjęcia inwestytury porównać można do powitania w dużej rodzinie dalekiego krewnego, o którym wcześniej nie słyszano".

Czasy supremacji Zachodu, czyli „chwilowa anomalia"

XIX wiek położył kres chińskim mrzonkom o dominacji. Ale to nie znaczy, że zniszczono symboliczne imaginarium decydujące o chińskiej tożsamości: „Kolonialna pogarda okazana Chinom była odwrotnością sinocentryzmu, Europejczycy potraktowali Chińczyków w podobny sposób, jak ci do tej pory odnosili się do barbarzyńców. Stąd trwająca do dziś trauma". „Sto lat państwowego poniżenia" (bai nian guo chi) jest w chińskiej opowieści o własnych dziejach wydarzeniem, które jako Polacy możemy lepiej zrozumieć, myśląc o zaborach. Komunistyczna Partia Chin (KPCh) stworzyła własną, przekonującą historiozoficzną opowieść, pokazując drogę państwa i narodu „od cesarskiej potęgi przez kolonialny upadek do współczesnego odrodzenia".

W tej wizji dekady zachodniej supremacji stanowią wyłącznie „chwilową anomalię" w kosmicznym nieledwie porządku, którego centrum są Chiny jako „Państwo Środka". Po raz kolejny okazuje się, że analiza procesów długiego trwania jest znacznie lepszym narzędziem do rozumienia procesów geopolitycznych niż teorie i teoryjki okraszane mianem „nowoczesnych" czy „modnych". Na marginesie: dla współczesnego polskiego społeczeństwa najczytelniejsze są popkulturowe ćwiczenia z wyobraźni. Dlatego uważam, że w specyfikę myślenia jednego z najpotężniejszych dziś państw na świecie dobrze wprowadza głośna powieść science fiction „Problem trzech ciał" Cixin Liu i kolejne części trylogii z cyklu „Wspomnienie o przeszłości Ziemi". Od marca jej serialową wersję można zobaczyć na Netfliksie – ale książkowy cykl o wiele lepiej pokazuje chińskie myślenie o świecie.

Rosja i Chiny – historyczne zaszłości

Zrozumienie chińskiego poczucia dziejowego upokorzenia – nieźle współgrającego z rosyjskimi kompleksami wobec Zachodu, wzmocnionymi klęską Rosji w zimnowojennym kryzysie – dobrze naświetla resentyment wobec USA i Europy. Ale Pekin stanął również przed nową szansą: mógł na nowo określić swoją pozycję wobec Moskwy, której nagła zapaść w czasach jelcynowskiej smuty była wielką szansą dla narodów i państw, żyjących w trzewiach lub w cieniu „więzienia narodów". W XIX wieku to Rosja była górą na terytoriach, które Chiny traktowały jako swoje. W latach 20. XX wieku bolszewicy kontrolowali chińskich komunistów. Dopiero sukces Mao Zedonga pozwolił ograniczyć wpływy Moskwy w Chinach.

Zbrojny spór sowiecko-chiński z 1969 roku, znany jako konflikt nad rzeką Ussuri, to mniej przyjemna dla Pekinu część wspólnej historii dwóch wielkich państw. Później to Chiny z pomocą USA próbowały ograć Kreml. Gdy upadał Związek Radziecki, Pekin liczył zyski i straty: kapitalistyczne państwa Zachodu znów triumfowały. A to rodziło pytanie o powrót zachodnich wpływów w Azji i odrodzenie nastrojów niepodległościowych i wolnościowych wśród narodów Azji Środkowej. Zbyt słaba Rosja, w dodatku zorientowana na współpracę z Zachodem, także była kłopotem dla Pekinu, któremu znacznie skrupulatniej zaczęły przyglądać się Stany Zjednoczone. Pod koniec XX i na początku XXI wieku Chiny stanęły przed jednym z największych wyzwań od stuleci – na nowo podjęły grę o hegemonię nad światem. A przy okazji mogły spróbować zdecydowanie wzmocnić swoją pozycję wobec Rosji.

Pekin i Moskwa wobec Zachodu

Autor „Niedźwiedzia w objęciach smoka" podkreśla, że Chiny i Rosja „uwypuklają pozytywy i przemilczają negatywy" w swoich współczesnych relacjach. W jego opinii „relacje obydwu państw nie są ani tak doskonałe, jak Moskwa i Pekin głoszą, ani tak płytkie, jak twierdzi wielu ich krytyków". Wynika to również z doświadczeń ostatnich dziesięcioleci. Michał Lubina omawia poszczególne dekady relacji chińsko-rosyjskich / rosyjsko-chińskich od upadku ZSRS. Przyjrzyjmy się uważniej bliższym nam czasom. W listopadzie 2012 roku sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Chin został urodzony w 1953 roku Xi Jinping. Podobnie jak w przypadku putinowskiej Rosji, istotne dla jego władzy są: wzmocnienie jednowładztwa, poczucie misji dziejowej i wola konfrontacji z Zachodem. Zdaniem Lubiny nie byłoby to możliwe bez gigantycznego gospodarczego wzrostu Chin w ostatnich dekadach XX i pierwszych dziesięcioleciach XXI wieku. Pekin pod jego rządami mówi o „wspólnym przeznaczeniu ludzkości", co w praktyce oznacza osłabienie i zniszczenie zachodniej wizji globalnego ładu. Dlatego „putinowska wizja »koncertu mocarstw« współgra z Xijinpingowskim »nowym rodzajem stosunków między mocarstwami«". Dziś stało się to oczywistością nawet dla mniej wyrobio-

eprasa.pl 7c50a525a9

nych obserwatorów geopolitycznych procesów: Rosja w Europie, Chiny w regionie Azji i Pacyfiku chcą odwrócić dziejową kartę. Oba te państwa nie bez sukcesów próbują przedstawić się jako orędownicy samostanowienia Afryki i Ameryki Południowej – skutecznie grając na ranach, kompleksach i traumach, niechlubnym dziedzictwie zachodniego kolonializmu na tych kontynentach.

Strategia putinowskiego reżimu

W czasie gdy do władzy doszedł Xi, zaczęła się pogłębiać niekorzystna dla Rosji asymetria w relacjach z Chinami. Zaczęła się jednak nieco wcześniej – przed kryzysem 2008 roku. Moskwa miała swoje obawy: „przyszłość dalekowschodnich prowincji, dominacja gospodarcza Chin we wzajemnych relacjach, potencjalne zepchnięcie Federacji Rosyjskiej do półkolonialnej zależności". Putin uznał jednak, że to opłaca się jego państwu bardziej niż jawna porażka polityczno-gospodarcza w relacjach z Zachodem. Tym bardziej że Rosji coraz bardziej groził wewnętrzny kryzys, wnikliwie opisany w recenzowanej przeze mnie dla „Nowego Państwa" książce „Nienowoczesny kraj. Rosja w świecie XXI wieku" Władisława Inoziemcewa („NP", numer 07–08 (193)/2022). A kryzys był niebezpieczny nie tylko dla narodów wchodzących w skład Federacji. Groził upadkiem samemu Putinowi. Dlatego, zdaniem Lubiny, „na zmianę podejścia kremlowskich elit wpłynął w największym stopniu imperatyw przetrwania reżimu". Kreml nie chce demokratyzacji, ponieważ zagraża ona stabilności elity, dlatego „Moskwa postanowiła budować bliższe związki z Chinami, by zmniejszyć finansowo-technologiczne uzależnienie od Zachodu".

Wojna przeciw Ukrainie wzmocniła ten proces. Dla Rosji relacje z Chinami, nawet niekorzystne politycznie-gospodarczo, stały się „strategiczną polisą ubezpieczeniową na wypadek gwałtownego załamania się stosunków z Zachodem". W dodatku Kreml poczuł się bezpieczny, jeśli chodzi o źródła potencjalnych napięć w relacjach z Chinami: uwaga Pekinu skupiona jest na Tajwanie i Morzu Południowochińskim. I więcej jeszcze: „na tle obecnej chińskiej amerykanofobii historyczne urazy Chin wobec Rosji bledną". Ponadto Chiny uznają imperialne racje Moskwy – a to jest znacznie ważniejsze dla Putina niż mniejsze zyski z surowców i uzależnienie od chińskiej technologii (w tym zwykłych części zamiennych do samochodów).

To niestety czynnik nie do przecenienia, jeśli chodzi o potencjalny rozwój wydarzeń na świecie: „Wobec rosyjskiej »zranionej dumy« i manii mocarstwowej Chińczycy zachowują się bez zarzutu. Nie świętowali upadku ZSRR, nie pouczają Kremla w sprawach wewnętrznych, publicznie oddają Rosjanom wszystkie możliwe hołdy. Kiedy Putin przyjeżdża do Państwa Środka, czekają na niego czerwone dywany, parady i kwieciste przemowy o Rosji jako wielkim mocarstwie. Chińczycy mówią dokładnie to, co Rosjanie chcieliby usłyszeć". To nie znaczy, że Rosja wierzy tylko w piękne słówka. Kreml serfuje na chińskiej fali, skoro w tym momencie historycznym daje to szanse na pomyślny wynik w sporze z Zachodem. Ale Chiny także mają swoje problemy. Zdaniem Lubiny rosyjska strategia tak da się opisać: „chwilowo należy uznać przewagę chińską (bez nazywania tego wprost) i maksymalnie wykorzystać możliwości, jakie daje powstający sinocentryczny ład".

Asymetryczny układ win-win

W obecnych realiach geopolitycznych zarówno Rosji, jak i Chinom opłaca się skupiać na korzyściach wynikających z rosnącego coraz szybciej globalnego napięcia. Lubina nazywa to asymetrycznym win-win, korzystniejszym dla Pekinu, który zyskuje więcej na współpracy surowcowej i technologicznej, handlu bronią i na Nowym Jedwabnym Szlaku. Chiny zyskują też w Azji Środkowej, ponadto rosyjski Daleki Wschód i Syberia Wschodnia stały się przede wszystkim rynkiem zbytu chińskich towarów – a chińsko-rosyjski biznes prowadzi tam rabunkową gospodarkę leśną. Chiny interesuje przede wszystkim import surowców z tamtych regionów – w zamian za żywność, AGD, high-tech.

Wymowny jest też przykład polityki gazowej między Rosją a Chinami: pierwsze rozmowy zaczęto jeszcze w latach 90., następne po dojściu do władzy Putina. Ale obie strony trzymały się w szachu. Dopiero w 2014 roku, po pierwszej napaści Rosji na Ukrainę, podczas wizyty Putina w Szanghaju, oba kraje podpisały duży kontrakt na gaz. Niezależni od Kremla eksperci skomentowali to krótko: „Rosja zobowiązała się subwencjonować chińską gospodarkę na sumę 100 miliardów dolarów". Co ważne: gazociąg Siła Syberii, transportujący rosyjski surowiec do Chin, Gazprom musiał zbudować za własne pieniądze, bez kredytowania ze strony Pekinu. To dobrze pokazuje logikę „asymetrycznego partnerstwa" między Smokiem a Niedźwiedziem.

Postępujące uzależnienie Rosji od Chin jest jednym z ważniejszych geopolitycznych procesów naszych czasów. Byłoby jednak lekkomyślnością wyciągać z niego zbyt optymistyczne wnioski dotyczące przyszłości choćby naszego regionu. To sojusz niebezpieczny także dla naszego regionu, nawet jeśli miałby w kolejnych dekadach oznaczać ogromne problemy dla Moskwy. ■

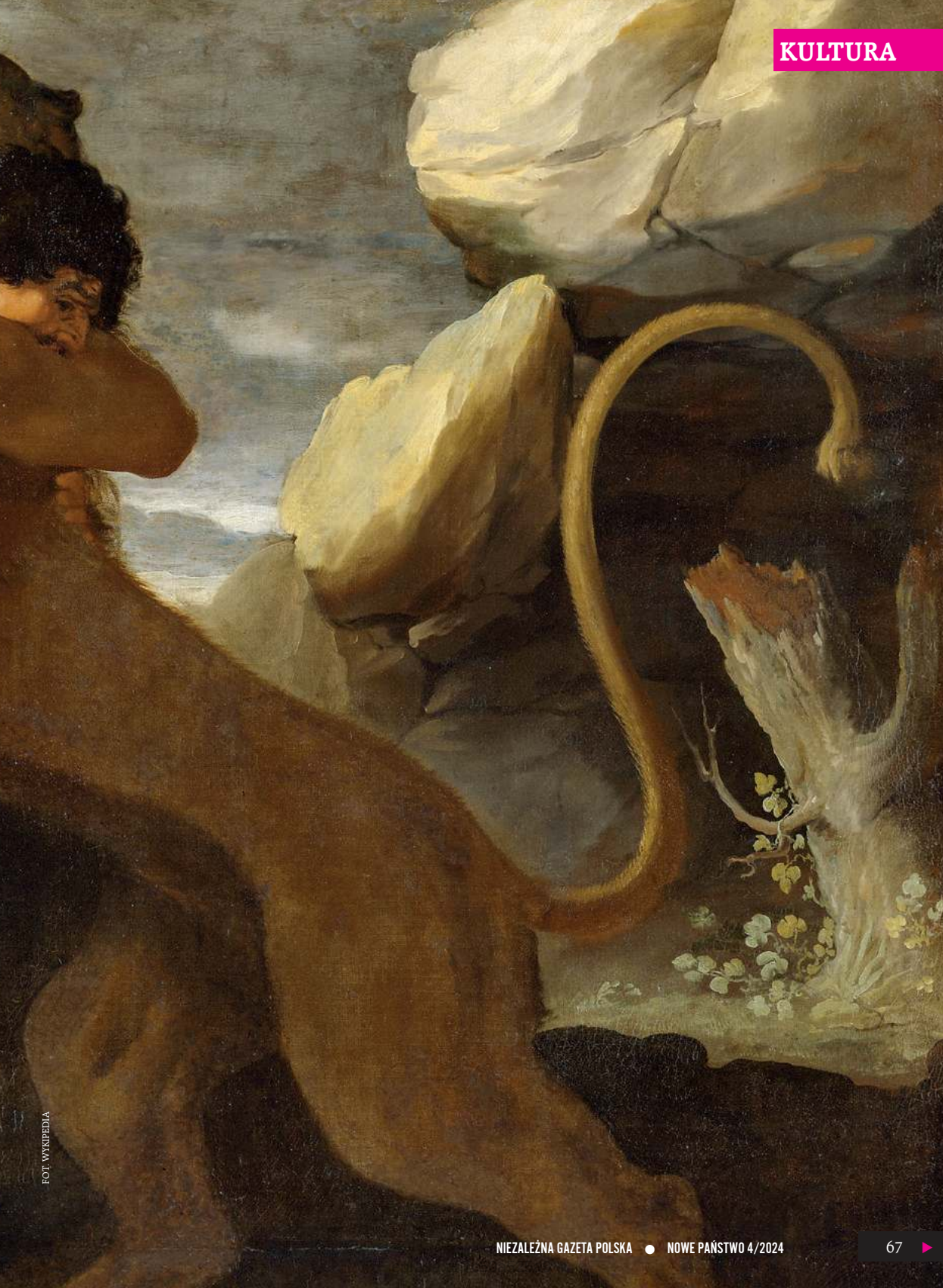
eprasa.pl 7c50a525a9



Jakub Augustyn Maciejewski

KOD BARDZO DALEKICH PRZODKÓW

Współczesna edukacja zniszczyła nasze rozumienie starożytnych mitologii. Uczyliśmy się, że dawni Grecy czy Rzymianie czcili bogów zajmujących się różnymi dziedzinami życia i pomagających im w trudnych sprawach. To bardzo krzywdzące spłycenie, które wielu autorów dziś próbuje prostować.



FOT. WYKIPEDIA

Jak bardzo mitologia NIE była związana z wyznawaną wiarą i religią, dowodzi malarstwo katolickiej Europy. Czy Sandro Botticelli malował „Narodziny Wenus", czyli rzymskiej bogini, w towarzystwie innych mitycznych postaci, bo żyjąc w XV-wiecznej Italii wierzył w boginię miłości, która narodziła się z morskiej fali, by rozpalić wśród ludzi namiętność? Gdyby tak było, to renesansowy malarz byłby uznany za poganina i być może nawet spalony na stosie za herezję. W dodatku obraz został zamówiony przez władcę Florencji Wawrzyńca Wspaniałego z dynastii Medyceuszy, który był częścią wspólnoty chrześcijańskich władców Europy – nikt nie wyobrażał sobie, że ten polityk w jakikolwiek sposób miałby wierzyć w antyczne mity, choć gromadził on podobne obrazy innych mistrzów renesansu.

Mity jako wielka księga

Skoro do dawnych artystów i mecenasów sztuki obrazy ilustrujące sceny mitologii przemawiały walorami estetycznymi i mądrością przodków wielbiących cnoty i archetypy heroicznych zachowań, dlaczego antyczni mieliby być gorsi i wierzyć w Heliosa jeżdżącego słonecznym rydwanem po niebie? Mity sprzed 3 tys. lat były czymś więcej niż rodzajem religii, stanowiły zapis mądrości zbiorowej przodków, który wyrażał obawy i pragnienia ludzkości. W tych opowieściach zakodowane są przesłania dla cywilizacji, są zarejestrowane psychologiczne prawdy o człowieku, są to ramy, które miały pomóc człowiekowi stać się lepszym członkiem wspólnoty. I nie tylko homeryckie opisy Ateny czy Afrodyty dostarczały takich mądrości – nawet najbardziej pierwotne mity i opowieści miały doniosły wpływ na postępowanie człowieka. Znane nam przygody Herkulesa czy Hefajstosa to ledwie tysiące lat – tymczasem duchowe opowieści liczą dziesiątki tysięcy lat – od epoki kamienia łupanego. To z tego okresu pochodzą na przykład malowidła w słynnej jaskini Lascaux w południowo-zachodniej Francji, które przedstawiają polowanie na tury, konie i jelenie. Archeolodzy i antropolodzy do dziś spierają się, czym dokładnie są te malowidła – czy tylko realistycznym zapisem konkretnego wydarzenia, czy może wyrazem głębszych wierzeń. Przekonująco opisał to amerykański mitoznawca Joseph Campbell (1904–1987), który podczas swojej wizyty w tym miejscu doznał olśnienia w zakresie potęgi symboli i mocy przekazu ludzkości sprzed około 20 tys. lat!

Mity z jaskini

Tak opisywał to w swojej rozmowie z Billem Moyersem na początku lat 80. XX wieku. „Wchodzisz do ogromnej komory, wielkiej jak katedra, ze wszystkimi tymi malunkami zwierząt na ścianach. Ciemność jest niewyobrażalna. Mieliśmy elektryczne latarki, ale facet, który nas oprowadzał, zgasił wszystkie światła, i oto jesteś, człowieku, w najciemniejszym mroku, jakiego doświadczyłeś w życiu. To było coś... no, nie wiem, ale coś jak zupełny nokaut. Nie wiesz, gdzie jesteś, czy masz przed sobą północ, południe, wschód czy zachód. Wszelką orientację diabli biorą w ciemnościach, które nigdy nie widziały słońca. Potem zapalają światła i widzisz naokoło te wspaniałe wymalowane zwierzęta. Wymalowane tak żywo [...] masz na przykład byka długości jakichś dwudziestu stóp namalowanego tak, że jego zad oddaje wybrzuszenie skały". Zdaniem religioznawcy tak wielkie dzieło epoki kamienia było świętym miejscem dla twórców i mogło pełnić wiele funkcji społecznych. Jedną z nich była „podróż mistyczna" chłopca, który odwiedzając jaskinię pod opieką starszego mędrca (być może ojca albo wodza plemienia), zapalał ogień i widząc dynamiczne obrazy z spektakularnego polowania, był wprowadzany w męski, dorosły świat. Zwróćmy uwagę na to, że scena z zapaleniem latarki w jaskini wywarła kolosalne wrażenie na profesorze z XX wieku, który już znał efekty specjalne kinowych filmów, nowojorskie neony na Manhattanie czy noworoczne fajerwerki – a i tak sceny z polowania uderzyły go rozmachem, powagą i mądrością. O ileż większe doznanie było udziałem takiego na przykład szesnastoletniego chłopca, który był przyodziany w skórę jelenia i do tej pory miał w ręku jedynie kamienne ostrze włóczni.

Prawdopodobnie z tych fantastycznych opowieści z jeszcze anonimowymi członkami wyrastali już bardziej spersonifikowani herosi i bogowie. Uczyli oni, czego unikać, czego nie pożądać i jak zwyciężać. Były więc mity zapisem czegoś na kształt dzisiejszej psychologii, socjologii i antropologii, ale bez języka współczesnej nauki. Ale były czymś więcej niż dzisiejsze akademickie rozważania, bo były powszechnie znane i wyrabiane nie dwuletnim grantem na projekt badawczy, lecz kształtowaną przez dziesiątki tysięcy lat nieuchwytną dla rozumu opowieścią o siłach rządzących światem.

Zmagania z ludzkim tabu

Douglas Murray, znany publicysta konserwatywny z Wielkiej Brytanii, posługuje się antycznymi mitami, by wyjaśnić współczesne problemy. Autor „Szaleństwa tłumów", choć sam homoseksualista, przyznaje, że pociąg seksualny do tej sa-

eprasa.pl 7c50a525a9

mej płci słusznie wywołuje poczucie niepewności u osób heteroseksualnych. Murray aby to uzasadnić, przywołuje grecki mit o Tejrezjaszu, który w swoim życiu był i mężczyzną, i kobietą, a więc poznał dwie strony ludzkiego współżycia. To daje perspektywę tak inną od żonatego mężczyzny czy zamężnej kobiety, daje wgląd w tak osobliwe role, że budzi niepewność. Również Robert Graves, znawca antycznej kultury, podkreśla zacieranie się granicy męskości i kobiecości w tym micie, skoro pojawia się on wobec symbolu innego dziwu natury – węża. Gad bez kończyn od zarania ludzkości zadziwiał myślicieli, stał się w chrześcijaństwie symbolem szatana, a taki na przykład Giambattista Vico uznawał go za uosobienie rewolucji – początków własności gruntów, ziemi uprawnej. Tak znawca kultury antycznej opisał pierwszy mitologiczny przypadek homoseksualizmu: „[...] pewnego razu na górze Kyllene zobaczył Tejrezjasz dwa spółkujące węże. Kiedy oba rzuciły się na niego, uderzył je swą laską i zabił samicę. Z miejsca przemieniony w kobietę, został słynną nierządnicą. W siedem lat później w tym samym miejscu zobaczył znowu taki sam widok. Tym razem zabijając samca odzyskał męskość. Inni jeszcze twierdzą, że kiedy Afrodyta i trzy Charyty, Pazitea, Kale i Eufrozyna, toczyły między sobą spór, która z nich jest najpiękniejsza, Tejrezjasz przyznał nagrodę Kale. Afrodyta przemieniła go wówczas w starą kobietę".

Dzisiejsze lewicowe mantry powtarzają kłamliwą tezę, że homoseksualiści w antycznej Grecji żyli szczęśliwie w związkach. To nieprawda – do aktów homoseksualnych dochodziło często czasem nawet w ramach inicjacji społecznej ucznia przez nauczyciela, ale później tenże nauczyciel wracał do żony i dzieci. Tymczasem mity mówią jasno, że ta osobliwość seksualna wiąże się z łamaniem tabu (spółkujące węże) i karą za przekraczanie pewnych granic mentalnych.

Potrzebujemy wzniosłości i tajemnicy

Rzecz jednak nie w samym homoseksualizmie, lecz w dosadności przekazu przodków, w tym, że pewne zjawiska wspólnotowe i ogólnoludzkie utrwalali oni w sensacyjnych, heroicznych i nadnaturalnych opowieściach, by stały się kompasem dla potomnych. Zdaniem Campbella regułą mitów jest właśnie podniosłość, patos, wyjątkowość, tworzenie niedostępnej sceny, która ma być dla nas tajemnicą. To dlatego, zdaniem mitoznawcy, Kościół katolicki przeżywa kryzys od Soboru watykańskiego II, że odarł własne nabożeństwa z trudno pojmowalnych sekretów. „Nawet w Kościele rzymskokatolickim przetłumaczono mszę z języka rytualnego na język niosący mnóstwo najpospolitszych, swojskich skojarzeń. Ołtarz był ustawiony w taki sposób, że ksiądz stał tyłem do ciebie i razem z nim zwracałeś się gdzieś na zewnątrz. Dziś ołtarz jest obrócony do ciebie, a ksiądz wygląda przy nim jak prezenterka telewizyjna podczas pokazu, wszystko po domowemu i przytulne". Campbell nie był katolikom, on tylko jako religioznawca oceniał, że religia, by trwać i się rozwijać, musi być w pewien sposób niedostępna, trudna, nadzwyczajna. Stąd też w tej samej wypowiedzi drwił z księży-gitarzystów. „Grają na gitarach. Zapomnieli, że rytuał ma cię wyrwać ze zwyczajności, a nie wciągać cię w nią, bo przecież tkwisz w niej przez cały czas".

Amerykanin wiele pracy poświęcił badaniu mitów społeczności plemiennych i odkrył w nich ogólnoludzką potrzebę sakralności oraz rytuału. Jego zdaniem formuje to człowieka i jego psychikę mocniej, niż dzisiejsza nauka jest w stanie to rozpoznać. Za przykład podaje inicjację młodzieńców, którzy w judaizmie przeżywają bar micwę, w katolicyzmie bierzmowanie, a u Indian z południowo-zachodniego Meksyku szło się na poszukiwanie pejotla (rzadki rodzaj kaktusa). „Te wyprawy to podróże mistyczne ze wszystkimi szczegółami właściwymi typowej po-

Wypłukiwanie kultury z bohaterstwa, poświęcenia i tajemnic wywołuje pustkę, w którą wejdzie jakaś nowa dramatyczna opowieść. Myśmy już takie przerabiali – mit o wyższej rasie germańskiej czy mit o wyzwoleniu robotnika przez wysłanie go do gułagu to przecież tylko pochodne pustki duchowej I połowy XX wieku.

eprasa.pl 7c50a525a9

dróży mistycznej. Najpierw następuje uwolnienie się od obowiązków życia świeckiego [...]. Potem wyruszają w podróż. Używają nawet specjalnego, negatywnego języka. Na przykład zamiast mówić »tak« mówią »nie« albo zamiast »wyruszamy« mówią »przybywamy«. Przebywają w innym świecie". Tym innym światem są właśnie mity, do których mamy dążyć, choć nigdy ich nie osiągniemy. Jeśli tak będziemy postrzegać potrzeby społeczne, łatwiej też zrozumiemy, skąd się wzięły totalitaryzmy. Gdy tacy kapłani jak Marks czy Hitler obiecali, że świat pozanaturalnych mitów sprowadzą na ziemię i uczynią codziennością, zaczęły się rzeczywistości terroru i eksterminacji. Nie – całkowite szczęście i boskość są poza naszym zasięgiem i ludzkość rozumiała to przez 100 tys. lat, dopóki w Europie ten czy ów intelektualista nie uznał, że zdejmie Olimp ze szczytu i zbuduje we własnym mieście. Jordan Peterson w swojej pierwszej głośnej książce o strukturze ludzkich wierzeń i zachowań nisko ocenia kompetencje psychologów i psychiatrów wobec zbiorowej wiedzy starożytnych przodków. „Nasze wzorce zachowań są niezwykle złożone, a psychologia jest młodą nauką. Zakres naszej mądrości behawioralnej przekracza zakres naszej jednoznacznej interpretacji" – pisał. Może więc zachodnie akademie potrzebują więcej klasycznej kultury niż nowoczesnych eksperymentów na człowieku?

Dzisiejsze „prawie" mity

Zdaniem Campbella dzisiejsze mity jako zapis zbiorowej mądrości odnajdujemy nie tylko w religiach, lecz także w niektórych aspektach kultury popularnej – na przykład w filmach o herosach. Religioznawca uważa, że jednym z kulturowych substytutów mitologii obecnego świata jest film „Gwiezdne wojny". Dobro walczy ze złem, bohater musi porzucić zwyczajność na rzecz heroicznej walki, a w losach poszczególnych postaci ukryte są tajemnice ludzkości. Darth Vader jest tutaj niczym Mefistofeles, spiritus movens całego zła, ale też zła spowodowanego defektami własnego życia i własnej osobowości. „Maski potworów, jakie ludzie noszą w »Gwiezdnych wojnach«, symbolizują potworne moce, rzeczywiście działające we współczesnym świecie. Gdy maska zostaje zdjęta z Dartha Vadera, widzisz człowieka nieukształtowanego w pełni, kogoś, kto nie rozwinął się w normalną ludzką osobę [...]. Dart Vader nie rozwinął własnego człowieczeństwa" – przekonuje mitoznawca. Porównanie dawnych mitów do dzisiejszych hitów kinowych ma jeszcze i tę interesującą perspektywę, że my też przecież nie wierzymy, że zakon Jedi lata po kosmosie ze świetlnymi mieczami, to po prostu opowieść o pewnych wartościach zaklęta w odgrywanych przez aktorów rolach. Podobnie było z Zeusem, Achillesem czy Prometeuszem – Grecy też się nimi zachwycali, ale nie uznawali tych opowieści za dosłowny opis wydarzeń z niebios.

Rachunek za destrukcję mitów

Jednak Campbell zauważa także, że dzisiejsze mity naprawdę nie wystarczą do ukształtowania kolejnych pokoleń. Z obrazów o superbohaterach nowe generacje rozumieją tylko tyle, że dobrze być sławnym i podziwianym – bez względu na powód. Moyers podzielił się z mitoznawcą swoją refleksją: „Zdaje się, że dzisiaj czcimy ludzi sławnych, nie bohaterów", zaś religioznawca odpowiedział: „Tak, i to jest fatalne. Kiedyś rozesłano po szkołach średnich Brooklynu ankietę zapytującą »Kim chciałbyś być?«. Dwie trzecie uczniów odpowiedziało: »Kimś sławnym«. Nawet przez myśl im nie przeszło, że aby coś osiągnąć, trzeba coś dać z siebie". Dziennikarz podsumował: „Być znanym – to ich jedyny cel". Zapis tej rozmowy powstał ponad 40 lat temu, a przewidział nastanie czasów internetowych celebrytów, influencerów z mediów społecznościowych, którzy ani nic nie osiągnęli, ani nic z siebie nie dają, ale są – no właśnie – sławni. Pojawia się jednak pytanie o rozpad takiego społeczeństwa, które nie ma wspólnych mitów.

Nie ma inicjacji w dorosłość, więc mężczyźni pozostają wiecznymi chłopcami, nie ma sakralności związku kobiety i mężczyzny, więc wychowywanie dzieci przestaje być wartością – itd. Jednak człowiek bez głębokiej kultury szuka zamienników. Zdaniem Campbella bez odpowiednich wzorców znajdują się mity ułomne – gangi, wandalizmy, ideologie psujące codzienne życie pseudoheroicznym poświęceniem. Człowiek potrzebuje opowieści i wiary nie mniej niż chleba i wody, zatem wypłukiwanie kultury z bohaterstwa, poświęcenia i tajemnic wywołuje pustkę, w którą wejdzie jakaś nowa dramatyczna opowieść. Myśmy już takie przerabiali – mit o wyższej rasie germańskiej czy mit o wyzwoleniu robotnika przez wysłanie go do gułagu to przecież tylko pochodne pustki duchowej I połowy XX wieku.

Filmy o Supermanie czy Batmanie nie zastąpią nam opowieści o królu Arturze czy studentach z XIX-wiecznego Wilna szykujących spisek na rosyjskiego zaborcę. Tym bardziej bohaterstwa Powstania Warszawskiego i męstwa w stylu Skrzetuskiego nie zastąpią segregowanie śmieci i kolorowe zdjęcia na Instagramie – a to właśnie próbuje się dzisiaj przeprowadzić. Rachunek będzie za to niebagatelny. ■

eprasa.pl 7c50a525a9

Marek Kalinowski

Trzy oblicza pana Kleksa

Jeśli nie przypadły Państwu do gustu piosenki z nowej wersji „Akademii Pana Kleksa", jest jeszcze ratunek. Gad Records przypomina bowiem kompletną ścieżkę dźwiękową do niezapomnianych filmów Krzysztofa Gradowskiego, a przy okazji odkrywa też nieznane sekrety Ambrożego Kleksa. To zbiór utworów i szkiców, które do filmów nie trafiły, a które zachował w swoich archiwach kompozytor – Andrzej Korzyński. Na najodważniejszych słuchaczy czeka zaś niespodzianka – pojedynek z „Meluzyną".

Nowe pokolenie otrzymało nowego Pana Kleksa – opowieść daleką zarówno od książkowego pierwowzoru Adama Brzechwy, jak i filmowej adaptacji Krzysztofa Gradowskiego z lat 80. I nie ma się co dziwić. „Akademia Pana Kleksa" wyreżyserowana przez Macieja Kawulskiego powstała już w zupełnie innym świecie i w oczywisty sposób zbiera wszelkie popkulturowe kalki ostatnich dziesięcioleci – od Harry'ego Pottera przez kino Tolkiena aż po serial „Stranger Things".

Zmiany, którym uległ ekscentryczny nauczyciel Ambroży Kleks i jego szkoła, niestety nie ominęły również ścieżki dźwiękowej. Muzyka w filmie z jednej strony nawiązuje do znajomych kompozycji Korzyńskiego, ale przetwarza je przez nowe muzyczne mody: współczesny pop i utartą stylistykę „Męskiego Grania".



Andrzej Korzyński, SEKRETY PANA KLEKSA, GAD Records

Nie pomogą nasze „boomerskie" żale i tęsknoty za kinem Gradowskiego czy muzyką Andrzeja Korzyńskiego. Nawet nie chodzi o same piosenki. Niezwykła moc wyobraźni pierwszej filmowej opowieści o przygodach Pana Kleksa tkwiła przecież nie tylko w fabule i piosenkach, lecz także, a może przede wszystkim, w niesamowitej muzyce ilustracyjnej Andrzeja Korzyńskiego. Muzyce, której już nawet cienia w najnowszym panu Kleksie nie odnajdziemy, bo tego podrobić się w żaden sposób nie da.

Możemy przeklinać i marudzić na nowego pana Kleksa, a świata i tak nie zmienimy. Bo co zrobić, gdy nasze dziecko poprosi o piosenkę „Jestem Twoją Bajką", a bynajmniej nie chodzi mu o wzruszającą piosenkę Zdzisławy Sośnickiej, ale o nowy, filmowy przebój w wykonaniu Sanah? Oczywiście ulegniemy. Na szczęście, nawet dla nas, którzy do dzisiaj czują ciarki niepokoju na myśl o dźwiękach towarzyszących inwazji wilków, jest jeszcze nadzieja. Przynoszą ją dwa albumy (w tym jeden zupełnie świeży) od wydawnictwa GAD Records z nieznanymi wersjami utworów Andrzeja Korzyńskiego. Dla dinozaurów pozostają więc wykopaliska, ale za to jakże ciekawe!

Pierwszy album ukazał się już kilka lat temu i jest kompletną ścieżką dźwiękową z muzyką ilustracyjną Korzyńskiego do pierwszej części trylogii Gradowskiego „Akademia Pana Kleksa". Utwory niby znane, ale jakoś nigdy wcześniej nie zebrane na jednej płycie.

Drugie wydawnictwo to już absolutna nowość. Dwupłytowy album „Sekrety Pana Kleksa" zawiera muzykę ze wszystkich trzech części filmowych przygód. Zbiór najbogatszy, ale już niekompletny, bo na przykład niektóre fragmenty muzyki z „Podróży Pana Kleksa" nie przetrwały. Mamy za to wiele alternatywnych wersji oraz szkiców, które Andrzej Korzyński przygotowywał na potrzeby filmów. Część z nich dopiero teraz ma swoją premierę, gdyż ostatecznie do filmu nie trafiły. Znajdziemy tu zarówno fantastyczne kompozycje i miniatury tak bliskiej Korzyńskiemu muzyki elektronicznej, której na scenie polskiej był zresztą jednym z pionierów, jak i utwory napisane pod zespoły orkiestrowe.

W nostalgii za utraconym światem pana Kleksa można pójść o krok dalej, choć będzie to już wyzwanie dla najodważniejszych. Oprócz muzyki ilustracyjnej album zawiera bowiem podkłady do kilku piosenek. Kto chciałby więc zmierzyć się z „Meluzyną" i zastąpić na wokalu Małgorzatę Ostrowską – jest taka możliwość. Zadanie jednak nie jest łatwe i może warto przed tym upewnić się, czy na pewno nikogo oprócz nas nie ma w domu…

eprasa.pl 7c50a525a9





Krzysztof Karnkowski

Millennium w piekielnym kotle

eprasa.pl 7c50a525a9



Trzeci i ostatni sezon serialu „Rojst", czyli „Rojst Millenium", jest tak samo jak sezony poprzednie bardzo udany. Pojawiają się w nim wątki mogące zirytować konserwatywnego czy prawicowego widza, za to bardzo ucieszą lewicującego, wielkomiejskiego liberała. Tyle że nie jest to powód, by sobie odpuścić tych kilka godzin porządnej rozrywki i tytuł przekreślić. Co najwyżej można zadumać się nad tym, jak silne u naszej inteligencji twórczej są pewne stereotypy i uprzedzenia.

FOT. MAT. PRAS.

Ewentualna złość na jeden z wątków i kilka innych drobiazgów nie powinny przesłonić nam faktu, że jeśli w ogóle szukać w „Rojście" nie tylko rozrywki, lecz także jakiegoś aktu oskarżenia, oskarżona zostaje tu przede wszystkim PRL i okazująca się jej nieodrodnym dzieckiem III RP schyłku ubiegłego wieku. Kluczowe jednak pozostaje dla mnie to, że znów polska ekipa dobrze poradziła sobie z serialem gatunkowym w łatwej do wyłożenia się konwencji.

Sezon pierwszy – szarzyzna późnego PRL

Pierwszy sezon „Rojstu" swą premierę miał już niemal sześć lat temu, jesienią 2018 roku. Powstał on jeszcze dla niedziałającego już na polskim rynku Show Maksa, którego ofertę przejął później Netflix, odpowiedzialny również za premierę kolejnych sezonów serialu Jana Holoubka. Przy okazji tej przeprowadzki zniknął zresztą ciekawy, choć mający całkowicie inny klimat pilot, w którym po swoim królestwie oprowadzał nas kierownik hotelu Kociołek, grany przez Piotra Fronczewskiego. Poznaliśmy więc świat barmanów i prostytutek, pstrokatą oazę pośród szarzyzny późnego PRL. Akcja sezonu rozgrywała się bowiem w 1984 roku, w bliżej niesprecyzowanym mieście średniej wielkości, którego nazwy nigdy nie poznaliśmy. Kolejne elementy akcji pozwalały jedynie usytuować je gdzieś na Ziemiach Odzyskanych.

Pierwszy „Rojst" koncentrował się głównie na losach młodego dziennikarza, Piotra Zarzyckiego (wizualnie według niektórych widzów stylizowanego na Rafała Ziemkiewicza sprzed lat), granego przez Dawida Ogrodnika. Gdy Zarzycki przybył do miasta, by zacząć pracę, targnęły nim dwie duże sprawy kryminalne – śmierć lokalnego aparatczyka i samobójstwo pary nastolatków, w tym dziewczyny będącej córką znanego lokalnego opozycjonisty. Młodemu dziennikarzowi towarzyszył starszy kolega, Wanycz, dość ważna w lokalnym środowisku postać, grana przez Andrzeja Seweryna.

Sezon drugi – nowe realia

Sezon drugi przenosił nas już do roku 1997, w czasy wczesnego, pełnego patologii kapitalizmu, wprowadzając sporo nowych wątków i bohaterów. Zarzycki z Wanyczem ustąpić musieli miejsca parze policjantów, których filmowy urok budowany był na przeciwieństwie: on, Adam Mika, pijący i pełen uprzedzeń starzejący się jąkała (Łukasz Simlat), i ona, Anna Jass, cyganka i lesbijka, co już wkurzyło trochę sarkających na obowiązkowe wprowadzenie wątków LGBT przez Netfliksa konserwatywnych widzów (Magdalena Różczka). Wątek ten jednak poprowadzony został w sposób nieobrażający inteligencji, uwzględniający polskie realia, wreszcie – wnoszący sporo do akcji i wizerunku postaci. Para ta zresztą cał-

eprasa.pl 7650a525a9

kiem dobrze ze sobą współpracowała. Opowieść tym razem pokazała nam kilka patologii III RP, wprowadzono też wątek historyczny w postaci retrospekcji z losu Niemców, którzy za własne okrucieństwa dostali tuż po wojnie odpłatę głównie od niewiele od nich lepszych lub wręcz takich samych Sowietów. W ten sposób do opowieści trafia dawna miłość Wanycza, Elza. Ja, widząc na ekranie znaną z „Dark" Ginę Stiebitz, dostaję namacalne potwierdzenie mojego wrażenia, że Holoubek znalazł się pod dużym wrażeniem tamtego serialu, co wcześniej już sugerowała warstwa wizualna.

Sezon trzeci – niepotrzebne podteksty

Seria trzecia, „Rojst Millenium", równoważy znaczenie bohaterów z pierwszego i drugiego sezonu. Spięte zostają tu ostatecznie rozpoczęte wcześniej wątki. Podczas gdy miasto zaczyna być oplatane siecią wpływów biznesmena nowego typu, a tak naprawdę po prostu bandziora Hanysa, kierownik Kociołek zostaje dosłownie ugotowany w kuchni swojego hotelu, a redaktorowi Zarzyckiemu ktoś porywa córkę. Równocześnie w lesie znalezione zostają kolejne zwłoki i tu niestety wkracza agitka na rzecz polityki bieżącej, która tak zirytowała prawicowego Twittera. Oto bowiem w mieście pojawia się nawiedzony, karykaturalny prokurator z IPN, który uznaje za punkt honoru – i swój, i państwa polskiego – by wykazać, choćby wbrew faktom, że ujawniono dowody na kolejną niemiecką zbrodnię z czasów wojny. Dowody, które mu do tego nie pasują, ukrywa, asesor, która nie chce brać udziału w fałszerstwie i alarmuje media – odsuwa od śledztwa, a wszystko okrasza jeszcze tyradami o tym, że Niemcy powinni wypłacać Polsce reparacje. I tu niestety Holoubek, twórca niewątpliwie wybitny, przegrywa ze zbiorem klisz i uprzedzeń, jakie przez lata kształtował salon III RP. Inny, bardziej już subtelny ukłon w stronę tego środowiska i jego humoru to granatnik, ustawiony w kącie komendanta policji, postaci niezbyt lotnej i nie do końca kryształowej. Czy jednak przez te dwie sprawy przekreślać całość? Moim zdaniem nie.

Mroczna przeszłość Kociołka

Opowieść przeprowadzona i domknięta została sprawnie. Najlepiej pokazują to ostatnie dwa odcinki, gdy wszystko na dobre się rozkręca. Obok głównego planu czasowego dostajemy jeszcze obrazki z zapyziałego PRL, z początków kariery kierownika Kociołka, które okazują się dużo bardziej mroczne, niżby się wydawało. Oto bowiem sympatyczne pozornie, młodsze wcielenie postaci, granej później przez Fronczewskiego (Filip Pławiak) okazuje się być stręczycielem, wystawiającym własną partnerkę Niemcowi – sadyście, szukającemu na biednej polskiej prowincji ofiar swoich perwersyjnych upodobań. I to właśnie prowadzi do tragedii, mordu założycielskiego akcji w sezonie trzecim. Nie będę pisał o tym dużo więcej, nie chcąc za wiele zdradzać z samej akcji, wspomnę tylko, że ta poprowadzona jest w sposób pełny i satysfakcjonujący. Późniejszy los kierownika hotelu sam w sobie zostaje również spięty w sposób przewrotny i inteligentny, gdy kolega w czasach burzliwej młodości mówi mu, że za kolejne zachowania w piekle już grzeją się dla nich kotły. Na razie jednak Kociołek jest panem życia, któremu zdarzają się też bardziej szlachetne czyny – ratuje na przykład cygańską dziewczynkę topiącą się w gliniance, która po latach okaże się… Anną Jass.

Mimo wszystko udany polski kryminał

Wbrew nadziejom rozbudzonym w pierwszym odcinku, nie napatrzymy się w tej serii na Fronczewskiego, ważną rolę odegra natomiast Janusz Gajos. I tu pora wspomnieć o dwóch, już niezwiązanych z ukłonami w stronę walki politycznej, niedomaganiach serialu. Scena, w której na prośbę policjantki do akcji wkracza cygańska mafia, jest tyleż niewiarygodna, co niespecjalnie spójna z całym charakterem jej postaci. Z kolei jakieś dziwne opóźnienie muzyczno-subkulturowe zbuntowanej córki Zarzyckiego jeszcze bardziej, niż w drugim sezonie, może być widoczne dla tych, którzy w pokazanym na ekranie roku 1999 mieli kilkanaście lub trochę więcej lat. To jednak drobiazgi, które nie psują naprawdę udanego polskiego kryminału, będącego całkiem sprawnie wykreowanym obrazem końca poprzedniego tysiąclecia. Nie ma tu zbyt wiele nostalgii, nie dostajemy laurki dla młodego kapitalizmu i pierwszej dekady transformacji. Zamiast tego mamy porządną produkcję, w której nieuchronny klimat polskich kryminałów z epoki przefiltrowany zostaje przez wiele dobrych rzeczy, które później wypracował mroczny serial jako podgatunek kina. Aż szkoda, że to koniec tej opowieści.

Holoubek zapowiada już jednak kolejny serial, tym razem oparty na historii dramatycznego zatonięcia promu „Jan Heweliusz". To temat znakomicie nadający się na serial w duchu zbliżonym do „Rojstu", mamy tu przecież i ludzki dramat (w katastrofie zginęło 55 osób), i patologie początków polskiego kapitalizmu (wcześniejsze awarie nie zostały zgłoszone odpowiednim jednostkom, a armator postanowił naprawiać je na bieżąco i na szybko, co mogło mieć wpływ na przebieg i skalę zdarzenia), wreszcie moment umiejscowiony w czasie, który reżyser umie już, jak sądzę, dobrze pokazać (1993 rok). „Wielka woda", poświęcona powodzi stulecia we Wrocławiu, choć niezła, była serialem słabszym niż „Rojst". Może jednak tym razem uda się spełnić oczekiwania. Czekamy. ■

eprasa.pl 7c50a525a9

Małgorzata Matuszak

Czym jest... ontologia radości

Wydaje się, że radość jest doświadczeniem emocjonalnym tak prostym, iż niewiele można o nim powiedzieć, emocją oczywistą i uniwersalną dla wszystkich ludzi na Ziemi, choć same powody do radości mogą być różne. Jeśli jednak przyjrzymy się głębiej pojęciu radości, to widzimy w niej nie tylko stan emocjonalny, lecz – przede wszystkim może – przeżycie duchowe, tak głębokie, iż niejako ustanawia specjalną ontologię człowieka. Widoczne jest to już na poziomie samej etymologii tego słowa w naszym języku.

„Radość" to jedno z najstarszych polskich słów, pochodzące od prasłowiańskiego wyrazu „rad", oznaczającego „chętnie, z ochotą, z własnej woli", „bycie zadowolonym, ukontentowanym, cieszenie się czymś". W dzisiejszej polszczyźnie już prawie nieużywane stwierdzenie „jestem rad" i jego odpowiednik „jestem kontent" zostały zastąpione określeniem „jestem zadowolony", wszystkie one jednak odnoszą się do pojęcia woli – oznaczają „mieć czegoś do woli", „zadowalać się czymś", czyli „mieć pod dostatkiem", nie nazbyt wiele, ale tyle, ile chcemy, i poprzestawać na tym, ile mamy. W tej etymologii zarówno zadowolenia, jak i ukontentowania oraz radości, znajdujemy ich właściwy sens: to stan, gdy mamy czegoś tyle, ile chcemy, i gdy możemy przystać na to, co jest, gdyż jest dokładnie tak, jak chcemy.

W tym miejscu odsłania się ambiwalencja rozumienia słowa „radość". Z jednej strony jest radość stanem ekstatycznym, który uwyraźnia się w wyrażeniach „skakać z radości" czy „nie posiadać się z radości", z drugiej jednak z ekstatycznością tą nie ma nic wspólnego. Radość jest związana z emocjami, ale jednocześnie jest czymś więcej niż emocje, w przeciwnym razie byłaby ulotna niczym emocje, zależna więc od naszego dobrego samopoczucia. W starożytności wyraźnie odróżniano radość od śmiechu i wesołości. Radość była afirmowana jako stała postawa, związana z rozumem i harmonią wewnętrzną, negowana zaś jako nieuporządkowana pasja, naruszająca tę harmonię i stabilność duszy.

Prawdziwa radość nie jest więc niespodziewanym nadmiarem, który wytrąca nas z równowagi, lecz raczej tym, co tę równowagę przywraca i utrzymuje, doświadczeniem wynikającym z tego, że zdarzyło się dokładnie to, czego chcieliśmy i potrzebowaliśmy. Pojęcie radości zawiera więc ograniczenie się do tego, co jest, i akceptację sytuacji, że to, co jest, jest właśnie tym, czym jest.

Dlatego uznać można, że radość ustanawia szczególną ontologię człowieka, w której wychodzi on ku temu, co jest, przystając na to i akceptując. Radość jest przyjęciem tego, co jest, takim, jakie jest, gdyż to właśnie nas zadowala i nie chcemy czegoś ponadto. Być może więc możliwość samego doświadczenia radości wynika z pewnej wcześniejszej ontologicznej zgodności człowieka. Z jednej strony radość jest potwierdzeniem, że świat, będąc poza nami, czasem zgadza się z naszą wolą i odpowiada na nią. Z drugiej strony w otwarciu się woli, w radości, wyraża się afirmacja istnienia. Patrząc w ten sposób na fenomen radości, jawi się ona niemal jako metafizyczna zgoda na istnienie.

Radość wyraża się w przystaniu na świat, na samego siebie i na swój los. Jest więc pewnym poddaniem się biegowi wydarzeń i zawierzeniu, że jest to bieg najlepszy z możliwych. Radość karmi się tym, że uznajemy za dobre to, co się dzieje. Wtedy w absolutnej zgodzie otwieramy się na pełnię naszego bytu. Jest w tym zawsze pewne uznanie, że świat nie może być lepszy, gdyż z wielu możliwych został wybrany i stworzony właśnie taki, który jest najdoskonalszy. To założenie pozwala nam na pogodę ducha i przepełniającą nas radość, najpierw z powodu całego istnienia, a potem z poszczególnych rzeczy, które nas spotykają w trakcie życia. Radości możemy bowiem doświadczać z powodu zarówno rzeczy spodziewanych, jak i niespodziewanych. Jednak to nasza otwartość i uznanie, że to, co przychodzi, jest zgodne z nami, z naszą i Bożą wolą, że jest dla nas dobre, sprawia, że cieszymy się z tego, co jest. Gdy tej zgody na nasz byt w nas nie ma, nie ma też w nas radości. ■

eprasa.pl 7c50a525a9



Hanna Shen

Pekin chce partnerstwa z Putinem i armii gotowej do wojny

eprasa.pl 7c50a525a9



Tegoroczne obrady parlamentu w Chinach to konsolidacja władzy prezydenta Xi Jinpinga, zapowiedź głębszego partnerstwa z Rosją i większych wydatków na armię.

FOT. PAP/Newscom

Co roku na wiosnę w Pekinie zbiera się Ogólnochińskie Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych (OZPL), czyli parlament. Ponad 2 tys. delegatów zatwierdza decyzje kierownictwa Komunistycznej Partii Chin (KPCh). Przedstawiane są także raporty z pracy różnych organów władzy. Wraz z sesją OZPL spotyka się Chińska Ludowa Polityczna Konferencja Konsultatywna (CLPKK) – chiński odpowiednik Frontu Jedności Narodowej, w którego skład wchodzą m.in. przedstawiciele Hongkongu, Makau, mniejszości etnicznych, sportowcy, artyści i naukowcy. I chociaż coroczne sesje parlamentu mają typowo ceremonialny charakter, bo prawdziwą władzę sprawuje KPCh, to jest to jedno z najważniejszych wydarzeń politycznych w Państwie Środka. Ogłaszane tam decyzje lub ich brak rzucają światło na politykę Pekinu i na kierunek, w jakim idą Chiny.

Nic nieznaczący premier

Tegoroczna sesja OZPL różniła się od poprzednich tym, że po jej zakończeniu nie odbyła się konferencja prasowa premiera Chin, Li Qianga. To do tej pory było to ważne wydarzenie, bo stanowiło rzadki przypadek możliwości interakcji prasy z przedstawicielem chińskiego rządu. To była także szansa dla inwestorów, by usłyszeć, w jakim kierunku będzie zmierzać polityka władz. Odwołanie konferencji w momencie, gdy Pekin próbuje przekonać świat, że chińska gospodarka zmagająca się z kryzysem ma się dobrze i gdy rośnie napięcie z USA, wywołało niemałe zdziwienie.

W wypowiedzi dla tajwańskich mediów Hu Ping, chiński uczony mieszkający w Stanach Zjednoczonych i wydawca pisma „Pekińska wiosna", stwierdził, że rezygnacja z wystąpienia Li Qianga oznacza obniżenie statusu premiera i zmniejszenie stopnia jawności sesji parlamentu. Podobnie myśli Lai Jianping, były chiński prawnik, a obecnie komentator polityczny mieszkający w Kanadzie. „Odwołanie konferencji prasowej premiera jest równoznaczne z pozbawieniem go prawa do wypowiadania się. Chociaż Li Qiang w chwili objęcia urzędu oświadczył, że Rada Państwa [czyli rząd – przyp. H.S.] jest lojalnym organem wykonawczym partii, jej status polityczny uległ obecnie dalszemu obniżeniu i stała się ona wasalem władzy partyjnej" – powiedział Lai amerykańskiej gazecie „Epoch Times".

Nawet przedstawiony na sesji parlamentu raport z prac rządu nie został przygotowany przez Li, lecz według bezpośrednich dyrektyw prezydenta Xi Jinpinga. „Li Qiang mógł jedynie wyrecytować to, co mu kazano, zamiast wyrażać własne myśli. Komitet Centralny Partii podyktował treść jego przemówienia,

eprasa.pl 7650a525a9

a on może nawet nie w pełni rozumiał jego znaczenie" – twierdzi Lai Jianping.

Li Qiang całkowicie podporządkował się Xi Jinpingowi, co różni go od poprzednika zmarłego w październiku ubiegłego roku Li Keqianga. O Li Keqiangu mówiło się, że na spotkaniach wierchuszki partyjnej często wyrażał sprzeciw wobec polityki Xi. Ale nie tylko za zamkniętymi drzwiami. W 2020 roku tuż przed publikacją w wydawanym przez Centralną Szkołę Partyjną KPCh magazynie „Qiushi" artykułu Xi Jinpinga o „wzmocnieniu słabych obszarów w procesie budowania średnio zamożnego społeczeństwa", Li publicznie pokazał, jak słabe są te obszary za rządów Xi, stwierdzając, że 600 mln Chińczyków ma miesięczny dochód w wysokości około 1000 juanów (wówczas w przeliczeniu było to ok. 138 dol.).

Cała władza dla Xi

Zerwaniem z tradycją sesji OZPL był w tym roku także brak przemówienia prezydenta Xi Jinpinga pod koniec obrad. Mówi się, że Xi nie wystąpił, bo nie musiał. Parlament potwierdził, że i tak wszystko kręci się wokół niego. Około 99 proc. zebranych na sesji delegatów głosowało za przyjęciem nowelizacji ustawy organicznej regulującej funkcjonowanie Rady Państwa. Poprawka zakłada, że rząd jest zobowiązany „utrzymać w mocy przywództwo Komunistycznej Partii Chin", a także kierować się Myślą Xi Jinpinga uznającą władzę Komitetu Centralnego KPCh. Ta decyzja to ograniczenie władzy rządu do wykonywania wyłącznie partyjnych dyrektyw, obrona władzy scentralizowanego i zjednoczonego przywództwa KPCh oraz potwierdzenie wzmocnienia i tak już silnej władzy obecnego prezydenta Chin.

W latach 80. KPCh wprowadziła kolektywne przywództwo i rozdział partii od rządu, co dało Radzie Państwa znaczącą autonomię i wpływ. Xi Jinping wraca jednak do stylu rządzenia Mao Zedonga – cała władza jest w rękach partii, a cała partia jest w rękach jej lidera.

Według Sheng Xue, chińskiej dziennikarki i dysydentki mieszkającej w Kanadzie, zmiana ustawy o Radzie Państwa to dowód na to, że władza Xi Jinpinga osiągnęła „skrajnie patologiczny poziom", bo wszystko i w partii, i w rządzie zależy od jego decyzji. Lai Jianping, uważa, że modyfikacja ustawy sprawia, że rząd i jego premier stali się „sługami Xi Jinpinga", mającymi chronić jego dyktaturę.

Alternatywna rzeczywistość KPCh

Rządy Xi Jipinga przyniosły ponad 40-proc. bezrobocie wśród młodych, duże spadki na giełdzie i kryzys na rynku nieruchomości. Seria czystek w rządzie i wojsku, które miały miejsce w ubiegłym roku, tylko potwierdzają, że KPCh i jej lider Xi Jinping nie radzą sobie z wyzwaniami, jakie przed nimi stoją.

Ale to nie obraz Chin i partii, jaki zaprezentowano podczas tegorocznej sesji parlamentu. W raporcie z prac rządu odczytanym przez premiera Li Qianga stwierdzono, że Chiny „stoją w obliczu strategicznych szans i wyzwań, a sprzyjające warunki przeważają nad niekorzystnymi". Przyznano, że ze względu na presję geopolityczną słaby popyt zewnętrzny oraz wiele wewnętrznych wyzwań gospodarczych sytuacja nie jest łatwa, lecz zaraz dodano, że te same wyzwania nie przeszkodziły Chinom w osiągnięciu w ubiegłym roku solidnego wzrostu gospodarczego na poziomie 5,2 proc. Li Qiang zapowiedział, że w 2024 roku wzrost powinien wynieść około 5 proc. Tylko że to alternatywna rzeczywistość. Według firmy analitycznej Rhodium Group prawdziwa stopa wzrostu w Chinach w 2023 roku nie wynosiła więcej niż 1,5 proc., i raczej trudno oczekiwać, by w tym roku było lepiej. Potwierdza to w wypowiedzi dla Bloomberg Television Sharmin Mossavar-Rahmani, dyrektor inwestycyjna Goldman Sachs ISG. Nie wierzy ona w chińskie dane mówiące o ponad 5-proc. wzroście w ubiegłym roku. Uważa, że był on „w rzeczywistości znacznie słabszy". Mossavar-Rahmani wątpi także, by oficjalnych dane dotyczące rozwoju gospodarczego Chin w 2024 roku były realistyczne.

Więcej na armię

Trudności gospodarcze nie powstrzymują KPCh od zwiększania budżetu na armię. To podczas sesji OZPL ogłoszono największy od pięciu lat wzrost wydatków na wojsko. W tym roku Pekin zamierza zwiększyć fundusze przeznaczane na zbrojenie o kolejne 7,2 proc. Oznacza to, że na wojsko KPCh planuje przeznaczyć równowartość 231 mld dolarów.

Yao Cheng, były podpułkownik chińskiej marynarki wojennej mieszkający obecnie w Stanach Zjednoczonych, stwierdził w programie „Pinnacle View" w amerykańskiej stacji NTD, że zapowiedziane wydatki na wojsko to głównie koszty operacyjne sił zbrojnych. W rzeczywistości budżet obronny Chin jest znacznie wyższy i wiąże się z dwoma dodatkowymi wydatkami.„Jednym z dodatkowych wydatków nieuwzględnionych w budżecie jest udzielanie pomocy wojskowej innym krajom, na przykład wsparcie zbrojeniowe dla Iranu, Korei Północnej i Rosji" – powiedział Yao. Pozostałe wydatki obejmują chińską policję paramilitarną, Ludową Policję Zbrojną, liczącą ponad 1 mln członków, ponad 5 tys. prowincjonalnych okręgów i podokręgów wojskowych oraz 8 mln rezerwi-

eprasa.pl 7c50a525a9

stów. To także część chińskich sił zbrojnych. Według Yao te trzy wydatki łącznie powinny w 2024 roku wynieść 5 bln juanów, czyli równowartość prawie 700 mld dolarów. A to już kwota zbliżona do amerykańskich wydatków na obronność (w tym roku USA wyda na armię około 900 mld dolarów).

Li Jun, chiński niezależny producent telewizyjny mieszkający w Stanach Zjednoczonych, w wypowiedzi dla „Pinnacle View" stwierdził, że historycznie rzecz biorąc chińskie wydatki na wojsko zwykle rosły wraz z pogorszeniem się gospodarki i wzrostem niestabilności społecznej. W latach 50. wydatki Chin na armię stanowiły od 50 do 60 proc. PKB. Podobnie było w czasie rewolucji kulturalnej. Wydatki wojskowe Chin zostały znacząco obniżone w 1978 roku, kiedy KPCh wprowadziło politykę „reform i otwarcia" mającą na celu rozwój gospodarki. Teraz w okresie niestabilności gospodarczej i pogłębiającego się niezadowolenia społecznego Xi Jinping musi zadbać o morale wojskowe. „Jeśli teraz ciałby wydatki na wojsko, to może ono pomyśleć, że w przyszłości także nie będzie wystarczającej ilości pieniędzy, co może być szkodliwe dla samego Xi Jinpinga" – uważa Lin.

Ale główna przyczyna zwiększonych wydatków na armię jest zewnętrzna. Chiny dążą do utrzymania silnej pozycji militarnej na Morzu Południowochińskim i w Cieśninie Tajwańskiej. Chociaż Pekin cały czas twierdzi, że opowiada się za osiągnięciem zjednoczenia z Tajwanem środkami pokojowymi, to rozpoczął intensywną kampanię modernizacji armii, a przygotowanie do wojny w Cieśninie Tajwańskiej jest teraz głównym priorytetem Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW). Dyrektor CIA William Burns przyznał, że Stany Zjednoczone mają informacje ze źródeł wywiadowczych, iż Xi Jinping nakazał ChALW przygotować się do inwazji na Tajwan do 2027 roku.

Razem z Rosją przeciw Zachodowi

Przemawiając podczas tegorocznej sesji parlamentu chiński minister spraw zagranicznych Wang Yi zapowiedział pogłębienie stosunków z Rosją. Deklaracja ta padła mniej więcej w 11. rocznicę pierwszego spotkania Xi Jinpinga z Putinem. To już wtedy przywódca ChRL nazwał Putina dobrym przyjacielem. Także wówczas obaj przywódcy stwierdzili, że zaczyna się okres specjalnych relacji rosyjsko-chińskich. Dziewięć lat później, kilka dni przed napaścią Rosji na Ukrainę, podczas kolejnego spotkania Xi i Putina, obaj prezydenci ogłosili, że stosunki pomiędzy ich krajami przybrały formę „partnerstwa bez granic". Partnerstwa, którego nie zachwiała wojna. ChRL nie potępiło działań Putina, a na arenie międzynarodowej opowiada się przeciwko sankcjom nałożonym na Rosję.

Podczas tegorocznej sesji OZPL Wang Yi wychwalał solidne więzi handlowe między Moskwą a Pekinem. W 2023 roku dwustronna wymiana handlowa między Chinami a Rosją osiągnęła w rekordową wartość 240 mld dolarów. Wang zauważył, że podczas gdy rosyjski gaz trafia do chińskich gospodarstw domowych, to chińskie samochody jeżdżą po rosyjskich drogach. W ubiegłym roku Chiny sprzedały do Rosji ponad 840 tys. pojazdów, co czyni ją głównym rynkiem eksportowym dla chińskich producentów samochodów. Ogólny eksport do Rosji wzrósł o 54 proc. w porównaniu z 2022 rokiem. Wang Yi stwierdził też, że utrzymanie i rozwój stosunków z Rosją to „strategiczny wybór" Chin oparty na ich podstawowych interesach.

To wystąpienie chińskiego ministra spraw zagranicznych było kolejnym wyrazem poparcia Pekinu dla reżimu Putina. Następny gest poparcia przyszedł kilka dni później, gdy Xi Jinping pogratulował Putinowi zwycięstwa w wyborach prezydenckich. „Wierzę, że pod pańskim przywództwem Rosja odniesie większe osiągnięcia w rozwoju i budowie kraju" – powiedział Xi w rozmowie telefonicznej rosyjskiemu zbrodniarzowi. Chiński prezydent podkreślił też, że Pekin przywiązuje wielką wagę do rozwoju stosunków z Moskwą i że Chiny są gotowe utrzymać bliską komunikację z Rosją „w celu promowania trwałego, zdrowego, stabilnego i dogłębnego rozwijania wszechstronnego strategicznego partnerstwa Chiny–Rosja w nowej erze", a współpraca ta „przyniesie korzyści obu krajom i ich obywatelom".

Główny cel owej współpracy ChRL z Federacją Rosyjską opisał w marcu ubiegłego roku podczas wizyty w Moskwie prezydent Xi. „Nadchodzi zmiana, której nie było od 100 lat, i razem jesteśmy jej motorem," – powiedział wtedy Putinowi. Była to jasna deklaracja, że Chiny i Rosja muszą zacieśniać relacje, by tworzyć antyzachodni blok, który zachwieje fundamentami obecnego porządku międzynarodowego.

Podczas sesji chińskiego parlamentu Wang Yi wzywał także do rozmów pokojowych, aby uniknąć „nieprawdopodobnej" eskalacji i pogorszenia konfliktu. Choć Pekin deklaruje neutralność w konflikcie na Ukrainie, to wsparcie gospodarcze i polityczne dla Rosji tej postawie przeczy. Cały też czas Pekin testuje gotowość Zachodu do kompromisu z Moskwą. W tym samym czasie, gdy szef chińskiego MSZ przemawiał podczas sesji OZPL, Pekin wysłał do Europy swojego przedstawiciela, który miał wybadać w Warszawie, Berlinie i Brukseli, czy przedłużająca się wojna nie wpłynęła na zmianę stanowiska europejskich stolic i czy kompromis z Putinem jest teraz możliwy. A rezultatem tego promowanego przez Pekin kompromisu ma być m.in. stworzenie nowej architektury w Europie, a to oznacza osłabienie NATO i poróżnienie USA z Unią Europejską. ■

eprasa.pl 7c50a525a9

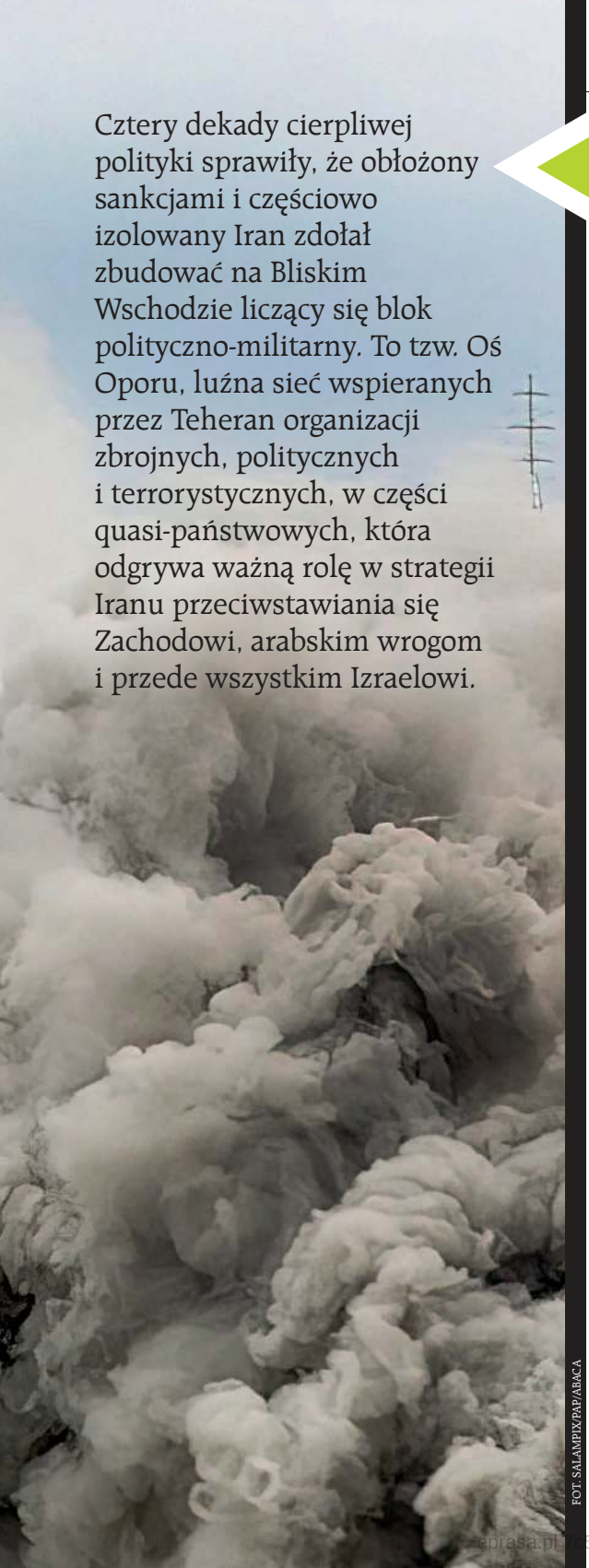


Antoni Rybczyński

Przypadek Osi Oporu, czyli Iran wcale nie jest władcą marionetek

eprasa.pl.7c50a525a9

Cztery dekady cierpliwej polityki sprawiły, że obłożony sankcjami i częściowo izolowany Iran zdołał zbudować na Bliskim Wschodzie liczący się blok polityczno-militarny. To tzw. Oś Oporu, luźna sieć wspieranych przez Teheran organizacji zbrojnych, politycznych i terrorystycznych, w części quasi-państwowych, która odgrywa ważną rolę w strategii Iranu przeciwstawiania się Zachodowi, arabskim wrogom i przede wszystkim Izraelowi.



FOT. SALAMPIX/PAP/ABACA

Polityka zagraniczna Iranu przez prawie pięć dekad od rewolucji w 1979 roku ma kilka kluczowych celów. Iran chce usunąć Stany Zjednoczone z Bliskiego Wschodu i zastąpić je w roli gwaranta regionalnego bezpieczeństwa. Stąd ataki szyickich milicji i formacji w Iraku i Syrii na amerykańskie bazy w tych krajach. Iran chce wziąć górę nad tradycyjnym rywalem o dominację na Bliskim Wschodzie, sunnicką Arabią Saudyjską. Proxy war w Jemenie czy intrygi w Bahrajnie. Wreszcie, Iran chce zniszczyć Izrael, stąd wsparcie dla sunnickich Palestyńczyków, ale nade wszystko Hezbollahu. Od 1979 roku, kiedy to rewolucja powołała do życia Islamską Republikę Iranu, Teheran dąży do eksportu swojej marki teokracji, jednocześnie łącząc z ideologią cele geopolityczne. Dlatego próbuje przedstawić swoją walkę z Zachodem i nienawiść do Izraela jako panislamską, unikając podkreślania różnic między dwoma głównymi nurtami w religii muzułmańskiej. Największym chyba wyzwaniem dla takiej strategii była sytuacja w sąsiednim Iraku, gdzie po upadku Saddama Husajna doszło do krwawych konfliktów między szyicką większością dyskryminowaną za czasów reżimu a sunnicką mniejszością rządzącą w Bagdadzie. Szyitów zdecydowanie wspierał Iran, destabilizując Irak okupowany przez Amerykanów. W ostatnich latach napięcia sekciarskie w Iraku jednak spadły w następstwie wojny z ISIS.

Cztery dekady cierpliwej polityki sprawiły, że obłożony sankcjami i częściowo izolowany Iran zdołał zbudować na Bliskim Wschodzie liczący się blok polityczno-militarny. To tzw. Oś Oporu, luźna sieć wspieranych przez Teheran organizacji zbrojnych, politycznych i terrorystycznych, w części quasi-państwowych, która odgrywa ważną rolę w strategii Iranu przeciwstawiania się Zachodowi, arabskim wrogom i przede wszystkim Izraelowi. Tworzą oni tzw. szyicki półksiężyc, który widać dobrze na mapie Bliskiego Wschodu. Zaczyna się oczywiście w Iranie, przechodzi przez Irak (szyickie milicje, proirański rząd), Syrię (alawicki reżim Asada i liczne szyickie formacje, choćby złożone z Pakistańczyków i Afgańczyków) i sięga Libanu, którego udzielnym władcą jest szyicki Hezbollah. Do tego dodać należy pozostałych sojuszników Teheranu. To sunnickie palestyńskie organizacje w rodzaju Hamasu czy Islamskiego Dżihadu, jak też rebelianci Huti w Jemenie wyznający zajdyzm, bliższy szyitom niż sunnitom.

Długofalowa strategia Iranu

Iran utrzymuje obecnie, że około tuzina oddzielnych grup wchodzących w skład osi działa niezależnie. Poziom wpływu Teheranu na każdego z człon-

ebrasa.pl/7650a525a9

ków jest różny. Jednak cele każdej z grup są zasadniczo zbieżne z celami strategicznymi Iranu, co zdaniem ekspertów sprawia, że bezpośrednia kontrola nie jest konieczna. Iran i Oś Oporu zasadniczo przedstawiają się jako przeciwwaga dla dominującego przez wiele dekad na Bliskim Wschodzie głównie sunnickiego, wspieranego przez Zachód porządku politycznego. Cała ta sieć, aktywna w Strefie Gazy, Libanie, Iraku, Syrii i Jemenie, pozwala Iranowi siać chaos na terytorium wroga, jednocześnie oficjalnie zaprzeczając swemu udziałowi. To strategia, która sięga czasów poprzedzających rewolucję islamską w 1979 roku, ale została udoskonalona przez Siły Quds, elitarne zagraniczne ramię irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC).

Siły Quds są w dużej mierze odpowiedzialne za zapewnianie szkoleń, dostarczanie broni i pieniędzy, wreszcie służenie doradcami wojskowymi członkom Osi Oporu. Legendarnym dowódcą Sił Quds był gen. Qasem Soleimani, który zginął w ataku amerykańskiego drona w Bagdadzie w styczniu 2020 roku. Jego miejsce zajął wieloletni zastępca Ismail Qaani, który zdobył duże doświadczenie w organizowaniu i wspieraniu grup powstańczych w Afganistanie. Islamska Republika Iranu wydaje setki milionów dolarów rocznie na wspieranie swych proxies. Obłożony surowymi sankcjami reżim nie jest skąpy. Aby finansować swoich protegowanych, Iran zbudował cały system względnie legalnych, półlegalnych i całkiem nielegalnych struktur, które niezależnie od tego, co dzieje się z budżetem państwa, będą zarabiać pieniądze i przekazywać je sojusznikom reżimu. Niektóre z tych struktur istnieją od dziesięcioleci, a niektóre pojawiły się dopiero niedawno. Rząd USA zidentyfikował nawet oficerów Quds Force, którzy dostarczają pieniądze i broń Hezbollahowi, Hamasowi i podobnym grupom. Pieniądze są przywożone w gotówce i złocie, przelewane na rachunki w bankach na Bliskim Wschodzie i wysyłane do portfeli kryptowalutowych. IRGC wykorzystuje każdą dostępną obecnie metodę finansowania swoich klientów. Otrzymuje pieniądze na ten cel zarówno z budżetu obronnego, jak i z innych źródeł.

Od czasu rewolucji islamskiej w 1979 roku Iran odgrywał kluczową rolę w tworzeniu niektórych grup należących do Osi Oporu. Inni członkowie zostali dokooptowani przez Teheran na przestrzeni lat. Od samego początku Soleimani dążył do stworzenia elastycznej sieci, w której każda część składowa osi była samowystarczalna. Chociaż szkolenie i amunicja mogły pochodzić z Iranu, od każdej jednostki oczekiwano opanowania i wdrożenia taktyki, technologii i uzbrojenia. Tak naprawdę o zdominowanej przez Iran koalicji regionalnych grup można mówić dopiero od dwóch dekad, od inwazji USA na Irak. Głównym celem było wtedy storpedowanie amerykańskich planów okupacji Iraku. W tym celu Teheran i Hezbollah z powodzeniem stworzyły lokalne milicje, które walczyły z wojskami amerykańskimi.

Następnie, po tym jak ISIS przejęło kontrolę nad dużymi częściami Iraku i Syrii w 2014 roku, podobne milicje zostały utworzone w celu zwalczania tych sekciarskich sił, które zagrażały zarówno reżimowi Asada w Syrii, jak i szyickiej kontroli nad Irakiem. To właśnie wojna domowa w Syrii stała się punktem zwrotnym dla Osi Oporu, ponieważ Iran, Hezbollah i szyickie milicje w Iraku i Syrii walczyły przeciwko wspólnemu wrogowi. W tym czasie Iran wzmocnił swoje więzi z jemeńskimi rebeliantami Huti, włączając ich do rozwijającej się Osi Oporu. W ciągu ostatniej dekady Iran i Hezbollah rozmieściły zaawansowane systemy rakietowe i drony w Strefie Gazy, Iraku, Syrii i Jemenie. Przeszkoliły również Hamas i Huti w zakresie budowy własnego uzbrojenia. Następca Soleimaniego, Esmail Qaani, oparł się na dziedzictwie poprzednika i jeszcze bardziej zdecentralizował oś, w coraz większym stopniu przekazując podejmowanie decyzji taktycznych i operacyjnych lokalnym jednostkom i ich dowódcom.

▶ Dwa filary Osi Oporu

Niewątpliwie najbardziej znaczącym – obok Iranu oczywiście – ogniwem Osi Oporu jest Partia Boga. Hezbollah powstał w 1982 roku przy walnym udziale Iranu, gdy do pogrążonego w wojnie domowej od kilku lat Libanu wkroczyła armia izraelska. Od momentu powstania, Hezbollah otrzymywał znaczącą pomoc finansową i polityczną od Iranu. To sprawiło, że grupa stała się główną siłą polityczną i militarną w Libanie. Departament Stanu USA w 2010 roku opisał Hezbollah jako „najbardziej technicznie zdolną grupę terrorystyczną na świecie". Ten model IRGC próbował później powielać w innych krajach regionu.

W swoim manifeście z 1985 roku Hezbollah obiecał wypędzić zachodnie mocarstwa z Libanu, wezwał do zniszczenia państwa Izrael i zobowiązał się do wierności najwyższemu przywódcy Iranu. Zwycięstwo grupy w wymuszeniu wycofania się Izraela z południowego Libanu w 2000 roku pomogło Hezbollahowi przyciągnąć palestyńskie frakcje, grupy lewicowe i libańskie odgałęzienia Bractwa Muzułmańskiego jako sojuszników. Później była wojna z Izraelem w 2006 roku, w której Hezbollah nie dał się pokonać. Kierowany przez Hassana Nasrallaha, nawiązał bliskie stosunki z innymi irańskimi sojusznikami i wspieranymi przez Teheran grupami bojowników, pomagając w szkoleniu i uzbrajaniu ich bojowników. „Nigdy nie

eprasa.pl 7c50a525a9

ukrywaliśmy, że cały budżet Hezbollahu, wszystkie nasze dochody i wydatki, wszystkie rzeczy, które jemy i pijemy, cała broń i wszystkie pociski pochodzą z Islamskiej Republiki Iranu" – powiedział w 2016 roku szejk Nasrallah. Dokładna kwota, jaką Hezbollah otrzymuje od Teheranu, nie jest łatwa do oszacowania. Wszystkie te pieniądze pozostają w cieniu, a analitycy muszą polegać na danych pośrednich, przeciekach, a nawet spekulacjach. Najczęściej mówi się o 700 mln dolarów rocznie. Hezbollah ma dziś 40–45 tys. bojowników.

Drugim filarem Osi Oporu i szyickiego półksiężyca jest Irak, a dokładniej szereg szyickich milicji w tym kraju. Ich pojawienie się w następstwie inwazji w 2003 roku było odpowiedzią na pustkę bezpieczeństwa, zgodną z interesami Iranu. Prawdziwym architektem sieci zbrojnych grup lojalnej wobec Teheranu był generał Soleimani, szef Sił Quds IRGC. Gdy zginął w styczniu 2020 roku w ataku amerykańskiego drona, wraz z nim z życiem pożegnał się Abu Mahdi al-Muhandis, zastępca szefa Sił Mobilizacji Ludowej (PMF), koalicji szyickich grup zbrojnych wspieranych przez Iran. Muhandis był również przywódcą Kata'ib Hizballah, organizacji założonej w 2007 roku, jednego z najpotężniejszych członków PMF (30 tys. bojowników). Inne znaczące grupy w tej koalicji to Organizacja Badr (30 tys. bojowników), Asa'ib Ahl al-Haq (15 tys. bojowników), Harakat al-Nujaba i Kata'ib Seyyed al-Shuhada.

PMF została założona w 2014 roku, kiedy iracki przywódca religijny szyitów, Wielki Ajatollah Ali al-Sistani, wydał fatwę wzywającą Irakijczyków do obrony swojego kraju po tym, jak armia iracka upadła, a Państwo Islamskie zajęło północną prowincję Mosul. W 2018 roku PMF zostały włączone do irackich sił zbrojnych jako siły pomocnicze. W tym samym roku polityczne skrzydło PMF wzięło udział w wyborach w Iraku, zajmując w nich drugie miejsce. Po śmierci Soleimaniego i al-Muhandisa, irackie milicje szyitów zapewniły sobie większą autonomię od Teheranu. Część ze wspieranych przez Iran grup tworzących PMF jest również częścią tak zwanego Islamskiego Ruchu Oporu w Iraku, który zyskał na znaczeniu w listopadzie 2023 roku. Grupa ta była odpowiedzialna za przeprowadzenie wielu ataków na wojska amerykańskie w Iraku i Syrii od czasu rozpoczęcia przez Izrael wojny z Hamasem w Strefie Gazy.

Nie tylko szyici

Elementem łączącym Irak z jego szyickimi milicjami z Libanem i Hezbollahem jest Syria. To jedyny, obok Iranu, podmiot państwowy wchodzący w skład Osi Oporu. Trwający od dziesięcioleci sojusz Teheranu z Damaszkiem zaczynał się kilka dekad temu. Iran nawiązał kontakty z prezydentem Hafezem Asadem, który doszedł do władzy w wyniku zamachu stanu w 1970 roku Asadowie należą do sekty alawitów, która jest odłamem szyizmu. Damaszek wspierał Teheran podczas wyniszczającej wojny irańsko-irackiej w latach 1980–1988. Kiedy rządy Asada zostały zakwestionowane podczas syryjskiej wojny domowej, IRGC wkroczył do walki w 2013 roku, aby zapewnić mu utrzymanie władzy. W Syrii przebywają setki dowódców i oficerów IRGC, których Iran określa mianem doradców wojskowych.

Teheran zbudował również w Syrii dużą sieć milicji, składającą się głównie z obcokrajowców. Brygada Fatemiyun, składająca się z 15 tys. afgańskich bojowników, oraz Brygada Zainabiyun, składająca się z 5 tys. pakistańskich bojowników, to zasadniczo jednostki IRGC, znajdujące się pod bezpośrednią kontrolą Iranu. Są jeszcze inne zbrojne formacje, jak Liwa al-Quds, Hezbollah al-Nujaba, Liwa al-Baqir czy Kata'ib al-Imam Ali. Te milicje odegrały kluczową rolę w zwalczaniu grup rebeliantów przeciwnych Asadowi. W 2021 roku najwyższy przywódca Iranu, ajatollah Ali Chamenei, szacował, że IRGC utworzył 82 jednostki bojowe w Syrii, liczące do 70 tys. bojowników. Głównymi celami Iranu w Syrii jest utrzymanie reżimu Asada u władzy, maksymalizacja irańskich wpływów, ochrona mniejszości szyickich oraz zmniejszenie i – jeśli to możliwe – wyeliminowanie obecności USA w Syrii. Celem Iranu jest również stworzenie warunków do ewentualnego okrążenia Izraela poprzez zajęcie strategicznej pozycji wokół wzgórz Golan.

Huti w Jemenie reprezentują mniejszość zajdycką – to odłam szyickiej wersji islamu. Huti od lat 80. XX wieku ścierali się z większością sunnicką i zwalczali wpływy sąsiedniej Arabii Saudyjskiej. To uczyniło z nich naturalnego sojusznika Iranu, gdy w 2014 roku w Jemenie wybuchła wojna domowa. Mając wsparcie – głównie broń i doradcy – Iranu, Huti odparli ataki międzynarodowej sunnickiej koalicji. Dziś kontrolują północno-zachodnią część kraju, w tym stolicę, Sanę. Mają chyba największą autonomię wobec Teheranu w całej Osi Oporu. Odkąd Izrael rozpoczął wojnę w Strefie Gazy, Huti atakują międzynarodową żeglugę handlową na Morzu Czerwonym. Szacuje się, że liczą około 30 tys. bojowników.

Liczebnie podobnie prezentował się jeszcze parę miesięcy temu palestyński Hamas, ale pod względem bitności to nie jest to samo, co Huti. Założony w 1987 roku podczas pierwszej palestyńskiej intifady, Hamas jest pochodną palestyńskiego ramienia Bractwa Muzułmańskiego, islamistycznej organizacji politycznej założonej w Egipcie w latach dwudziestych XX wieku. Przez lata Iran zapewniał ograniczone wsparcie mate-

eprasa.pl 7c50a525a9

rialne Hamasowi. Zwiększył swoje wsparcie finansowe i militarne dla palestyńskiego ugrupowania po tym, jak w 2007 roku zdobyło ono władzę w Strefie Gazy. Kiedy w październiku 2023 roku bojownicy Hamasu przeprowadzili atak na Izrael, w którym zginęło około 1200 osób, głównie cywilów, Iran zaprzeczył, jakoby był zaangażowany w planowanie ataku. Do Osi Oporu należy też Palestyński Islamski Dżihad (PIJ). Założona w 1981 roku sunnicka grupa bojowników została zainspirowana irańską rewolucją islamską. Obecnie nie ma palestyńskiej organizacji terrorystycznej, która byłaby bliżej Iranu niż Palestyński Islamski Dżihad.

Pierwsza wojna Osi Oporu

Siłę Osi Oporu pokazały wydarzenia na Bliskim Wschodzie po wybuchu wojny Hamasu z Izraelem w październiku 2023 roku. To wszystko, co budował cierpliwie Iran rękami Sił Quds przed kilka dekad, w ostatnich miesiącach przełożyło się na działania wojenne prowadzone przez grupy powiązane z IRGC przeciwko celom izraelskim i amerykańskim w Lewancie. Z kolei Huti próbują zablokować kluczowy globalny szlak morski przez Morze Czerwone. W Iraku grupy bojowników nasiliły ataki na amerykańskie instalacje wojskowe w tym kraju – choć gdy po stronie USA pojawili się zabici, zdecydowany zbrojny odwet Amerykanów zatrzymał na jakiś czas aktywność sojuszników Teheranu. W Libanie z kolei potężny Hezbollah podsyca konflikt graniczny z Izraelem. Pentagon stara się nie atakować bezpośrednio samego Iranu, ale celuje w grupy wspierane przez Iran, które przeprowadzały naloty na amerykańskie aktywa wojskowe w regionie od czasu, gdy Hamas rozpoczął atak na Izrael 7 października.

Chociaż Hamas zaplanował i przeprowadził ten atak, to Iran i Hezbollah były w dużej mierze odpowiedzialne za zwiększenie możliwości palestyńskich terrorystów. Rzeczywiście, jak pokazuje szereg spotkań w Bejrucie, w których uczestniczyli wysocy rangą przywódcy Hamasu, Hezbollahu, Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu, IRGC oraz Huti i irackich milicji przed atakiem, członkowie Osi Oporu prawdopodobnie wiedzieli o planach Hamasu i wspierali je. Wynik ataku Hamasu, skala i zaciekłość odpowiedzi Izraela, katastrofa humanitarna, która nastąpiła, oraz zakres uwagi świata były nieoczekiwane. Hamas i jego sojusznicy nie spodziewali się, że atak z 7 października będzie tak udany, zamiast tego prawdopodobnie przewidywali szybki atak na Izrael, który zakończyłby się szybko i przy ograniczonej liczbie ofiar i zakładników. Izrael zaatakowałby wówczas Strefę Gazy, ale nie z takim rozmachem i niszczycielską zaciekłością, jaką rozpętał. Sukces ataku Hamasu i skala reakcji Izraela oszołomiły Oś Oporu, która w rezultacie zmieniła swoje cele i strategię.

Chociaż ani Iran, ani Hezbollah nie chcą szerszej wojny regionalnej, to jednak ich celem są zarówno siły izraelskie, jak i amerykańskie. Huti włączyli się do walki, zakłócając żeglugę na Morzu Czerwonym. Zrobili to, by pokazać wsparcie dla Palestyńczyków, ale także by powstrzymać Stany Zjednoczone i Izrael przed rozszerzeniem wojny na Liban, pokazując gotowość członków Osi Oporu do walki. Wszyscy pozostali członkowie Osi Oporu są zamieszani w wojnę Hamasu i Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu. To jeszcze bardziej wzmacnia więzi wewnątrz osi. Teraz wszyscy zależą od siebie nawzajem i wspólnym celem jest zapobieżenie wyraźnemu zwycięstwu Izraela w Gazie.

Zachód postrzega Teheran jako mózg Osi Oporu. Rzeczywiście, irańscy Strażnicy Rewolucji zapewnili członkom koalicji śmiercionośny potencjał wojskowy i wsparcie koordynacyjne. Teheran nie jest jednak władcą marionetek. Wykorzystuje fakt, że większość celów jego partnerów, sojuszników, pełnomocników ma zbieżne cele z celami Iranu. Na przykład Hezbollah kieruje się chęcią ochrony południowego Libanu przed ambicjami Izraela, które rzekomo obejmują również terytoria Syrii i Jordanii. Szyickie milicje w Iraku koncentrują się na pozbyciu się sił amerykańskich z kraju, a także na dokończeniu konfliktu domowego z sunnitami w kraju. Huti chcą umocnić władzę nad częścią Jemenu i być kimś bardziej znaczącym w Osi Oporu. Jak ujął to szejk Nasrallah, różne grupy jednoczy fakt, że czy to Libańczycy, Palestyńczycy, czy Jemeńczycy, mają do czynienia z tymi samymi problemami i tym samym wrogiem. Oznacza to, że to, co dzieje się na jednym terytorium, ma bezpośrednie znaczenie dla innych. Członkowie osi wierzą, że wszyscy toczą tę samą wojnę przeciwko Izraelowi i pośrednio Stanom Zjednoczonym. Wojna w Strefie Gazy dała Osi Oporu największą jak dotąd okazję do przeprowadzenia ataku na Zachód. Zaznaczyła swoją obecność w regionie działaniami zbrojnymi, a na całym świecie komunikacyjnie. Wojna między Izraelem a Hamasem zmieniła sytuację na Bliskim Wschodzie: wzbudziła ogromny gniew w świecie islamu, może podsycić ekstremizm. Dla liderów regionu, nawet tych, których Waszyngton uważa za sojuszników, wojna zmieniła fundamentalne założenia dotyczące ich własnego bezpieczeństwa i relacji z Zachodem. USA nie są w stanie pokonać Osi Oporu. Jedynym sposobem na neutralizację jej agresywnych działań jest zakończenie wojny w Strefie Gazy i wynegocjowanie rozwiązania kwestii izraelsko-palestyńskiej. Ale nawet to nie musi oznaczać końca irańskiej strategii wykorzystywania Osi Oporu do destabilizacji Bliskiego Wschodu. ■

eprasa.pl 7c50a525a9

Ryszard Czarnecki

Świat po wojnie

Nie wiemy, kiedy zakończy się wojna w Europie Wschodniej. Nie wiemy też, na jakich warunkach. Nie wiemy również, jaka będzie formuła formalno-prawna tego, co nastąpi „The day after" („Jeden dzień po"), by użyć tytułu amerykańskiego filmu przedstawiającego świat po wielkiej katastrofie nuklearnej. Jednak jedno jest pewne: trzeba dziś myśleć, jaka będzie sytuacja geopolityczna po wojnie Rosji z Ukrainą, która później raczej niż wcześniej, ale w końcu się zakończy.

Oczywiście ważne jest kiedy, bo to również będzie determinować geopolityczną mapę wpływów. Wyraźnie widać, że Moskwa gra na czas. Z jednej strony chce wykrwawić i maksymalnie osłabić gospodarczo Ukrainę, z drugiej jednocześnie gra na coraz większych tam konfliktach wewnętrznych, chciałaby również zneutralizować postępującą westernizację Kijowa.

Gdy chodzi o okres nowego powojennego rozdania geopolitycznego, to zapewne zakończenie „konfliktu" – jak nazywają napaść Rosji na naszego wschodniego sąsiada przedstawiciele państw za wszelką cenę chcących być krajami neutralnymi – nastąpi po wyborach w USA, a więc w roku 2025. Będzie to współgrało ze skupieniem się polityki Waszyngtonu w większym stopniu na Azji, kosztem Europy – i to, uwaga, niezależnie od tego, kto będzie prezydentem.

Przejdźmy jednak do tego, co będzie po przerwaniu działań wojennych za naszą wschodnią granicą. Umyślnie używam tego sformułowania, a nie pojęcia „pokój", bo na traktat pokojowy nie ma co liczyć: kandydujący ponownie na prezydenta Zełenski i jego rządząca partia Sługa Narodu, jeśli nie chcą przegrać wyborów, nie mogą zgodzić się na pokój za cenę ustępstw terytorialnych. Zatem najbardziej prawdopodobna będzie jakaś forma zawieszenia broni (nawet gdyby miało ono długo potrwać).

Ukraina z tej wojny wyjdzie niepodległa, choć terytorialnie mniejsza – nawet jeśli, co oczywiste, nie uzna zaboru swoich ziem przez Rosję.

Rosja będzie z jednej strony osłabiona zrujnowaniem resztek reputacji w świecie (od 24 lutego 2022 roku wszędzie straciła na znaczeniu, poza dwoma obszarami, gdzie zyskała: Afryką i Arktyką). Będzie też osłabiona gospodarczo – ale zyska większe terytorium, nawet jeśli nie będzie ono uznawane w skali międzynarodowej. Jednak dla kraju i narodu o ambicjach imperialnych akurat kwestia terytorialnej ekspansji jest bardzo ważna.

USA wyjdą z wojny w Europie Wschodniej wyraźnie wzmocnione. Stany pokazały, że są politycznym liderem świata zachodniego. Ponadto amerykański przemysł zbrojeniowy przeżywa dzięki temu już nie tyle „honeymoon" (miesiąc miodowy), co miodowe lata. A to przekłada się na całą amerykańską gospodarkę.

Chiny, jakkolwiek zabrzmiałoby to paradoksalnie, wychodzą również wzmocnione. Nie dały się wsadzić do szuflady z napisem „jawny sojusznik Rosji", a nawet wykorzystały ostatnie dwa lata do większego gospodarczego uzależnienia Moskwy. Pekin żywił się ekonomicznymi problemami Moskwy, ale też przedstawiał się jako „moderator", który stara się skłonić Kreml do zaniechania czy ograniczenia wojny.

Niemcy straciły dużo na znaczeniu w pierwszym roku wojny za naszą wschodnią granicą. Jednak już w roku 2023 przeszły do ofensywy, inicjując zmiany traktatów unijnych, czyli ustroju UE, w kierunku zwiększenia swojej roli, występując w roli lidera rozszerzenia Unii o państwa Bałkanów Zachodnich, a także obiecując Kijowowi szybszy akces do UE, jeśli tylko rozluźni związki z Polską. Jednocześnie z państw europejskich Berlin – obok Ankary – jest najbardziej przygotowany do gospodarczej ekspansji na terenie Ukrainy po zakończeniu wojny.

Francja, której prezydent rozmawiał najczęściej ze wszystkich przywódców Europy z Putinem (w latach 2019–2022 aż 42 razy!), po agresji Rosji znalazła się w opałach, ale na jej zmianę stosunku do Moskwy wpłynęła nie napaść FR na Kijów, lecz bezceremonialne ingerencje Moskwy na terenie dawnych kolonii francuskich w Afryce (Rosjanie wyparli Francuzów z Mali i Republiki Środkowej Afryki).

Polska wykorzystała czas, który był nam dany, wzmacniając naszą pozycję w regionie, ale i jako partnera „numer 1" USA w UE. Czy jednak ta polityka będzie kontynuowana? ■

eprasa.pl 7c50a525a9





Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Największe cuda dzieją się zwykle po cichu. Schowane przed uwielbiającym jazgot i rumor światem. W małych miasteczkach. W kątach zapomnianych izdebek. W kolorycie codzienności zwykłych ludzi. Choćby tych z pewnej maleńkiej kameruńskiej wioski przeżywającej swój Wielki Post.

Cud kameruńskiej Drogi Krzyżowej

FOT. ARCHIWUM KSIĘŻY MARIANÓW

eprasa.pl/7c0dc525a9

Frédéric chwyta za klamkę blaszanych drzwiczek swego ceglasto-błotnistego domku na brzegu lasu. Dłużej już tu nie wysiedzi. Upał znów daje się we znaki. Podobnie jak brak wentylacji w jego domku. Chociaż z drugiej strony tam przynajmniej zawsze będzie miał cień. A na zewnątrz? Na zewnątrz słońce już na dobre rozgościło się nad piaszczystą łąką – znakiem rozpoznawczym wioski Biwon Assi w środkowym Kamerunie. Po kilkugodzinnej jeździe przez tropikalny busz piaszczysta łąka jest pierwszym, co przybysz widzi, gdy wreszcie dociera na miejsce. Wykarczowane pastwiska, kilka przydrożnych zarośli złożonych z suchych badyli i parę pojedynczych drzew. Ot, cały pejzaż nikomu nieznanej wioski środka Afryki.

Noga za próg

Zdaniem Frédérica już najwyższa pora, aby opuścić dom. Jeszcze zanim mama wymyśli mu jakieś zadanie. Wszakże już wczoraj wieczorem wspominała coś o wyrąbywaniu krzewów coraz bardziej wdzierających się na ich przydomowy miniogródek z sałatą i marchewką. Chłopak zakłada więc swoją ulubioną czapkę z daszkiem i mijając znajdujące się u wejścia do domu dwie duże kałuże – efekty nocnych opadów – kilkoma susami wybiega na glinianą drogę prowadzącą do centrum wioski.

– A ty dokąd?! – Tego kobiecego głosu nie sposób nie usłyszeć. Póki co nie widać jeszcze wołającej za młodzieńcem postaci, ale nie mija chwila, jak u ciemnych wrót domu pojawia się korpulentna sylwetka pani Danielli. Okazuje się, że chłopcu nie udało się zgubić czujnego wzroku mamy.

– Na spotkanie! – odkrzykuje Frédéric. Okoliczne domy wydają się opustoszałe: domownicy zapewne zdążyli już pójść do pracy bądź udali się do innych codziennych zajęć. Na głośne krzyki obojga nikt więc nie zwraca uwagi.

– Jakie znowu spotkanie? Robota jest w domu do zrobienia! Mówiłam ci już! – Nie ustępuje pani Daniella.

– O wszystkim pamiętam, mamo. Niedługo wrócę i wtedy wszystko zrobię.

– Tylko mi na krzyżówce znów nie przesiaduj! – kończy odwracając się już w stronę izby kobieta.

Tych ostatnich słów chłopiec może już nie słyszeć. Zresztą zarówno matka, jak i on doskonale wiedzą, że rodzicielska przestroga na niewiele się dziś tutaj zda. Skrzyżowanie dwóch głównych piaszczystych duktów pośrodku wioski Biwon Assi od lat jest miejscem, gdzie koncentruje się życie towarzyskie okolicznej młodzieży. Zarówno tej młodszej, jaki i tej, której cały czas wydaje się, że jest młoda. Miejscem spotkań tak dla jednych i dla drugich jest tutejszy bar. Colonel Bar.

Od koguta po politykę

Yannick od razu spostrzega wchodzącego do pustego póki co baru Frédérica. Mężczyzna pracuje tu, odkąd Frédéric pamięta. Jemu bar od zawsze kojarzył się z flegmatycznym Yannickiem. Polewającym niespiesznie kolejne kufle i szklanki. Wałęsającym się między krzesełkami z charakterystycznym dla siebie szuraniem i zbierającym brudne naczynia do zlewu. Rzucającym pytania o zamówienia do nieśmiałych gości. Podobnie zresztą jak teraz.

– To co zwykle?

– Tak, poproszę – odpowiada półszeptem Frédéric.

– A masz dziś gotówkę ze sobą? – Yannick spogląda prosto w oczy zakłopotanego młodzieńca.

– No właśnie… Jest sprawa… – Spuszcza wzrok Frédéric.

– Słuchaj, od tygodnia pijesz u mnie na kreskę. Nie mogę sobie dłużej na to pozwolić… Dziś ostatni raz – powiedziawszy to Yannick, chwyta niedomytą jeszcze szklankę ze zlewu i zaczyna zalewać ją pieniącym się białym winem palmowym matango.

Naraz nad Biwon Assi rozlega się donośne pianie koguta – znak rozgoszczonego na dobre wczesnego południa – gdy na prowizorycznej barowej ladzie przed siedzącym Frédéric ląduje długo oczekiwana szklanka schłodzonego napoju.

– Tego mi było trzeba… – szepcze półgłosem młodzieniec.

– Tobie to trzeba pracy, chłopie – odpowiada Yannick, harcząc i spluwając po chwili śliną.

Na jednym matango u Frédérica niestety tego dnia się nie skończy. Z czasem wraz z narastającym upałem na krzyżówkę schodzą się kolejni kompani młodzieńca. Pojawia się Florent, pojawia się Wilfried, pojawia się Hermann. Wreszcie zaś najstarszy bywalec baru, czyli siedemdziesięcioletni już Gaëtan. Znają się doskonale. Przesiadują tu niemal codziennie. Są wśród nich zarówno młodzi, jak i starzy. Są kawalerowie, są żonaci. Są mający pracę, jak i ci bezrobotni. Tematu do rozmów zawsze więc mają mnóstwo. Od polityki przez sport na sprawach regionu skończywszy. Wbrew pozorom to właśnie te ostatnie wywołują wśród zebranych najwięcej emocji.

– Flavien ma jutro przywieźć trochę drewna do rozładunku. Potrzeba będzie ze dwóch ludzi do pomocy – wtrąca Gaëtan.

– A ile płaci? – pyta Wilfried.

– Nie wiem, jego pytaj.

– Nie będę z nim gadał. Odkąd dogadał się z Kenzo odnośnie do składowania tam kolejnych drzew,

eprasa.pl 7c50a525a9



Młodzi także chcą nieść krzyż.

nie chcę mieć z nim nic do czynienia! – unosi się Wilfried.

– Denerwujesz się, bo nie lubisz Kenzo… – uśmiecha się Frédéric.

– Jakby ci ktoś ukradł dwa baniaki benzyny, to też byś się denerwował! – Wszyscy zebrani dostrzegają, że Wilfried robi się coraz bardziej czerwony na twarzy. Nie wiadomo tylko, czy to rzeczywiście złe wspomnienia, czy raczej efekt kolejnej butelki wina palmowego.

– A jakie masz dowody, że to Kenzo ci je buchnął? – wybucha rechoczącym śmiechem Gaëtan.

– A zaraz się zdziwisz, dziadku, jakie to dowody! Zaraz ci je pokażę… – Porywczy Wilfried zrywa się na równe nogi, aby zbliżyć się do kpiącego z niego Gaëtana.

– Cicho! – przerywa szykującą się niechybnie awanturę Florent. – Słyszycie? To chyba zza boiska…

Rzeczywiście. Dopiero teraz rozjuszeni zebrani słyszą przesterowany dźwięk głośnika dochodzącego gdzieś z oddali. Odgłos z każdą chwilą jest coraz wyraźniejszy. Jakby rzeczywiście wyłaniał się z jakiegoś zagłębienia i wychodził na górę. Gdy dźwięk cichnie, zastępują go chóralne pieśni. Te już nieco łatwiej rozpoznać. Jakieś kobiety śpiewają o męce i krzyżu.

– Spadamy, panowie! – zarządza Gaëtan.

▶ Przywilej

Przed niewielkim domkiem w centralnej części wioski Biwon Assi ustawione są trzy drewniane ławy. Na jednej z nich siedzi potężny mężczyzna. Prawą nogę ma wyprostowaną. Utrzymaną na niewysokim podwyższeniu. Cała stopa oraz dolna część piszczela są nienaturalnie powiększone.

– Kareen, kiedy père mówił, że będą przechodzić? – zwraca się w stronę chaty, o którą opiera się w tej chwili plecami.

– Chyba mają ruszać o szóstej – odpowiada kobiecy głos.

– To u nas powinni być jakieś dwadzieścia po… – konkluduje, wzdychając sam do siebie mężczyzna.

– Pewnie tak, Benoit, pewnie tak… – Po chwili zza progu pojawia się sympatyczna twarz starszej kobiety. – Jak się dziś czujesz?

– Dokładnie tak samo jak wczoraj. I jak przedwczoraj… – odpowiada uśmiechem żonie mężczy-

FOT. ARCHIWUM KSIĘŻY MARIANÓW

eprasa.pl 7c50a525a9



W kameruńskiej wiosce Nkol Ekui nie mają jeszcze kaplicy. Na pobliskim placu mieszkańcy wznieśli więc blaszany dach nad prowizorycznym ołtarzem.

zna. – Nie chcę cię już zanudzać narzekaniami, kochanie. Ale poprawy niestety nie widać…

– Najważniejsze, że jesteśmy już razem. – Kobieta wychodzi na ganek, aby pocałować męża w czoło. – Dobrze, że zdecydowałeś się opuścić szpital.

– A miałem wyjście? Wydaliśmy na leczenie wszystkie nasze oszczędności – mówiąc te słowa Benoit zmusza się do ironicznego śmiechu. – Nie było nas już stać na ani jeden dzień więcej w Jaunde.

Wszystko zaczęło się kilka tygodni temu. Podczas prac na polu Benoit skaleczył się motyką w nogę. Rana z początku wydawała się niegroźna. Po powrocie do domu mężczyzna opatrzył nogę i poszedł spać. Dopiero po kilku dniach zorientował się, że coś jest nie tak. Rana zamiast się goić, zaczęła przybierać dziwny kolor. Pojawiła się ropa, następnie miejscowe przegnicia. Nie było rady. Miejscowy misjonarz zawiózł Benoita do stolicy. W szpitalu w Jaunde stwierdzono zakażenie i poddano nogę złożonym zabiegom. Niestety także bardzo kosztownym. W Kamerunie nie ma publicznej służby zdrowia. Za każdą wizytę u lekarza trzeba płacić dziesiątki tysięcy środkowoafrykańskich franków. Na kilkudniowy pobyt w szpitalu stać tu naprawdę mało kogo. Tym bardziej człowieka z prowincji.

Po wydaniu wszystkich oszczędności Benoit postanowił wypisać się ze szpitala. Tym bardziej, że noga nadal puchła. I nic nie wskazywało na to, że ma się ku lepszemu. Teraz, siedząc na werandzie swej niewielkiej, pokrytej blachą falistą chaty, nie ma pomysłu, co jest w stanie jeszcze zrobić. Jedyne co może, to nie myśleć o przyszłości. O tym, co będzie jutro.

Dziś piątek. Pamięta, jak jeszcze rok temu o tej porze roku razem z żoną uczestniczyli w miejscowej Drodze Krzyżowej. Na samo wspomnienie przyklękiwania na suchej szutrowej drodze mężczyźnie robi się na chwilę ciut lżej na sercu. Ileż by dał, by znów móc wziąć czynny udział w nabożeństwie. Dziś jednak pozostaje mu jedynie czekać. To właśnie dlatego jego żona Kareen była kilka dni temu u księdza Cristophera. Prosiła, aby planując tegoroczną trasę Drogi Krzyżowej, uwzględnił fakt, że Benoit jest niepełnosprawny i nie będzie w stanie o własnych siłach udać się na nabożeństwo.

– Père, czy jest szansa, aby choć jedna stacja została zaplanowana gdzieś w okolicy naszego domu? – zapytała, patrząc w twarz duchownemu.

– Kareen… – ojciec Cristopher zawiesił na moment głos, by po chwili tuląc głowę kobiety do piersi

eprasa.pl 7c50a525a9

odpowiedzieć półszeptem. – Nie jedną stację, ale co najmniej trzy. Razem z Benoit zasługujecie jak mało kto na ten przywilej.

Stacja V

Są coraz bliżej. Zgromadzeni w Colonel Bar na miejscowej krzyżówce mężczyźni mogą już wyłapać nie tylko pojedyncze słowa, lecz także całe zdania. Wypowiadane przez idącego w środku procesji czarnoskórego kapłana. Właśnie zaintonował lokalną pieśń o cierpieniu Mesjasza. Po chwili rytm podłapuje zgromadzony wokół duchownego tłum.

W procesji uczestniczy około 200 ludzi. Idą przede wszystkim kobiety. Ubrane w jaskrawe kolorowe suknie i chusty na głowie. Ale są też mężczyźni. I spora gromadka dzieci. Część z nich zaangażowana jest w obsługę nabożeństwa. Ubrany w żółty strój piłkarski chłopiec idzie na przedzie pochodu, niosąc drewniany krzyż z pozłacaną pasyjką. Jego ciekawscy koledzy próbują dotrzymać mu animuszu, idąc zaraz za nim. Nieco dalej mężczyzna w średnim wieku dźwiga niewielki plecaczek z przymocowanymi doń głośnikami służącymi za nagłośnienie całego nabożeństwa.

Zanim procesja zbliży się do skrzyżowania, odbija jeszcze w lewo. Między drzewa i zarośla. Teraz chłopaczkowi niosącemu krzyż w wytyczaniu trasy pomaga ubrany w biały habit brodaty białoskóry mężczyzna. To ojciec Cristopher. Pamięta złożoną Kareen obietnicę. Kiedy podchodzą pod chatę, na której werandzie siedzi z usztywnioną podniesioną nogą Benoit, misjonarz gestem ręki poleca chłopczykowi zatrzymać się. Za chwilę do czoła peletonu dochodzą kolejni uczestnicy Drogi Krzyżowej. Czarnoskóry kapłan prowadzący nabożeństwo może teraz przeczytać: „Stacja V. Szymon Cyrenejczyk pomaga nieść krzyż Panu Jezusowi. Kłaniamy Ci się, Panie Jezu, i błogosławimy Ciebie…".

W tym momencie większość zebranych przyklęka. Nie liczą się rosnące wokół osty. Nie liczy się twarda skamieniała gleba. Nie liczy się piasek i kurz. Ubrani odświętnie mieszkańcy wioski chcą oddać cześć Zbawcy. Biegające do tej pory z rozbawieniem dzieci także na moment poważnieją. Zatrzymują się. Milczą. Kapłan czyta kolejne rozważania. „Nawet kiedy najpierw niechętnie coś podejmujemy, wchodzimy na drogę, która na końcu może okazać się wspaniałą wygraną. Kiedy przyłożymy rękę do krzyża bliźniego, ten krzyż przemieni nas w świętych. Bo kiedy się go niesie, poznaje się Pana…".

Stojąca obok męża na domowej werandzie Kareen kładzie dłoń na ramieniu mężczyzny. Oboje mają w tej chwili pochylone głowy. Oboje słuchają. Dla każdego z nich ta stacja ma inny wymiar. Po chwili pochód rusza dalej, okrążając dom poruszonych słuchaczy. Ci usłyszą z tego miejsca jeszcze przynajmniej dwie stacje. Znów mogą uczestniczyć w Drodze Krzyżowej. Znów razem. Pomimo wszystko.

Pan Bóg upomina

„Stacja VIII…". Tym razem pochód dociera do głównego skrzyżowania wsi. To już coroczna tradycja. Ojciec Cristopher tak planuje trasę Drogi Krzyżowej, by ta zawsze przechodziła blisko tego miejsca. Blisko baru Colonela.

Pomimo zarządzenia najstarszego Gaëtan, niewielu pijących podjęło wysiłek opuszczenia lokalu. Zostali niemal wszyscy. Choć doskonale zdawali sobie sprawę, z czym to się wiąże. Gardłowe spory momentalnie cichną. Odstawionych na stołach szklanek nikt nie ma odwagi nawet ruszyć. W barze panuje wszechobecna cisza.

„Pan Jezus upomina płaczące niewiasty" – kontynuuje rozważania duchowny.

I znów sytuacja się powtarza. Przyklęknięcia, modlitwa, śpiew. Mężczyźni z baru stają się mimowolnie uczestnikami nabożeństwa. Wszyscy wpatrzeni w chłopca niosącego krzyż. Wszyscy w milczeniu słuchający rozważań.

„Nie wolno dać się zasklepić bólowi! Właśnie wtedy trzeba rozerwać kajdany egoizmu, zapomnieć o sobie, o swoim cierpieniu, rozewrzeć szeroko wrota serca i iść ku innym, żeby pomagać".

Naraz nad skrzyżowaniem zaczyna wiać silny wiatr. Na błękitnym do tej pory niebie znikąd pojawiają się nagle ciemne chmury burzowe. Nie mija kilka chwil, jak na drogę zaczynają spadać pierwsze grube krople deszczu. Po chwili deszczowa muzyka wybija rytmiczny takt o blaszany dach baru. Nie mając innego pomysłu, zgromadzeni na Drodze Krzyżowej ludzie rozglądają się w poszukiwaniu schronienia. Czasu jest mało. Deszcz przybiera na sile.

Po kilku minutach większość uczestników nabożeństwa ściska się w Colonel Bar. Uczestnicy wiejskiej popijawy zostają wzięci w kleszcze. Na jakąkolwiek ucieczkę jest już za późno. Ubrane na kolorowo kobiety wysuwając kolejne krzesła od baru, szeroko uśmiechają się do młodzieńców. Nadal jednak wszyscy uczestnicy trwają w modlitewnym skupieniu. Potrwa ono jeszcze przynajmniej dwadzieścia minut. Aż przejdzie burza.

– Widzisz, Miguel – ojciec Cristopher zwraca się do prowadzącego Drogę Krzyżową księdza. – Pan Bóg upomniał się o swoich ludzi… ■

Imiona bohaterów reportażu zostały zmienione.

FOT. ARCHIWUM KSIĘŻY MARIANÓW

eprasa.pl 7c50a525a9

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Tajwan

18 marca na Tajwanie obchodzono 10. rocznicę studenckiego protestu, tzw. rewolucji słoneczników[1] przeciwko prochińskiej polityce ówczesnych władz w Tajpej. Na wyspie rządziła wtedy partia Kuomintang (KMT) postulująca zbliżenie z Pekinem. Zawarto ponad 20 porozumień gospodarczych z ChRL, które – jak obiecywały tajwańskie władze – miały pomóc gospodarce na wyspie. Tak się jednak nie stało. Na polityce ocieplania relacji z Chinami skorzystały przede wszystkim duże grupy biznesowe w obu krajach. Dla przeciętnego Tajwańczyka, zwłaszcza dla młodych ludzi, porozumienia gospodarcze nie przyniosły nowych stanowisk pracy czy szans na zarobki, które pozwoliłyby na zakup własnego mieszkania. Co więcej, okazało się, że wraz z napływem chińskiego kapitału na wyspę trafiła komunistyczna propaganda. Uprawiano ją nie tylko w mediach należących do tajwańskich biznesmenów inwestujących w Chinach, a przez to kontrolowanych przez Pekin. Na ulicach Tajpej pojawiali się demonstranci z czerwonymi flagami i członkowie tzw. Stowarzyszenia Patriotycznego – organizacji prawdopodobnie sponsorowanej przez Pekin i za swój główny cel stawiającej wchłonięcie wyspy przez komunistyczne Chiny. Polityka ówczesnego prezydenta Ma Ying-jeou, tzw. dyplomatyczny rozejm z Chinami, też nie spowodowała, że zmniejszyło się zagrożenie ze strony Chin. Do 1,6 tys. sztuk wzrosła wtedy liczba rakiet batalistycznych wycelowanych w Tajwan. W takich warunkach, gdy 18 marca 2014 roku parlamentarzyści Kuomintagu próbowali szybko i bez specjalnych konsultacji ratyfikować kolejną umowę handlową z Chinami, tajwańscy studenci zajęli budynek parlamentu. 30 marca pół miliona Tajwańczyków demonstrowało poparcie dla studentów. Okupacja parlamentu trwała 24 dni.

Ten zryw nieposłuszeństwa obywatelskiego ma bardzo ważne znaczenie w najnowszej historii Tajwanu – przyczynił się do pobudzenia świadomości politycznej, wzrostu poczucia tożsamości tajwańskiej, a także spowodował dużą zmianę na scenie politycznej. Od czasu protestu Kuomintang nie jest w stanie wygrać wyborów prezydenckich. Tajwańczycy w obliczu zagrożenia ze strony komunistycznych Chin nie mogą zaakceptować jako swojego przywódcy polityka z partii, która w przeszłości poszła na duże ustępstwa wobec Pekinu. Rewolucja słoneczników sprawiła też, że jej uczestnicy, młodzi ludzie, są coraz bardziej widoczni na scenie politycznej Tajwanu. „Myślę, że pierwotnie o stosunkach Tajwanu z Chinami decydowała zazwyczaj niewielka grupa elit politycznych", uważa dziś 35-letni Lin, który w latach 2019–2023 pełnił funkcję sekretarza generalnego DPP, partii obecnie rządzącej Tajwanem.

Korea Północna

W połowie marca podczas wizyty sekretarza stanu USA Antony Blinkena w Seulu, północnokoreańska armia wystrzeliła rakietę balistyczną krótkiego zasięgu. Kilka tygodni wcześniej Pjongjang prowadził ćwiczenia z użyciem broni konwencjonalnej pod osobistym nadzorem przywódcy państwa Kim Dzong Una. Wiadomo także, że w ostatnich miesiącach KRLD dostarczyła Rosji broń, która jest wykorzystywana na wojnie przeciw Ukrainie. To tylko kilka z licznych niebezpiecznych działań, jakich dopuszcza się północnokoreański reżim. W artykule z 16 marca br. „The New

[1] Nazwa ruchu wzięła się stąd, że na początku protestu demonstrującym rozdawano słoneczniki jako symbol nadziei.

eprasa.pl 7c50a525a9

York Times" ostrzega, że podczas gdy administracja Bidena ma bardziej ambiwalentne podejście do Korei Północnej niż jego poprzednik Donald Trump, po Ukrainie i Gazie to właśnie Pjongjang może być następnym wyzwaniem dla Waszyngtonu. Eksperci ds. KRLD, analityk Robert Carlin i naukowiec nuklearny Siegfried Hecker, twierdzą, że Kim Dzong Unowi nie zależy w tej chwili na nawiązaniu lepszych stosunków z USA i Koreą Płd. Północnokoreański dyktator zacieśnia relacje z Putinem i może przygotowywać się do wojny. W połowie stycznia Kim odrzucił dotychczasowy cel, jakim było pokojowe pojednanie między obiema Koreami, i wezwał do „całkowitego okupowania, podporządkowania i odzyskania" Południa w przypadku wybuchu wojny. Według „NYT" północnokoreański dyktator może „wzniecić ograniczony konflikt, na przykład przeprowadzając atak desantowy na kontrolowane przez Koreę Płd. wyspy na spornych wodach Morza Żółtego, niecałe 25 mil od wybrzeża Korei Płn.", wierząc, że uda mu się opanować eskalację takiego kryzysu poprzez „grożenie atakiem rakietowym lub nawet nuklearnym w celu powstrzymania odwetu, być może zajmując wyspy, a następnie przedstawiając to jako wielkie zwycięstwo propagandowe i żądając ponownego wyznaczenia granic morskich i innych ustępstw w zakresie bezpieczeństwa". „NYT" twierdzi, że uniknięcie konfliktu wywołanego przez północnokoreańskie prowokacje wymaga zmiany nastawienia administracji Bidena z wspomnianego wcześniej ambiwalentnego podejścia Białego Domu do wciągnięcia Kima do rozmów, czyli do czegoś, co próbował robić Trump. Amerykańska gazeta uważa, że cel negocjacji, jaki wyznaczył Trump, nie był możliwy do realizacji. Denuklearyzacja KRLD jest na dziś według „NYT" nierealistyczna. „Rozbrojenie może pozostać celem długoterminowym", ale to, co administracja Bidena powinna postawić na stole w zamian za rozładowanie sytuacji, to pomoc ekonomiczna dla Korei Płn.

▶ Chiny – COVID 19

Opublikowany 15 marca w czasopiśmie „Risk Analysis" raport stwierdza, że wirus COVID-19 miał „nienaturalne" pochodzenie i z dużym prawdopodobieństwem pochodził z chińskiego Instytutu Wirusologii w Wuhan (WIV). W badaniu sponsorowanym m.in. przez rząd Australii wykorzystano narzędzie analizy ryzyka w celu ustalenia pochodzenia wirusa. Analiza wykazała 68-proc. prawdopodobieństwo „nienaturalnego pochodzenia SARS-CoV-2". Choć w raporcie nie wykazano ostatecznie pochodzenia wirusa COVID-19, jego autorzy podkreślili, że „nie można łatwo odrzucić możliwości pochodzenia laboratoryjnego".

Od wybuchu epidemii w grudniu 2019 roku dwiema kluczowymi hipotezami wyjaśniającymi jej pochodzenie są źródło zwierzęce i wyciek z laboratorium. Chociaż podawano kilka możliwych źródeł zwierzęcych, m.in. nietoperze, to „żadnego zwierzęcia nie zidentyfikowano jeszcze jako naturalnego lub pośredniego żywiciela wirusa. Jeden ze znanych koronawirusów nietoperzy, RaTG13, był badany w Instytucie Wirusologii w Wuhan (WIV) i wykazuje 96,1 proc. podobieństwa z SARS-CoV-2" – czytamy w raporcie w „Risk Analysis". W badaniu naukowcy wykorzystali zmodyfikowane narzędzie Grunow-Finke (mGFT) do analizy ryzyka epidemiologicznego, które rozróżnia naturalne epidemie od celowych ataków biologicznych. Autorzy zebrali dane dotyczące COVID-19 z wielu krajów z okresu od 1 stycznia 2020 do 31 października 2022 roku i ocenili je za pomocą narzędzia mGFT w oparciu o 11 kryteriów, m.in. ryzyko biologiczne, rozmieszczenie geograficzne, koncentracja w środowisku czy intensywność epidemii. „Przy zastosowaniu zmodyfikowanego algorytmu GFT wynik pokazuje łącznie 41 punktów (68 proc.) z maksymalnych 60 punktów, co wskazuje, że SARS-CoV-2 ma raczej nienaturalne pochodzenie" – napisali autorzy badania. Naukowcy wskazali też, że wypadki w laboratoriach są „częste" i że jeśli patogen jest wysoce zaraźliwy, to tylko jeden zarażony pracownik wystarczy, by wywołać epidemię.

O tym, że wirus COVID-19 może pochodzić z laboratorium w Wuhan (WIV), już na początku 2020 roku alarmował Tajwan. W kwietniu tego samego roku amerykańska gazeta „Epoch Times" stworzyła film dokumentalny, w którym opisano zaangażowanie chińskiej wirusolog Shi Zhengli, znanej jako „kobieta-nietoperz", w badania prowadzone w WIV nad koronawirusami nietoperzy. Shi „jako pierwsza znalazła klucz do tego, jak koronawirusy mogą pokonywać bariery międzygatunkowe, aby bezpośrednio infekować ludzkie ciała", informowano w dokumencie, dodając, że to może być „ważnym ogniwem" w pochodzeniu wirusa. W kwietniu 2023 roku Podkomisja Izby Reprezentantów USA ds. pandemii koronawirusa oświadczyła, że zażądała spotkania z Shi Zhengli. Jednak Ambasada Chin w USA sprzeciwiła się tej prośbie. W czerwcu 2023 roku Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego opublikowało raport, w którym dwie agencje – Departament Energii i FBI – potwierdziły, że wirus COVID-19 wyciekł z laboratorium.

Pekin do tej pory odrzuca jakąkolwiek odpowiedzialność za pandemię, która przyniosła kilkadziesiąt milionów chorych, ponad półtora miliona ofiar śmiertelnych i kryzys gospodarczy na niespotykaną skalę. W wywiadzie sprzed roku dla brytyjskiej stacji GB News Donald Trump powiedział, że Chiny są winne światu 60 bln dolarów reparacji z powodu szkód wyrządzonych przez pandemię COVID-19. ■

eprasa.pl 7c50a525a9



Antoni Rybczyński

Jaka będzie Rosja po „wyborczym” triumfie Władimira Putina?

eprasa.pl 7c50a525a9



FOT. MAXIM SHIPENKOV/PAP/EPA

W odpowiedzi na tytułowe pytanie eksperci w zdecydowanej większości zgadzają się, że polityka Kremla będzie jeszcze bardziej agresywna i brutalna. Zarówno w kraju, jak i na zewnątrz. Ale choć dziś Putin wydaje się być silny jak nigdy, to właśnie przebieg, wynik i konsekwencje tych „wyborów" już zapowiadają nadciągające poważne kłopoty dla reżimu.

Niedawne „wybory" prezydenckie w Rosji prawdopodobnie będą punktem zwrotnym w zachowaniu prezydenta Władimira Putina w kraju, za granicą i wobec tych Rosjan, którzy mu się sprzeciwiają. Podczas gdy optymiści mogą mieć nadzieję, że wykorzysta on swoją niekwestionowaną władzę do zaprowadzenia pokoju i ograniczenia represji, wielu pesymistów jest przekonanych, że pójdzie w przeciwnym kierunku – pisze wybitny znawca Rosji, Paul Goble („Rosyjskie nadzieje i obawy post »wyborcze«", Eurasia Daily Monitor, 19 marca 2024).

Tego rytuału Putin potrzebował

Były asystent sekretarza stanu USA David Kremer twierdzi, że głosowanie w Rosji jest odzwierciedleniem nowej rzeczywistości, tego, że krajem rządzi totalitarny reżim. „Nie nazwałbym tego, co wydarzyło się w Rosji, wyborami. Wynik tego procesu został ustalony na długo przed tak zwanym głosowaniem. Proces ten został przeprowadzony z naruszeniem rosyjskiej konstytucji, pomimo przyjętych poprawek, które pozwoliły Putinowi pozostać u władzy dłużej niż Stalin, dłużej niż jakikolwiek rosyjski władca w ciągu ostatnich stuleci. Nazwałbym ten proces kpiną, żartem, gdyby nie był to kiepski żart. W 2012 roku Putin otrzymał 64 proc. głosów, sześć lat później około 77 proc., a teraz podobno prawie 90 proc. Oczywiste jest, że jego popularność rośnie głównie dlatego, że zabija ludzi, którzy przyciągnęliby głosy protestu i rzucili mu wyzwanie: w 2015 roku był to Borys Niemcow, w tym roku Aleksiej Nawalny. Sprzeciw wobec Putina stał się w Rosji niebezpieczny. Kiedy władze niszczą i więżą prominentnych krytyków Putina, ludzie po prostu nie mają alternatywy" (Jurij Żigałkin, „»Rytualna czynność«. Amerykańscy eksperci o wyborach prezydenckich w Rosji", Radio Swoboda, 18 marca 2024).

Gregory Feifer, dyrektor Instytutu Współczesnych Spraw Światowych w Waszyngtonie, wyjaśnia, dlaczego Władimir Putin potrzebował wyborów z całkowicie przewidywalnym wynikiem: Po pierwsze, wybory są niezbędnym „pokazem legitymizacji". Tak zwane „wybory" odbywały się nawet w najciemniejszych czasach Związku Sowieckiego. Jest to część globalnego języka politycznego: jeśli nie jesteś całkowitą monarchią, musisz pokazać, że masz przynajmniej pewien mandat społeczny. Po drugie, dla Putina, podobnie jak dla innych dyktatorów, bardzo ważne jest pokazanie siebie jako jedynego przywódcy zdolnego do rządzenia Rosją. Tutaj jest na piedestale, jedynym możliwym, wszyscy jego prawdziwi przeciwnicy zostali wygnani, uwię-

eprasa.pl 7650a525a9

zieni lub zabici. I nadal jest dość biegły w odwoływaniu się do rosyjskiego nacjonalizmu. Wreszcie trzeci powód to ważna projekcja władzy, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz Rosji. To tak, jakby mówił „Spójrzcie na wiele tysięcy ludzi, którzy wzięli udział w tym wydarzeniu, od urzędników wyborczych po każdego Rosjanina, który został zmuszony do przyjścia i głosowania na mnie". I wszyscy wiedzą, że to farsa, to żadna tajemnica, ale ten pokaz wiąże ludzi z reżimem, czyni ich współwinnymi polityki Putina. Putin musi pokazać, że nie wycofa się ze swoich celów na Ukrainie i że ma powszechny mandat do kontynuowania tej wojny (Daniła Galperowicz, „Eksperci w USA o polityce Putina po »wyborach«", Gołos Ameriki, 19 marca 2024).

Profesor Joshua Tucker z New York University – w cytowanym już artykule Radia Swoboda – zwraca uwagę, że jedynym prawdziwym pytaniem bez odpowiedzi po „wyborach" jest faktyczny poziom poparcia i popularności Putina w Rosji. „Oczywiste jest, że jest to rytualny akt, za pomocą którego Putin demonstruje swoją władzę i popularność wśród ludności, próbując przekonać międzynarodową publiczność o swojej legitymacji i kontynuacji procesów demokratycznych w Rosji. Jest jednak oczywiste, że tego, co wydarzyło się w Rosji, nie można nazwać wolnymi i uczciwymi wyborami. Wybory w systemie autorytarnym są niczym więcej niż narzędziem wykorzystywanym przez rządzących do uzyskania wyniku, którego potrzebują, aby wpływać na swoich krajowych i zagranicznych odbiorców. W tych wyborach Rosjanie po prostu nie mieli wyboru. Z każdymi wyborami prezydenckimi liczba głosów oddanych na Putina rośnie, podczas gdy reżim coraz mocniej tłumi opozycję, gwarantując brak jakiejkolwiek alternatywy. Żaden zachodni obserwator nie nazwałby tego, co wydarzyło się w Rosji, prawdziwymi wyborami. Gdy ludność jest wystarczająco zastraszona, gdy wyborcy nie mają wyboru, stosunkowo łatwo jest podnieść notowania jednego prawdziwego kandydata. Moim zdaniem jedyną otwartą kwestią jest to, jaki jest rzeczywisty poziom popularności Putina. Te wybory nie dają żadnego powodu do wyciągania jakichkolwiek wniosków w tej sprawie" – mówi amerykański politolog i historyk.

▶ Będzie tylko gorzej

Optymiści mogą powiedzieć, że Putin ma teraz wolną rękę, by zakończyć wojnę z Ukrainą i dążyć do zbliżenia z Zachodem, bo tylko rosyjski przywódca z zademonstrowanym poparciem tak dużej części populacji może dokonać tak ostrego zwrotu – pisze Paul Goble. Jednak jemu samemu bliżej do opinii znacznie liczniejszych pesymistów, przekonanych, że teraz Putin zwiększy represje w kraju i stanie się jeszcze bardziej agresywny za granicą. „Przekonanie to wynika z długiej historii autokratycznych przywódców rosyjskich i samego Putina, którzy uciekają się do represji i agresji, gdy ich opozycja jest przekonana, że nie ma powodu, by tego nie robili" – czytamy w analizie na stronie amerykańskiego think tanku Jamestown Foundation. Podziela ten pogląd Gregory Feifer: po wielu wyborach Putin zintensyfikował represje i zwiększył konfrontację z Zachodem, a teraz daje wszelkie sygnały, że będzie to kontynuowane. Myślę, że to nieuniknione, ponieważ taka jest wewnętrzna logika reżimu Putina. Myślę więc, że możemy spodziewać się czegoś podobnego do tego, co robił wcześniej, tylko bardziej ekstremalnego. Oznacza to być może podwojenie wysiłków w agresji na Ukrainę, zwiększenie represji w kraju i zaostrzenie twardej linii wobec Zachodu.

„Reżim Putina będzie nadal wykorzystywał wojnę na Ukrainie do uzasadnienia zwiększonych represji, podobnie jak przywódcy w całej historii wykorzystywali wojny jako pretekst do takich działań. Kremlowski przywódca wywodzi się z sowieckiego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego (KGB), którego funkcjonariusze generalnie postrzegali represje jako odpowiedź na wszystkie problemy, co dodatkowo podsyca obawy Rosjan. Putin ukrył to, używając marchewki i kija, aby zdobyć poparcie ludzi, których represjonuje" (P. Goble, „Rosyjskie nadzieje i obawy post »wyborcze«", Eurasia Daily Monitor, 19 marca 2024). Na przykład przed wyborami obiecał hojne korzyści różnym grupom ludności. Tyle że brakuje pieniędzy, biorąc pod uwagę ogromne wydatki wojenne. Gospodarz Kremla prawdopodobnie odwoła te obietnice, bo nie ma powodów, by wierzyć, że zakończy on działania wojenne, za to istnieje znacznie więcej powodów, dla których może on podwoić swoją agresję i być może rozszerzyć ją na inne kraje.

„Ta kombinacja podsyca trzy inne obawy wśród Rosjan: Putin podniesie podatki teraz, gdy głosowanie się skończyło, pozwoli rublowi dryfować niżej lub nawet załamać się w stosunku do zachodnich walut, a co najbardziej niepokojące, rozpocznie nową masową mobilizację, aby realizować swoje cele wojskowe pomimo wielokrotnych zaprzeczeń" – pisze Goble. „Podwyżki podatków i deprecjacja rubla są prawdopodobne, choć mogą nie być tak natychmiastowe lub katastrofalne, jak niektórzy obecnie uważają. Jakakolwiek mobilizacja prawie na pewno nastąpi dopiero po wiosennym poborze w kwiet-

eprasa.pl 7c50a525a9

niu. Rosyjskie wojsko nie poradzi sobie z nią wcześniej. Te opóźnienia niewątpliwie doprowadzą optymistów do wniosku, że zaprzeczenia Kremla dotyczące trzech wyżej wymienionych obaw należy uznać za prawdziwe. W rzeczywistości wszelkie opóźnienia dadzą reżimowi Putina większe możliwości wprowadzenia bardziej restrykcyjnych środków. Środki te miałyby na celu powstrzymanie masowej emigracji, aby uniknąć chaosu, który nastąpił po ostatniej mobilizacji w Rosji" – uważa amerykański ekspert. Jakie to mogą być środki? „Z pewnością nie może powrócić do pracy skazańców na skalę Stalina. Z pewnością może stworzyć ostrzejszą kwarantannę kulturową i medialną niż ta, którą do tej pory osiągnął. Zmierza w tym kierunku. To byłoby coś. Teraz wychodzi to z podręczników Lenina i Stalina" - mówi Robert Service w wywiadzie dla gruzińskiego serwisu Radio Liberty. „Możemy spodziewać się większej liczby aresztowań, ale nie na skalę Stalina. Putin wie, że jego szanse na przetrwanie zależą od sukcesu gospodarki rynkowej, gospodarki państwowo-kapitalistycznej, więc istnieją granice tego, co może zrobić. Nie może przywrócić kraju do etatyzmu stalinowskiego komunizmu; wie o tym, i jest zbyt inteligentny, by tego chcieć. Gdyby próbował to zrobić, być może elita biznesowa w końcu znalazłaby w sobie siłę, by zwrócić się przeciwko niemu" – uważa jeden z najbardziej cenionych na świecie znawców historii Związku Sowieckiego i Rosji, emerytowany profesor historii Rosji w Oksfordzie, związany też z Hoover Institution w Stanford (Waża Tawberidze, „Historyk twierdzi, że Putin poślizgnął się geostrategicznie, geoekonomicznie i geopolitycznie", Radio Free Europe/Radio Liberty, 20 marca 2024).

▶ Między elitą a opozycją

Eksperci komentujący „wybory" i prognozujący dalsze działania Kremla nie mogą oczywiście nie próbować szukać odpowiedzi na pytanie, kto i co mogłoby położyć kres rządom Putina. „Zawsze uważałem, że główna presja będzie musiała pochodzić z wewnątrz Rosji. Nie wygląda na to, by dominująca elita biznesowa miała odwagę mu się przeciwstawić. Wracając do 1917 roku: elita biznesowa oderwała się od monarchii, co było jednym z czynników, które doprowadziły do abdykacji Mikołaja II. W tej chwili wygląda na to, że nadal zyskują wystarczająco dużo na kontraktach państwowych, które Putin daje im w czasie wojny, aby nie kusiło ich, by wystąpić przeciwko niemu. I tak byłoby to trudne, ponieważ Rosja Putina jest znacznie bardziej kontrolowana niż Imperium Rosyjskie Mikołaja II. Trudno byłoby więc elicie biznesowej zwrócić się przeciwko niemu" – mówi Robert Service. Inaczej uważa Nikołaj Pietrow, politolog z Chatham House: Kreml nie dba o to, jak jest postrzegany na Zachodzie – w jego oczach nie można pogorszyć jego wizerunku. Ogólnie rzecz biorąc, Kreml nie dba tak bardzo o to, jak obywatele postrzegają wybory, choć są tu pewne niuanse. Ale dla elit bardzo ważne jest, aby mieć pewność, że przywódca ma dziś takie samo lub większe poparcie niż wcześniej. To właśnie zapewnia stabilność systemu i zależność elit od Putina. Zamiast tego ogłoszono wynik – lub uzyskano go z pomocą elit regionalnych i korporacyjnych – który jest rażąco nieprawdziwy („Putin »zdobył« ponad 87 proc. w »wyborach«. Co to oznacza? Na co powinniśmy się przygotować?", Meduza.io, 20 marca 2024).

Zdaniem Pietrowa, Kreml ma dziś mniejszy wpływ na elity niż wcześniej. Nie może im pomóc wobec sankcji Zachodu, „tort, który można podzielić między elity, kurczy się". Pozostają negatywne bodźce. Obejmują one renacjonalizację. „W ubiegłym roku widzieliśmy, że jest ona aktywnie stosowana. Kolejną negatywną zachętą są represje wobec elit, które nasiliły się po aneksji Krymu, ale jak dotąd utrzymują się na mniej więcej tym samym poziomie" – mówi ekspert Chatham House. „Drugą nieuniknioną rzeczą jest redystrybucja własności. Z jednej strony wynika to z faktu, że Kreml potrzebuje pieniędzy. Musi w jakiś sposób odebrać majątek starszym przedstawicielom pierwszego pokolenia oligarchii i wynagrodzić nowych. I to jest bardzo poważny proces, który będzie połączony z represjami wobec elity" – dodaje Pietrow. Zresztą także Service wskazuje okoliczności, w których kluczowa część elity, elita bezpieczeństwa mogłaby się zwrócić przeciwko Putinowi. „Cóż, może się to zdarzyć, gdy wojna pójdzie źle i ktoś musi być kozłem ofiarnym. A on jest najłatwiejszym kozłem ofiarnym ze wszystkich, ponieważ jest głównym motywatorem tej specjalnej operacji wojskowej" – mówi historyk. W takiej sytuacji Putina mógłby zastąpić np. Nikołaj Patruszew. „W tej chwili wydaje się, że on sam jest tak samo imperialistycznym fanatykiem jak Putin; myślę, że obaj są. Ale kiedy twoje osobiste bezpieczeństwo jest kwestionowane, możesz szybko zmienić zdanie" – zaznacza Service, przypominając choćby postać Ławrentija Berii.

A co z opozycją? Według Tuckera, akcja „W samo południe przeciwko Putinowi" (pójście do lokali wyborczych dokładnie w południe 17 marca, w ostatnim dniu wyborów – red.), która wywołała sprzeczne uczucia wśród samych Rosjan, udowodniła istnienie poważnych nastrojów protestacyjnych w ich kraju. „Jestem przekonany, że ważne było, aby zobaczyli, że nie są sami, że nawet w obliczu całkowitych prześladowań ludzie byli gotowi zademonstrować swój

eprasa.pl 7c50a525a9

sprzeciw wobec Putina nie tylko w rozmowach przy kuchennym stole" – mówi Joshua Tucker (J. Żigałkin, „»Rytualna czynność«. Amerykańscy eksperci o wyborach prezydenckich w Rosji", Radio Swoboda, 18 marca 2024). Na konferencji prasowej poświęconej wynikom „wyborów" Putin po raz pierwszy publicznie wypowiedział nazwisko Nawalnego. Czy to oznacza, że kwestia tłumienia opozycji politycznej jest dla władz zamknięta? „Na Kremlu myślą, że sprawa jest zamknięta. Rozwiązali ją znacznie wcześniej. I, niestety, z pewnymi zastrzeżeniami, możemy się z nimi zgodzić. Inną rzeczą jest to, że zamykając ją w taki sposób, w jaki to zrobili, zwiększyli ryzyko rzeczywistego pojawienia się ekstremizmu, z którym zawsze walczą demagogicznie, i radykalizacji tych, którzy sprzeciwiają się Kremlowi" – mówi Pietrow z Chatham House. Zaś Angela Stent (Centrum Studiów Rosyjskich i Euroazjatyckich Uniwersytetu Georgetown) uważa, że po dwóch wyraźnych dowodach na to, że nie wszyscy podzielają politykę Putina, represje w Rosji tylko się nasilą: „W całej Rosji byli ludzie, którzy przyszli do lokali wyborczych w proteście. To, a także reakcja na śmierć Nawalnego, kiedy tysiące ludzi przyszły złożyć kwiaty nie tylko w Moskwie, lecz także w innych miejscach, pokaże Kremlowi, że wciąż istnieją przeciwnicy wojny i ludzie sprzeciwiający się rządom Putina" (D. Galperowicz, „Eksperci w USA o polityce Putina po »wyborach«", Gołos Ameriki, 19 marca 2024).

▶ Putin podjął ryzyko

Cytowany już David Kremer twierdzi, że trudno oczekiwać, by zachodnie stolice nie uznały wyników głosowania, choć doskonale zdają sobie sprawę z tego, co dzieje się w Rosji: „Moim zdaniem zachodnie stolice nie powinny uznawać Putina za legalnie wybranego przywódcę Rosji. Wątpię jednak, aby to zrobiły, ponieważ chcą pozostawić otwarte drzwi dla przyszłych kontaktów z Kremlem w sprawie Ukrainy, nierozprzestrzeniania broni jądrowej, wymiany więźniów i innych kwestii, które mogą pojawić się w stosunkach z Moskwą" (J. Żigałkin, „»Rytualna czynność«. Amerykańscy eksperci o wyborach prezydenckich w Rosji", Radio Swoboda, 18 marca 2024). Zachód skrytykował warunki, w jakich odbyło się głosowanie w Rosji, ale powstrzymał się od nieuznania Putina za prawowitego przywódcę, chociaż wzywało do tego kilka organizacji międzynarodowych, a także rosyjska opozycja. Angela Stent uważa, że jest to zwykły biznes: Wiele zachodnich rządów, w tym rząd USA, już skrytykowało te „wybory" i stwierdziło, że nie były to prawdziwe wybory, ponieważ nie było prawdziwej konkurencji. Ale myślę, że nadal będą współpracować z Putinem jako prezydentem Rosji, ponieważ nie ma innej opcji. „Jest oczywiste, że zachodnie rządy doskonale zdają sobie sprawę z tego, z czym mają do czynienia w Rosji. Nikt nie nazywa rosyjskiego procesu wyborczego prawdziwymi wyborami. Wystarczy spojrzeć na reakcję zachodnich stolic. Podejrzewam, że wyniki tego procesu są najważniejsze dla Putina: po raz kolejny pokazuje rosyjskim elitom, że masy są po jego stronie. Chociaż nie jestem pewien, czy elity to kupują. Być może ważniejsze jest to, że te wyniki są ważne dla jego poczucia własnej wartości. Uzyskał około dziewięćdziesięciu procent głosów w wyborach o najwyższej frekwencji w historii Rosji. To powinno schlebiać jego ego. Nie sądzę, by ktokolwiek inny brał te wyniki za dobrą monetę" – mówi Brian Taylor, politolog z Syracuse University w Nowym Jorku w artykule na stronie rozgłośni Gołos Ameriki.

Według Taylora nie dają one podstaw do wyciągania wniosków na temat żywotności obecnego rosyjskiego reżimu: Doświadczenie historyczne mówi nam, że w takich spersonifikowanych dyktaturach, władcy rządzący tak długo jak Władimir Putin mają tendencję do rządzenia aż do swojego upadku. Przynajmniej takie jest doświadczenie ostatnich osiemdziesięciu lat. Jednocześnie fundamenty takich reżimów są notorycznie zawodne. Mogą wystąpić nagłe wydarzenia, które doprowadzą do ich upadku. Rosja, jeśli mogę tak powiedzieć, jest superautorytarna jak na państwo, które jest stosunkowo nowoczesne pod względem rozwoju społecznego (D. Galperowicz, Eksperci w USA o polityce Putina po »wyborach«", Gołos Ameriki, 19 marca 2024). Profesor Service mówi o możliwej eksplozji powszechnego niezadowolenia lub erupcji niezadowolenia elit. „Jeśli wojna pójdzie źle, to Putin niewątpliwie będzie miał kłopoty, ponieważ zmusił własną Radę Bezpieczeństwa do zaakceptowania pierwszych kroków w kierunku tej wojny zaledwie kilka dni przed jej ogłoszeniem. To jedna z możliwości. Inną możliwością jest ciągłe pogarszanie się sytuacji gospodarczej. […] Umowa między rosyjskim prezydentem a narodem rosyjskim od 1991 roku zawsze polegała na tym, że prezydent – za pośrednictwem Dumy – gwarantował pewien minimalny poziom dobrobytu. Bez względu na to, jak autokratyczny stał się Putin, dbał o ten minimalny poziom […] Wie, do czego zdolni są Rosjanie, do czego zdolni są wszyscy ludzie, gdy popchnie się ich do skrajności. Musi więc utrzymywać gospodarkę na poziomie wystarczającym do dalszego opłacania ludzi" – uważa historyk, zaznaczając szczególnie, że „personalizując swoją dominację, swoją elitarną dominację, Putin podejmuje większe ryzyko, niż sądzę, że większość komentatorów dopuszcza". ■

eprasa.pl 7c50a525a9

Tomasz Sakiewicz

Hodowanie potwora

Jeżeli ktoś chce zrozumieć, skąd w tak fatalnie zorganizowanym kraju jak Rosja są siły do bardzo agresywnej polityki, powinien przyjrzeć się błędom Zachodu ostatnich 30 lat.

Większość z nas pamięta rozpad ZSRS. Jego gospodarka była w stanie kompletnego rozkładu, armia zdemoralizowana i rozgrabiana na potęgę. W dodatku główne siły uderzeniowe z częścią broni atomowej znajdowały się na Ukrainie. Od Sowietów odłączały się kolejne państwa i na południu całkiem realne było nawet rozfederalizowanie Rosji. Same kagiebowskie elity nie były w stanie podtrzymać tego projektu. Rękę Moskwie podały państwa zachodnie, głównie USA i Niemcy. Strach przed wymknięciem się arsenału jądrowego i możliwy chaos na terenach byłego ZSRS podsycany przez największe hollywoodzkie produkcje zrobił swoje. Uratowano politycznie i ekonomicznie państwo rosyjskie, godząc się nawet na ograniczenia dla krajów byłego Układu Warszawskiego, które wchodziły do NATO. To przesądziło o istnieniu dzisiejszej Rosji. Moskwa konsekwentnie zaczęła tłumić bunty wewnątrz Federacji, doprowadzając do wielkiej masakry w Czeczenii. To był dla Zachodu sygnał ostrzegawczy. Zignorowano go, a Rosja stała się w tym czasie wielkim partnerem gospodarczym dla Niemiec. Co gorsza, w ramach projektu wypierania USA z Europy dla paneuropejczyków stała się partnerem w równoważeniu wpływów amerykańskich. Polityka resetu oznaczała zgodę na wyparcie USA z Europy i zbudowanie na kontynencie wspólnego zarządu niemiecko-rosyjskiego. Moskwa skorzystała z okazji i podporządkowała sobie Gruzję, jednocześnie anektując część jej terytorium. W tym samym czasie za pomocą zabiegów polityczno-ekonomicznych wyparto prozachodnie władze na Ukrainie, kończąc rewolucję pierwszego Majdanu (drugi Majdan był buntem przed tym procesem). Na Białorusi już wcześniej udało się zainstalować zależne od Kremla władze. I tu Zachód był głuchy i ślepy. Zamiast izolacji politycznej Moskwy, rozpoczęto strategiczne budowy gazociągów przez Bałtyk okrążające Europę Środkową.

Mało tego, Niemcy, a od pewnego momentu USA, zaczęły wspierać również w Polsce uległe wobec Moskwy władze.

Jeżeli ktoś chce zrozumieć, skąd w tak fatalnie zorganizowanym kraju jak Rosja są siły do bardzo agresywnej polityki, powinien przyjrzeć się błędom Zachodu ostatnich 30 lat. Siła Rosji wynika wyłącznie z decyzji naszej części świata. Również obecnie.

> Rosja jest emanacją błędów i złych zamiarów Zachodu. Kumuluje w sobie i pokazuje to, czego nie może być widać wprost w państwach demokratycznych. To potwór hodowany wyłącznie na ciele cywilizacji Zachodniej, bez której nie jest w stanie przetrwać.

Wojnę z Ukrainą można było zakończyć rok temu, gdyby Kijów od razu dostał wszystko, co było potrzebne. Jednak Niemcy grały w coś innego, odmawiając na początku wojny jakiejkolwiek realnej pomocy Ukrainie i sankcji dla Kremla. Rosja jest po prostu emanacją błędów i złych zamiarów Zachodu. Kumuluje w sobie i pokazuje to, czego nie może być widać wprost w państwach demokratycznych. To potwór hodowany wyłącznie na naszym ciele, na ciele cywilizacji zachodniej, bez której nie jest w stanie przetrwać. ■

eprasa.pl 7c50a525a9

polsat box

plus

TV + Światłowód

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.

Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus internet stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** smartDOM jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 10.04.2024 r.

eprasa.pl 7650a52589